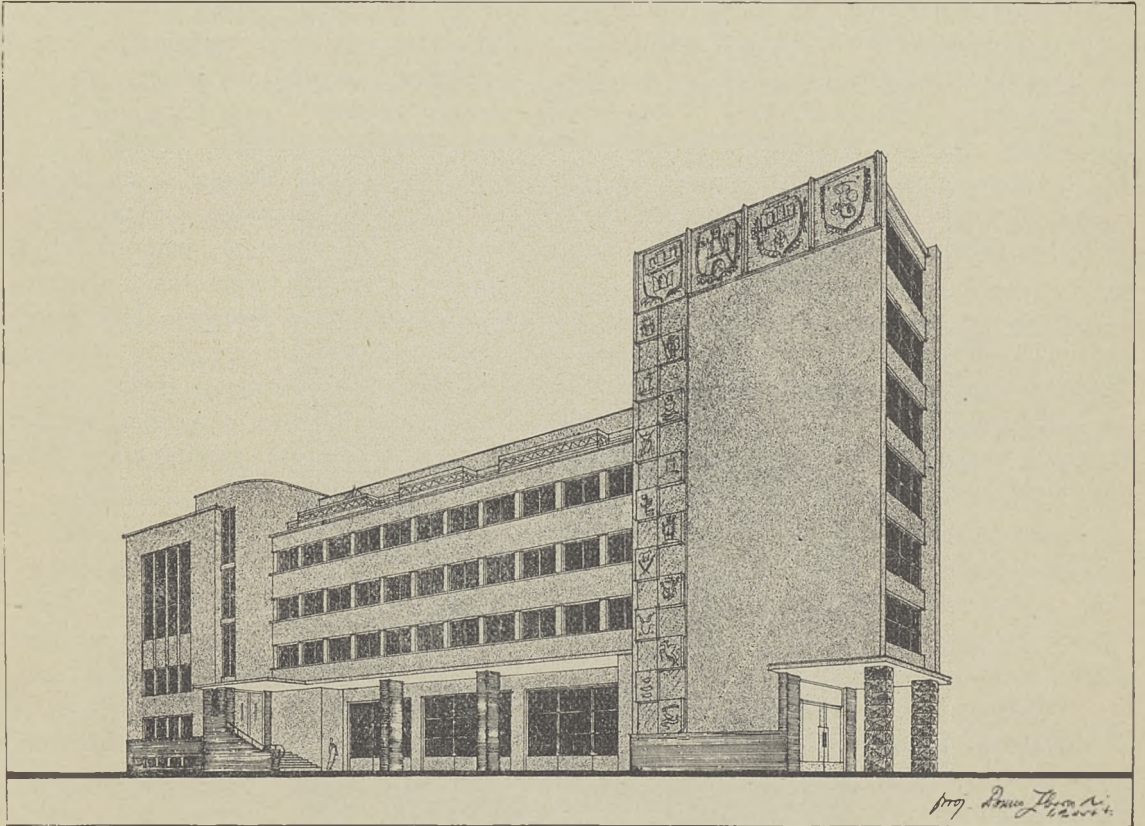


Z I E M I A

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO
KRAJOZNAWCZY DWUTYGODNIK ILUSTROWANY

POLECONY PRZEZ MINISTERSTWO W. R. i O. P.

NASZE MARZENIE



Ryc. 221.

Proj. Arch. Bruno Zborowski.

DOM POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO.

NA JUBILEUSZ P. T. K.

OD REDAKCJI „ZIEMI”.

Stało się, że Rada Główna, postanowiła jubileusz 25-letniego istnienia P. T. K. święcić dopiero w przyszłym roku. Do tego żalostnego postanowienia zmusiły ją życiowe okoliczności — wszechładny kryzys, który i nas dotknął. Dotknął, lecz nie omartwił. Jesteśmy i czuwamy na swoim odcinku pracy. Chcieliśmy ćwierćwiekowy plon jej zebrać w „gruby” tom „Rocznika” i w pierwszą część „Historji Polskiego Krajoznawstwa”. Przedewszystkiem zaś zjechać się w Stolicy Państwa na serdeczną wymianę myśli i uczuć. Dawnym, naszym zwyczajem krajoznawców. Pragnęliśmy nadewszystko najgoręcej, ażeby nasza młodzież krajoznawcza wzięła w tem święcie jubileuszowem jak najliczniejszy udział i przywożąc ze wszystkich stron Polski regionalne pieśni, tu, w sercu jej, zadokumentowała swą obecnością, że w tych 25 latach zapracowaliśmy już trochę na wieczną młodość. Ale kryzys. Nic to. Powetujemy sobie na wiosnę lub w lecie, gdy ziemia oblecze się w nową szatę.

Tymczasem ta krajoznawcza „Ziemia”, wiernie, jak dotąd, służąca swej macierzy, postanowiła od siebie zaznaczyć, że żyjemy pod znakiem roku jubileuszowego. Wszak to jej obowiązek — zbierać krajoznawcze myśli. Wezwawszy zatem co godniejsze pióra swych starych i młodszych Współpracowników pozbierała co mogła (i co jej łaskawie nadesłali, a za co na tem miejscu bardzo dziękuje) i składa niniejszą wiązkę z zapewnieniem oddanej służby. W wiązance tej najwięcej znajdziecie, Szanowni Czytelnicy, wspomnień... Czy to pora jesienna, listopadowa, czy inne po temu się złożyły przyczyny, dość, że wszyscy tu wspominają lub wypominają. W niewielu piórach słychać tętent rwania z kopyta — w przyszłość. Pozornie. Wszyscy (czytajcie uważnie i między wierszami) cieszą się młodością pamięci i pamięcią młodych lat. Słowem są młodzi. Jak zresztą przystało na krajoznawców. To też „Ziemia” cieszy się z takiego Grona i życzy Im jak najdłuższej młodości. Sama zaś kończąc stary rok jubileuszowym numerem, zapowiada, że z nowym rokiem przeobrazą się pod względem treści i formy tak, że jej rodzona macierz nie pozna. Lecz robi to legalnie — uchwałą Rady Głównej. Jeśli zatem będziecie niezadowoleni, pamiętajcie, że niecała odpowiedzialność spada na Komisję Wydawniczą i redakcję, która prosi Was, Czytelnicy i Współpracownicy, o dalsze względy i zjednywanie Towarzystwu i jego organowi nowych członków, a w takiej liczbie, ażeby na następny jubileusz (t. zw. złote gody) nie było w Rzeczypospolitej ani jednego obywatela bez krajoznawczego znaczką.

WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ.

Pzezes Rady Głównej P. T. K.

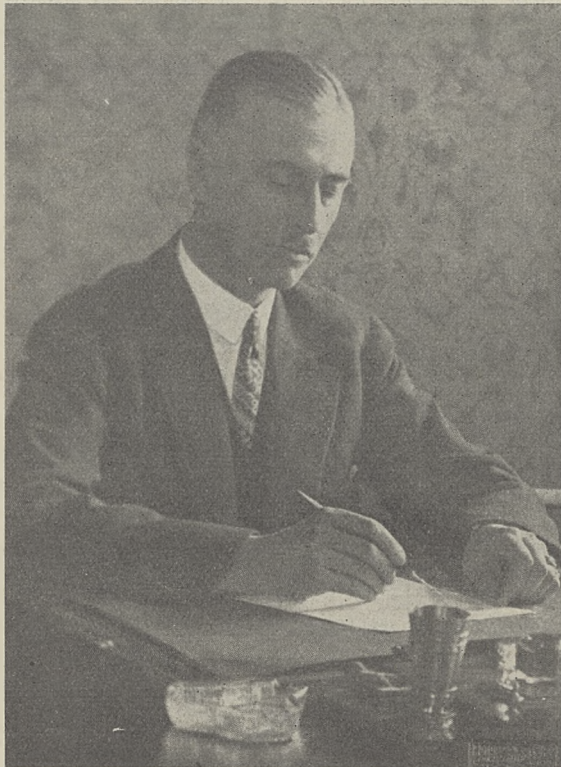
KRAJOZNAWCZY DROGOWSKAZ.

Czyniąc zadość zaproszeniu Redakcji „Ziemi” pozwalam sobie na wypowiedzenie myśli na temat przyszłości polskiego krajoznawstwa, ujętego w pewne ramy organizacyjne.

Muszę na wstępie zaznaczyć, że świadomie pomijam uczuciowe momenty, tkwiące głęboko w polskim krajoznawstwie, podobnie jak i wiedzę krajoznawczą, które razem tak harmonijny stanowiły i stanowią czynnik w P. T. K. Uznając obydwie motywy całego ruchu krajoznawczego za podstawę jego działalności zarówno w przeszłości jak i przy-

słości śmiem twierdzić, że w Odrodzonym Państwie polskim krajoznawstwo czekają bardzo ważne zadania natury organizacyjnej i politycznej. Przedewszystkiem należy skupić, zespolić i zorganizować wszystkie wysiłki, dotychczas jeszcze ciągle rozproszone, w kierunku stworzenia jednego wielkiego zrzeszenia wszystkich miłośników i znawców rodzimego kraju. Miłośnictwo i znawstwo muszą być aktywne. Pierwsze nie może się obejść bez drugiego i odwrotnie. Umiłowanie kraju nie może być li tylko sentymentem i frazesem, nawet patriotycznym. Prawdziwe umiłowanie musi się opierać o poznanie. Z drugiej strony to ostatnie bez szczerego ukochania kraju może się stać suchem i martwem. Ale jedno i drugie wymaga aktywności. Tą zaś dać może zespołowa praca w ujęciu organizacyjnym. Charakterystycznym objawem naszych czasów jest rozproszkowanie wysiłków społeczeństwa na tysiączne cząsteczki organizacji pracujących na jeden temat. Przykłady tego rodzaju społecznych instytucyj spotykamy na każdym kroku. Rozdrobnienie wysiłków, specyficzna atomizacja, prowadzą wespół ze specjalizacją (tak potrzebną w nauce a nawet sztuce) do zwężenia horyzontów, a zarazem spłylenia zagadnień o charakterze państwowo-twórczym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ruch krajoznawczy, zmierzający do wszechstronnego poznania wszelkich wartości kraju pod względem jego kultury duchowej i materialnej, jest w państwie zagadnieniem wybitnie twórczym. Retrospekcja w tym ruchu jest rzeczą nieodzowną. Zdrowy konserwatyzm czy krytyczny tradycjonalizm mogą być pewną ostoją. Aktywność krajoznawstwa musi jednak brać pod uwagę wszystkie czynniki, prowadzące do rozwoju życia kraju, do podniesienia jego duchowych i materialnych walorów, do uczynienia zeń samodzielnego i indywidualnego ustroju w zespole uniwersalnej kultury narodów. Do celu tego prowadzi świadomość jaknajszerszych warstw społeczeństwa, organizowanego w myśl pewnej idei twórczej. Tą

ideą jest w tym wypadku takie poznanie kraju, które może połączyć wszystkich obywateli w jeden czujący a rozumny organizm. Idea krajoznawcza, mająca od początku swego istnienia najszlachetniejsze i najczystsze intencje zespolenia ludzi kochających swój rodzinny kraj, może odegrać w dalszym ciągu rolę pierwszorzędnego łącznika — cementu — rozbitego, rozproszkowanego społeczeństwa. Ale stać się to może pod warunkiem stworzenia jednej, silnej organi-



Ryc. 222.

Władysław Raczkiewicz
Prezes Rady Główniej.

Fot. L. Siemaszko.

zacji, pracującej pod hasłem zespołowej pracy, co nie znaczy aby indywidualności na różnych polach, dziedzinach, specjalnościach i odcinkach były poddane niepożądanemu w żadnym wypadku neutralizacji. Tylko, że te osobowości muszą się jednoczyć i zmierzać do jednego celu. Przykłady takiego pojmowania rzeczy są oczywiste w ustroju samego P. T. K. I to jest jego największą siłą atrakcyjną, to przede wszystkim przyciąga i zjednywa ludzi czynnych i sym-

patyków, to jest wielkim kapitałem na przyszłość. Tu też występuje czynnik polityki. Polityki oczywiście krajoznawczej. Dalekiej od rozgwaru wszelkiej innej polityki zwłaszcza frazeologicznej. Polityki realnej, mającej na względzie dobro Państwa. Dlatego polityka krajoznawcza czy krajoznawców nie może odgraniczyć się chińskim murem od życia. Nie może choćby dlatego, że robią ją żywi ludzie, biorący udział, na różnych odcinkach życia społecznego i państwowego, w tem wszystkim co nazywamy ogólnie zagadnieniami kulturalnymi, ekonomicznymi, socjalnymi i t. d. Wszak krajoznawstwo to nie tylko, jak powiedziałem już, retrospekcja, znawstwo i miłośnictwo tego co było lub pozostało, lecz także i bodaj przede wszystkim tego co jest żywe, tworzące się i sięgające w przyszłość. Nie należy się zatem, mojem zdaniem, obawiać t. zw. aktualności i odwracać się od terażniejszości. Chodzi o wybór, o selekcję, tych wartości, które wydają się dla idei krajoznawczej zapładniające i owocodajne. A o taki wybór nie trudno tym, którzy patrząc na terażniejszość i w przyszłość w wartościach trwałych, ustalonych, minionych najlepszy mieć mogą sprawdzian. Z drugiej strony społeczeństwo musi zrozumieć, że ruch krajoznawczy jest objawem uniwersalnym, przenikającym niemal wszystkie komórki życia społecznego i państwowego. Niema takiej dziedziny tego życia, w której znajomość kraju nie byłaby podstawą do orientacji i załatwiania spraw, związanych z administracją ogólną, samorządową, szkolną i t. d. Nie podobna wyobrazić sobie urzędnika czy działacza społecznego, któryby nie znał jaknajdokładniej terenu swej działalności pod względem geograficznym, historycznym, kulturalnym, ekonomicznym i t. p. A przecież krajoznawstwo łączy również w sobie całokształt różnych zagadnień z zakresu kultury duchowej i naukowej i jest prawdziwym łącznikiem pomiędzy wiedzą czystą a zastosowaniem jej do szczególnych funkcji na różnych odcinkach pracy zbiorowej. Patrząc zatem ze stanowiska ćwierćwiekowej ideologii P. T. K., a mając na uwadze dalszy rozwój Jego, zagwarantowany w poczuciu wyrobionego i twórczego idealizmu, mogę z całą odpowiedzialnością twierdzić, że droga obrana przez Towarzystwo do zjednoczenia wszystkich wysiłków i pracy w dziedzinie krajoznawczej w najszerszem znaczeniu tego pojęcia jest dobra i pewna. Dochodzimy do niej z różnych stron i od różnych warsztatów pracy, spotykamy się jednak w jednym miejscu, gdzie stoi nasz drogowskaz silny i niewzruszony: Ukochanie Ziemi Ojczystej.

ALEKSANDER JANOWSKI.

GARŚĆ WSPOMNIENI.

Parki, przedzące nić mego żywota, musiały to czynić w jakiejś uroczej miejscowości nad Pilicą, czy nad sandomierskim łanem, lub na Tumskiej górze Płocka. Gawędząc, jak rzetelne prządki, orzekły: „Chłopak będzie włóczęgą”. Rzekły.

Rodzina moja wiodła żywot koczowniczy: w piątym roku mego żywota mieszkaliśmy pod Stawiszynem, w ósmym na Podlasiu, w dwunastym w Józefowie nad Wisłą, w piętnastym pod Radomskiem, w dziewiętnastym w Zagłębiu.

Na wrażliwy umysł chłopaka te bezustanne zmiany wpłynęły pobudzająco: liczne kompanje na odpustach w Woli Gutowskiej, najczarowniejsza w Polsce droga Puławy—Włostowice—Bochothnica—Kazimierz z zamkami po Wielkim Królu, ruiny pałacu Lubomirskich w Józefowie, Pławno, Gidle i poblizze Częstochowy, wszystko to jak na czułej kliszy odbijało się i zapadało głęboko w duszę młodego włóczęgi.

Miałem dziewiętnaście lat, gdy przyjechał do mnie do Sosnowca kolega mój szkol-

ny, dobry rysownik, pospolicie zwany „Maljasz”. Wyciągnął mnie na wycieczkę do Ogrodzieńca. Wędrowaliśmy z Zawiercia, chłodząc się wodą to z Warty, to z Przemysłu na tym wąskim wododziale Odry i Wisły. Gdy wyszliśmy na wzgórze za miasteczkiem i ukazały się w swym majestacie potężne mury ogrodzienieckiego zamku, stanąłem jak wryty. Był to niezapomniany wstrząs. Pamiętam, że jak Krzyżowcy na widok murów Jerozolimy, wołałem: „Bóg tak chce!”.

Może to było bezwiedne ślubowanie.

Mury zamczyska uczyniły na mnie kolosalne wrażenie, gdy w pełni lipcowego słońca kreśliły na błękitnie nieba swe potężne szare baszty. Wałęsanie się po ruinach, zaglądnienie do każdego zakątka zabrały nam dużo czasu i aniśmy się spostrzegli, że nadciągnęła gwałtowna letnia burza. Z okien chaty w Podzamczu widzieliśmy całe zamczysko w majestacie rozszalałej nawałnicy. Purpura błyskawic złościła wieżycę, otchłanianie okien czarnymi oczodołami wpatrywały się w rozpętanie żywiołów.

Burza, jak nagle przyszła, tak też szybko przeszła, ale już na pociąg było zbyt późno i musieliśmy zostać na noc w Podzamczu. Czarowna noc lipcowa roztoczyła się nad zamczyskiem. Wielka czerwona, a potem srebrzysta tarcza pełni wypłynęła na niebo, srebrząc mistyczną poświatą Bonerowską budowę. Znów powędrowaliśmy do ruin. „Maljasz” szkicował, ja mruczałem „te zamki, połamane w zwaliska bez ładu, broniły się i strzegły, o niewdzięczny Krymie...”

Siedzieliśmy na złomie w kaplicy zamkowej nad bramą wjazdową, gdy w furcie muru po przeciwległej stronie zamkowego dziedzińca ukazała się wysoka, biała postać, wsparta na wysokim kij. „Pani zamczyska”? Serca drżały... Mieliśmy po dziewiętnaście lat... Postać szła w stronę naszej bramy... Była to stara żebraczka w białej płachcie.

Jak na jeden dzień była to suma wrażeń bardzo bogata, a że obok zamięłowania do włóczędzy, posiadam też wrodzony instynkt belferski, przeto zupełnie podświadomie rozbudziło się w duszy pragnienie: aby te cuda naszej przyrody i kultury mogły być podziwiane przez najliczniejszą rzeszę. To była właśnie bezwiedna koncepcja krajoznawstwa.

Po Ogrodzieńcu poszedł romantyczny Smoleń, Mirów, Bobolice, Siewierz, Mokrografji, nauczałyśmy się piosenek, deklamacji i wyruszaliśmy na dwu- trzydniowe wycieczki wakacyjne. Odbyły się takie wyprawy na Kurpie, w dolinę Warty, z biegiem Wieprza, nad Nidę, a były one przyjmowane wszędzie tak serdecznie po chatach, dworach, plebanjach, miastach i miasteczkach, że ujmowały młode serca swą szczerą gościnnością. Z tych chłopaków



Ryc. 223. Wycieczka na Kurpie. Na plebanji w Kadzidle w 1901 r.

Inż. Stefan Mierzejewski, Prof. Dr. Tadeusz Wojno Politechn. Warsz., Kpt. Andrzej Kulwiec, naucz. historii, Prof. Dr. Kazimierz Rouppert Uniw. Jagiel., General br. Stanisław Rouppert, Nacz. W-łu M. S. Z. Leon Chrzanowski, Inż. pułk. Kazimierz Jakowski, Marjan Jumborski naucz. matematyki. Siedzą w środku: adw. Kozłowski, ks. kan. Bosacki i Al. Janowski.

gafji, nauczałyśmy się piosenek, deklamacji i wyruszaliśmy na dwu- trzydniowe wycieczki wakacyjne. Odbyły się takie wyprawy na Kurpie, w dolinę Warty, z biegiem Wieprza, nad Nidę, a były one przyjmowane wszędzie tak serdecznie po chatach, dworach, plebanjach, miastach i miasteczkach, że ujmowały młode serca swą szczerą gościnnością. Z tych chłopaków

W roku 1890 przenieśliśmy się do Warszawy. Tu brałem zwykle dwunastu chłopaków z różnych szkół. Nakreślałem marszrutę, przygotowaliśmy się z dostępnej biblio-

ków, co biegali wtedy ze mną, kilku jest profesorami wszechnic, kilku na wysokich urzędach wojskowych i cywilnych, a choć to 30 lat dzieli nas od owych młodzieńczych wypraw, do dziś jednak pozostały najserdeczniejsze przyjacielskie stosunki pomiędzy nami.

Śmieszne bywały zajścia z przedstawicielami władz rosyjskich. Nietylko żaden „gorodowej” w miasteczku, lecz nawet policmajstrzy nie mogli pojąć, co znaczą te wędrówki, co one kryją w sobie? Stereotypowe pytanie strażnika było: „A czto eto pan wy płany snimajetie?”. Wielokrotnie nasze plecaki były skrupulatnie rewidowane, wiele protokółów spisano, moc pogroźek „a to budiet płocho” wysłuchaliśmy. Wszystko to było tylko bodźcem do wesołości i długich rozmów po wycieczce.

Wyprawy z młodzieżą odbywały się tylko w wakacje, zaś na święta, galówki i niedziele w ciągu roku mieliśmy kwartet lutnistów. Z nimi to i z pieśnią dużo też kraju zwiedziłem. Wreszcie sprawiłem sobie rower i ze ś. p. Rajmundem Cholewińskim dużośmy się nawłóczyli.

Nareszcie nadszedł czas, aby ten ruch nieskoordynowany ująć w jakieś ramy organizacyjne. Rzuciłem projekt założenia Towarzystwa Krajoznawczego. Eh, do projektów zawsze byłem skory, gorzej z ich urzeczywistnieniem. I może ten projekt nie byłby zrealizowany, gdyby nie ujął go w swe dłonie Kazimierz Kulwieć, wytrwały, uparty i nieustępliwy pono Zmudzin z rodu. Jego to jest zasługą, że Polskie Towarzystwo Krajoznawcze zostało zorganizowane.

Boże, jak myśmy kochali tę placówkę! Złączyła ona nas, stopiła w jedną kadrę służby dla Ojczyzny. Byli tam i endecy i pepeesi i wszelakie partje i poglądy, ale było to tak przedziwnie zgrane, że z utęsknieniem wyczekiwało się tej 6-ej godziny, gdyśmy się zbierali w lokalu Towarzystwa.

Zwłaszcza Kulwieć, Thugutt, Wisznicki i ja, to też był swoisty kwartet, jednomyślny, nierozłączny, a na śmierć i życie zaprzysiężony Towarzystwu.

A w Towarzystwie ten kwartet coraz nowe wysuwał myśli, kreślił plany, tworzył placówki; powstały: Sekcja Miłośników Warszawy, Sekcja Miłośników Gór, Towarzystwo Kresów Mazurskich, Komisja Fizjograficzna, Sekcja Młodzieży, skąd też paru wyszło na katedry uniwersyteckie. Towarzystwo pierwsze poruszyło sprawę ochrony przyrody, inwentaryzacji zabytków, badań naukowych w Łysogórach, wydawanie przewodników, budowanie schronisk, słowem była to działalność zdumiewająco wielostronna i wielce owocna.

Jakiś przyszły monografista o działalności Towarzystwa będzie miał dużo do opracowania, zwłaszcza, że swemi Oddziałami objęło ono całe Ziemie Polskie, mianując swych Członków-Korespondentów tam, gdzie zatwierdzona przez władze ustawa nie dozwalała na otwieranie oddziałów.

Wystawy etnograficzne, fotograficzne, wycieczkowe, kartograficzne, przyrodnicze, organizowane przez Towarzystwo, zapoznawały mieszkańców Stolicy i Kraju z pięknem i bogactwami Ojczyzny, a Muzea Krajoznawcze ocaliły od zagłady niejednen zabytek sztuki i kultury.

Słowem, piękne to były owe lata do wybuchu Wielkiej Wojny, która rozmiotła lwią część dorobku materialnego. Natomiast dorobek duchowy pozostał, skryształizował się w cząstkę potężnego ruchu niepodległościowego, a ten aureolą Wolności zapłonął nad naszym Narodem.

Z SIEJBY KRAJOZNAWCZEJ.

Skwapliwie korzystam z uprzejmego zaproszenia przez Sz. Redakcję do zabrania głosu w Jubileuszowym Numerze *Ziemi*, z którą przez szereg lat pracą swą krajoznawczą tak ściśle byłem związany, i przesyłam kilka uwag swoich i spostrzeżeń, zarówno momentu narodzin tego organu jak i pożądanymi możliwościami rozwojowymi w jego przyszłości — dotyczących.

Spostrzeżenia te i wnioski wyprowadzić by potrafił niewątpliwie każdy przenikliwszy historyk, pracujący nad rozwojem naszego życia duchowego od początku bieżącego stulecia; rozwój zaś naszej idei krajoznawczej, okoliczności, w jakich na gruncie społecznej pracy naszej ona wykiełkowała i na gruncie ojczystym mocno się zakorzeniła — w dokumentach drukowanych by odnalazł, gdyby Roczniki sprawozdawcze z lat 1905—1907 zarówno samego Towarzystwa Krajoznawczego, jak i pokrewnych mu duchowo organizacji warszawskich z okresu tego uważnie przejrzał. Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie, Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich oraz Polska Macierz Szkolna — z łona swego dostarczyły pierwszych pracowników i inicjatorów organizacji krajoznawczej na terenie zaboru Rosyjskiego, a zwłaszcza, na obszarze Królestwa. Do akt organizacji tych więc zajrzeć by musiał każdy, ktoby genezę Towarzystwa Krajoznawczego dokładnie zobrazować pragnął.

Nadmieniając o tem nawiasowo, pragnę tu jednak zwrócić uwagę na trzy dokumenty, które przez ostatnie lat kilkanaście, w tak doniosłe wypadki polityczne brzemienne, popiołem zapomnienia przysypane zostały, a mianowicie: 1) I Rocznik Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego z r. 1907, 2) Prospekt „Ziemi”, wydrukowany p. t. „Zapowiedź na rok 1910” w III Roczniku Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego z r. 1909, oraz 3) 1 Nr. „Ziemi” z daty 1 stycznia 1910 r.

Wydaje mi się, że było by pożądanym, aby te trzy dokumenty w roku jubileuszowym Towarzystwa otrząśnięte zostały z tego popiołu zapomnienia. Uważne ich odczytanie, w chwili obecnej, przynieść by mogło, pewien pożytek, dla czynnych obecnych kierowników i działaczy naszej polskiej niwy krajoznawczej. A również i dla biernych tej pracy „odbiorców i spożyców”, dla czytelników „Ziemi” znalazłaby się tam strawa wcale smaku nie pozbawiona.

A zresztą, nie tylko wobec jubileuszowej uroczystości, przystoi wszystkim krajoznawcom jaknajdokładniej uświadomić sobie wszystkie okoliczności, w jakich praca nasza poczęta została, lecz i z ogólniejszego stanowiska rzecz pod uwagę biorąc, w chwili dzisiejszej, gdy się dookoła słyszy utyskiwanie na brak haseł ogólnie uznanych, na zanik



Ryc. 224.

Kazimierz Kulwieć. Członek honorowy P. T. K.

tej gwiazdy przewodniej, która wysiłkom pracy narodowej stale przyświecać winna — dobrze jest przenieść się myślą do tego nieodległego wszak momentu, gdyśmy i hasło takie w głębi dusz naszych wyraźnie słyszeli i gwiazdę taką na firmamencie ówczesnym stale widzieli.

Boć nie ulega chyba wątpliwości, że zasadnicze hasła płynęły z miłości do Ojczyzny w kajdany skutej i że gwiazda — do jej uwolnienia wiodła. Takie hasła i gwiazdy nigdy zgasnąć lub zblednąć nie mogą.

„Przez poznanie — do umiłowania, a przez umiłowanie — do czynów ofiarnych”, hasłem było i po wieczne czasy pozostać musi zawołaniem zarówno wobec Polski w le-targu spoczywającej jak i wolnej, Tej dzisiejszej, która do pełni rozwoju i potęgi niezró-wnanej dążyć musi.

Hasło to jest i dość zrozumiałe i na tyle silne, że po przez najcięższe przeżycia i najgłębsze przeistoczenia ostać się może, zasługuje więc na miejsce dostojne i na co-dzienne — jak pacierz i na uroczyste, jak modlitwa, głoszenie.

Wydaje mi się rzeczą bardzo pożądaną, aby tak mało dostępne dziś dla polskiego ogółu czytającego trzy powyżej wskazane enuncjacje założycieli, zarówno Towarzystwa Krajoznawczego, jak i organu jego „Ziemi”, zostały do potrzeb dzisiejszej chwili udo-stępnione, bądź w formie przedruku, bądź w postaci szczegółowej analizy genetycznej.

Ze swej strony pragnąłbym przypomnieć kilka szczegółów, tyjących tych wewnętrz-nych nastrojów i tendencji, któremi organizatorowie pierwszych w Polsce placówek kra-joznawczych byli przepełnieni. Szczegóły te zaledwie tu i ówdzie pomiędzy wierszami znaleźć i odczytać można.

1-o. Odczuwanie potrzeby zbiorowej, zorganizowanej pracy, nad budzeniem w społe-czeństwie naszym zdrowego patriotyzmu, zrodziło się samorzutnie u tych wszystkich pra-cowników ideowych, którzy zarówno przy tworzeniu Macierzy Szkolnej Warszawskiej jak i Stowarzyszenia Nauczycielskiego czynny przyjmowali udział. Jasny, ściśle okre-ślony cel ten wydawał się nam godnym podjęcia wszelkich wysiłków, aby wykorzystać moment pewnego odprężenia politycznego, jakie się dało odczuć w zaborze rosyjskim po przegranej przez Rosję wojnie japońskiej — wobec zniesienia cenzury i pewnych ulg w tworzeniu się związków i stowarzyszeń. Nie potrzebowaliśmy podejmować żadnych specjalnych wysiłków w kierunku reklamowania naszych zamiarów lub zabiegów o pozy-skание członków dla projektowanego stowarzyszenia. Poprzestawaliśmy na przyjmowaniu do swego grona tych, którzy sami się do nas — „do krajoznawstwa polskiego” garnęli. Nie było też żadnych sporów przy formowaniu szczegółowego planu działania i układa-niu paragrafów statutu.

„Tacito consensu” — same się raczej jakoś i ów plan i statut ułożyły — gdyż płynęły one z dość jednomyślnie nastrojonych w tym kierunku usposobień i przekonań — pomimo, iż na liście założycieli znalazły się nazwiska reprezentujące najrozmaitsze odła-my ówczesnych stronnictw politycznych.

Nie legitymowaliśmy nikogo z tych, którzy się do nas, na zebranie przedwstępne, a potem na członków P. T. K. zgłaszali, nie chodziło nam bowiem wcale o to, jaką pieczęcią polityczną rekrutowani krajoznawcy się pieczętują, lecz raczej o to, jaką wiedzę i jakiej siły uczucie patriotyczne z sobą przynoszą.

I to było najmocniejszym dla nas cementem.

2-o. Wypadek zrządził, że najliczniej w gronie naszym reprezentowani byli przy-rodnicy i geografowie, nauczający w odrodzonej, po r. 1905, polskiej szkole średniej na gruncie warszawskim i zogniskowani w mało znanej nazewnątrz Komisji Przyrodniczej przy Towarzystwie Ogrodniczem Warszawskim.

Okoliczność ta zaważyła wybitnie na charakterze tego podłoża, na którym patriotyzm polski musiał być podsycany, oraz na metodzie pracy. Wycieczki geograficzno-przyrodnicze stały się kamieniem węgielnym naszych oddziaływań.

W skromniejszych znacznie rozmiarach dopełniał przyrodników „element historyczny”, aczkolwiek przekonaliśmy się rychło, że samo piękno przyrody, wymowa krajobrazu ojczystego są raczej tłem tylko, na którym nawiązywanie wspomnień historycznych do naszej, pełnej chwały, przeszłości dziejowej, najskuteczniej porusza struny duszy polskiej do pełnego akordu wzruszeń patriotycznych.

3-o. Suchy, lakoniczny, bo zwięzły i oficjalny był nasz pierwszy statut krajoznawczy. Był on bowiem raczej nazewnątrz skonstruowanym szyldem, niż właściwym programem zakreślonej sobie przez nas istotnej działalności.

Program ten tkwił w głębi naszych serc i mózgów i stamtąd, a nie ze statutu, czerpaliśmy impulsy do wszelkich poczynań w pierwszych latach działalności Tow. Krajoznawczego. I jeżeli prawdą jest, co mówią, że mowa jest po to, by za nią myśli utrzymać się mogły, to z jeszcze większą słusnością powiedzieć można to samo o wszelkich statutach, które w latach 1906—7 dla zaspokojenia dojrzałych polskich potrzeb społeczno-kulturalnych w zaborze rosyjskim zalegalizowane zostały. Były one ciasnym wentylem, po przez który nadmiar tajonej przez długie lata niewoli energii narodowej słaby i ostrożny upust znajdował.

W podziemiach konspiracyjnych do r. 1905 tajona, znalazła ona tu dość nagle wyładowanie i przy „wentylu” krajoznawczym.

4-o. Przez pierwsze dwa lata swego istnienia P. T. K. działało z niezmierną ostrożnością. Rozumieliśmy bowiem wszyscy, przy „sterze krajoznawczym” skupieni, że bazyliżkowe oko administracji rosyjskiej wpatrzone jest stale we wszelkie nasze poruszenia i że wystarczyłoby najmniejszego wychylenia się poza ścisłe granice, zakreślone nam przez statut, aby spotkał nas los świeżo zamkniętej Macierzy Szkolnej. Nawet wycieczki krajoznawcze, poza 10 gubernij Królestwa wychylające się, już były na indeksie, jak dowiodło tego dochodzenie, wszczęte przez gubernatora Podolskiego z powodu odbytej podróży krajoznawców warszawskich do Kamieńca podolskiego — sprawa, którą z wielkim wysiłkiem dało się zaledwie zażegnać, od katastrofy likwidacyjnej Towarzystwo chroniąc.

5-o. Wyraźniejsze oblicze swe okazaliśmy nazewnątrz dopiero w r. 1910, przystępując do wydawnictwa „Ziemi”.

„Lekkomyślnie niedbałym nazwalibyśmy człowieka, nieznającego domu, który zamieszkuje, pola, które zasiewa, warsztatu, przy którym pracuje. Po stokroć lekkomyślnym byłby naród, niechący znać odwiecznego ojców swoich dziedzictwa, nie szukający poznania sił swoich i środków, budujący swe gmachy na piasku.

A jeżeli w ostatnich czasach zdaje się niewątpliwie budzić u nas dość żywe i powszechne zamiłowanie do rzeczy swojskich, jeżeli niejedno już poczynanie w tym kierunku przedsięwziętem zostało — u początku przecie stoimy, nie u końca” — tak pisaliśmy w prospekcie (ob. Rocznik P. T. K. III. 1909), pierwszy zaś numer organu tego już niczego w bawełnę nie obwija.

Korzystając z otrzymanej na wydawnictwo „Ziemi” koncesji na imię prywatne, już w pierwszym jej numerze podaliśmy zarówno szkic programu badań krajoznawczych (pióra d-ra Ludomira Sawickiego), w którym nie tylko żadnych ograniczeń ze strony granic politycznych dla terytorjów swych zainteresowań krajoznawczych (w Statucie Tow. Kraj. wyraźnie zastrzeżonych) na ziemiach polskich nie zakreślaliśmy, lecz przezornie — oświadczaliśmy wyraźnie, że „wszędzie, gdzie myśl polska, gdzie piaca rąk polskich zostawiły

ślady swej działalności, zatrzymamy się uważnie, pilnie i baczenie, pragnąc w swojej i cudzej pamięci utrwalić to nawet, co niekiedy już gasnącem tylko jest echem“.

A żeby nie było żadnej pod tym względem dla czytelników naszych wątpliwości, na pierwszej stronie 1-go numeru „Ziemi” przy artykule wstępnym „Żywe kamienie”, podaliśmy dwie ilustracje: 1) Kamień Filaretów — oblepiony dokoła młodzieżą szkoły polskiej, która ze stolicy swej przybyła tu, w nowogródzkie strony, by złożyć hołd Wieszczowi za ideały przez ten symboliczny głaz granitowy jej przekazane i 2) Kamień zpod Maciejowic z podobizną mazura tamtejszego, Jana Lewandowskiego, który głaz ten własnym trudem i kosztem pięknym krzyżem przyozdobił.

Ilustracjami temi, zarówno jak i całym zagajeniem pracy swej na łamach „Ziemi” zakreślonej stwierdzaliśmy, że żadnych kordonów uznawać nie będziemy. Taki sam demonstracyjny charakter miało zapoczątkowanie „Monografij Krajoznawczych” pracą Gustawa Manteuffla — „Jezioro Łoban w Inflantach Polskich”, a więc obiektu w bardzo odległym, kresowym zakątku Polski Historycznej położonego.

Historycznych, chociaż mniej odległych, bo napoleońskich sięgał czasów czwarty z kolei artykuł w tym numerze podany p. t. „Talerze w Falentach” — pióra Mikołaja Wisznickiego, długoletniego ilustratora i kierownika artystycznego „Ziemi”. Wreszcie sekretarz redakcyjny p. Stanisław Thugutt, ukrywając swe cięte pióro pod pseudonimem „Boruty”, mocnym tonem uderza w struny patriotyczne czytelnika w feljetonie swym „Gawędy krajoznawcze”, stając w obronie racjonalnej opieki nad naszymi zabytkami historycznymi, grożąc, że jeżeli nie położony będzie kres dokonywanym spustoszeniom w tej dziedzinie, to „niebawem kraj cały jak szeroki i długi stanie się typowem „miejscem pobytu,” bez pamiętek, bez sztuki, bez wiatru, który uciekł, bez zieleni, która zwiędła, bez wody, której nie chce się nikomu szukać pod ziemią”.

Wreszcie w „Kronice krajoznawczej” podawaliśmy najnowsze wiadomości z Warszawy, z Chełmszczyzny, z diecezji Wileńskiej, z Lidy, z Wołynia (Korzec), z Krakowa i z Poznańskiego. Pierwsze więc ziarno, jakie rzuciliśmy od redakcji „Ziemi” zawierało w sobie pierwiastki wszechpolskie i to zarówno w przestrzeni jak i w czasie.

6-o. Powzięta przez Zebranie Walne Tow. Kr. uchwała z d. 27 lutego 1910 roku, uznająca „Ziemię” za organ Towarzystwa, miała charakter zobowiązania moralnego dla zrzeszonych krajoznawców pod względem obowiązującej ich prenumeraty — nie stworzyła jednak dla wydawnictwa tego trwałej podstawy materialnej.

Podstawę tę stanowił „Komitet Przyjaciół Ziemi” — z 15 osób złożony. Zasiłki Komitetu tego pokrywały niedobory wydawnictwa w ciągu lat dwóch, w trzecim bowiem, dzięki energicznym zabiegom administracji „Ziemia” stanęła już na nogach własnych. Stan ten samowystarczalności „Ziemi” przetrwał aż do momentu wybuchu wojny wszechświatowej. Ilość prenumeratorów aż do r. 1914 stale wzrastała. Olbrzymią większość ich stanowili jednak czytelnicy, do T. Kr. nie należący.

7-o. Wstrzymując się od jakichkolwiek wniosków, dotyczących dalszego rozwoju „Ziemi” wogóle, a w szczególności od odpowiedzi na pytanie, w jakiej mierze rzucone przed laty 25 ziarno nasze plon wydało — poprzestanę na wypowiedzeniu tego przekonania, że na łamach „Ziemi” w chwili obecnej winien być w znacznie większych rozmiarach uwzględniany dział, poświęcony krajoznawstwu państw i narodów z Polską sąsiadujących. Mam na myśli przede wszystkim krajoznawstwo słowiańszczyzny. Wymagają tego zarówno stosunki nasze polityczne jak i to zainteresowanie, jakie wśród inteligencji czytającej do krain słowiańskich tak wyraźnie występuje.

Powstał cały szereg związków zarówno w Polsce jak i w Czechach, na Słowac-

czyźnie, w Jugosławji i Bułgarji, które pracują nad najściślejszem zbliżeniem wzajemnem Słowian między sobą.

Zjazdy i kongresy prawie co rok w różnych większych miastach słowiańskich zwoływane załatwiają najróżnorodniejsze specjalne zagadnienia zarówno z dziedziny polityki jak stosunków gospodarczych i kulturalnych oraz turystycznych.

Krajoznawstwo słowiańskie na takim samym podłożu uczuciowo-ideowem, na jakim od szeregu lat uprawia go u siebie P. T. K. — winno również dojść do głosu. A dobrze będzie jeżeli inicjatywa taka wyjdzie od Polski. Powołaną jest do tego przede wszystkim „Ziemia”. Poznajmy jak najbliżej pobratymców naszych i ich piękne a tak różnorodne w swej krasie i bogactwach kraje, a najlepiej przygotujemy grunt do pomyślnego rozwoju tych stosunków, jakie wyżłobią przyszłe dzieje tej wielkiej rasy, której największą bodaj słabością jest brak samowiedzy.

KAROL HOFFMAN.

WSPOMNIENIA Z KRAJOZNAWSTWA.

Byłem przy narodzinach Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Zbliżenie się do inicjatorów tej instytucji, wciągnięcie mnie do grona założycieli, zawdzięczam memu ukochaniu suwalszczyzny i stron nadniemeńskich. Czasy szkolne (1866—1872), potem urzędowania (1876—1880) w Suwałkach, ze stałemi wyjazdami wakacyjnymi w marjampolskie, nad Niemen, lasy, jeziora augustowskie, Wigry, Dowsbuda — z wrażeń dziecięco-młodzieńczych wdarły się w serce tułacza na całe życie doczesne. W wędrówkach swoich życiowych znalazłem się na bruku warszawskim w r. 1896, gdzie się zdomowiłem jak się zdaje do zgonu. Tęskniąc zawsze do krainy dawnego woj. augustowskiego, o którego czarownej przyrodzie tak ponętnie pisał już w połowie zeszłego wieku Połujański. Bolało mnie to, że w XX-tym wieku strony suwalskie nazywano krajem zabitym od świata deskami, a redaktor „Gazety Kieleckiej” wyznawał szczerze, iż więcej wie o Afryce, niż o Suwalszczyźnie. Umyśliłem spopularyzować te „Nieznane zakątki kraju”. I swój urlop redakcyjny w r. 1903 umyśliłem poświęcić na wycieczkę — do Augustowa, jego okolic, potem do Suwałk i Wigier, opisać ją i zilustrować. Jako towarzysza podróży i współpracownika, zabieram swego szwagra - fotografa, ś. p. Romana Marczewskiego; zaopatrzeni w dowody osobiste, w zaświadczenie redakcji „Biesiady Literackiej”, jako upoważnieni przez nią do czynienia zdjęć i opisów Suwalszczyzny, które się znajdują na łamach tego pisma — wyruszyliśmy do Augustowa.

Nie wątpiłem, że władze tamtejsze przychylnem okiem spojrzą na naszą ekskursję krajoznawczą; wszak te opisy i rysunki przyczynią się do spopularyzowania nieznanych stron, ożywią ruch turystyczny, przysporzą zarobków ludności. Na wszelki przypadek zabrałem z sobą wycinek z dziennika, obwieszczający, jako komisja archeologiczna (w Petersburgu) zaleca wszystkim miłośnikom przeszłości, zdejmowanie widoków starych gmachów, ruin pamiątkowych, zabytków historycznych i t. p. Dlaczegoż by słynny kanał augustowski z jego śluzami, jeziora studzieniczne i wigierskie, wiekowe kościoły nie mogły być sfotografowane? Przecież to nie forty twierdzy...

Wizyta w biurze naczelnika powiatu augustowskiego rozwiła światoburcze zamysły. Złeśmy trafili, jak nas poinformował mój dawny znajomy — naczelnik powiatu wyjechał do Grajewa, naczelnik straży ziemskiej bawi na urlopie; zastępuje zaś ich najgorszy, najzawziętszy, bo... b. Polak.



Ryc. 225.

Kościół p. w. Niepokalanego Poczęcia M. B., d. OO. Kamedułów
w Wigrach.

Fot. Al. Janowski.

Jakoż ten zdumiony naszym przyjazdem, zamiarem opisywania i fotografowania miejscowości, w których niema nic ciekawego, nie dał się przekonać odezwą komisji archeologicznej. — Kamisja swaim czeredom, a siekretnyje podpisanja swaim. Cirkular (data Nr.) wospreszczajet praizwodstwa fatagraficzeskich snimkow. Ujezd pagraniczny, ujezd z bywszymi unjatami. Nie razrieszaju snimkow. Praszczajtie mnie niekagda!

Ośmieliłem się zapowiedzieć, że zaapeluję do gubernatora. Z marszem kurczowym na twarzy zastępca naczelników rzucił: „Zdielejtie adażenje”. W biurze

telegraficznem urzędnicy chichotali nad moją depeszą do gubernatora. Mój towarzysz Romek nie wziął do serca zakazu zastępcy. Szwagier zaapelował, dopóki nie będzie odpowiedzi, zakaz nie ma siły prawomocnej. I wyłoniwszy aparat, zabiera się do zdjęcia ulicy „pryncypalnej”. Wtem z za rogu przyległej wyjeżdza pułkownik kozacki, a za nim luzak z parą koni. Romek zdążył w czas, nim się znaleźli na linii, objętej kliszą, pstryknąć — zdjęcie gotowe.

Pułkownika zainteresował fotograf. Uśmiechem przyjaznym, kołyszając się na siodle, podjechał ku Romkowi i zasalutowawszy zapytał go pierwszy, po rosyjsku naturalnie:

— Pan, młodzieńcze, robi zdjęcia?

— Tak, panie pułkowniku.

— A mnie może pan zdjąć?

— Mogę.

— Koń też „wyjdzie” na kliszy?

— Wyjdzie.

— Proszę, bądź tak grzeczny — zdejmij pan mnie.

— Z przyjemnością.

— To, zdaje się, dla ilustracji pan robi?

— Tak, panie pułkowniku.

— Ładnie! Zobaczę rad tę ilustrację.

— Teraz, p. pułkowniku, proszę podkręcić węża do góry, tak; rękę pod bok...

Tak! Doskonale!

I luzak kozacki upozował swą figurę, naśladowując swego zwierzchnika.

— Uwaga! Spokojnie! — zakomenderował Romek.

Fotografowani skamienieli. Pstryknięcie. Gotowe.

— Dziękuję — pułkownik na to. — Przyślijcie mi swój żurnal.

Ukłony, pozdrowienia gestami, odjazd.

— Zdjąłeś ich? — pytam Romka. — Szkoda kliszy!...

— Gdziez tam! Nie zakładałem wcale kliszy. Pstryknąłem tylko.

Pojechaliśmy nie tracąc czasu do Studzienicznej. Na wszelki przypadek trójnóg statywowy zakopaliśmy w słomę na furze, aparatowi zaś, otulonemu pledem, nadaliśmy formę niewinnej „paczki”.

Gdyśmy znaleźli się przy służbie „Przeważ”, Romek objął ster machinacji, mających zjednać zaufanie robotników, zajętych w pobliżu służy!

— Chłopcy, hej, pomóżcie mi przynieść „astrolabje”!

Stanowczość i rezolutna pewność siebie Romka wpoila w robotników przekonanie, że mają do czynienia z inżynierami; pozdejnowawszy czapki, przydźwigali; jeden — trójnóg, drugi — aparat fotograficzny czyniąc z ochotą wszelkie posługi przy przenoszeniu tych przyrządów i wybieraniu miejsc cienistych dla Romka, a najpodatniejszych, najpiękniejszych do zdjęć, wkońcu odnieśli nam pakunki na furę.

Gdy zaś, na pożegnanie, otrzymali po kilkanaście groszy, obsypali nas błogosławieństwami i życzeniami szczęśliwej podróży. Gdy zniknęli nam z oczu, Romek wesoło wykrzyknął: — „Tak się robi”.

W Studzienicznej, na plebanji, odetchnęliśmy pełną piersią. Księdza rektora Konstantego Pieczkajtysa odszukaliśmy w ogródku, pod drzewem, zatopionego w czytaniu „Potopu” Sienkiewiczowskiego. Przyjął nas nader gościnnie, jakby kogoś bliskiego z rodziny. Oprowadził nas wszędy, ułatwił zdjęcia: jeziora, studzienki, kaplicy na t. zw. „Grądziku” — zewnątrz i wewnątrz.

W rozmowie z księdzem, wyraziłem obawę, że nam mogą odebrać klisze z temi widokami, jeżeli gubernator zabroni nam zdjęć...

Zacny gospodarz ułatwił nam wyjście z niebezpieczeństw: należy bezzwłocznie wywołać zdjęcia, klisze z widokami Studzienicznej zostawić pod opieką proboszcza, który odwiezie je na kolej i dostarczy do wagonu po drugim dzwonku. Z wdzięcznością przyjęliśmy tę pomoc dobroczynną. Romek zamknął się w piwnicy plebańskiej, poczynił stosowne zabiegi, aby się klisze nie przeświectliły, poczem umieścił je w kasecie i oddał w depozyt gościnnemu gospodarzowi. Ufotowani, ugoszczeni opuściliśmy Studzieniczną nad wieczorem.

Gdy stanęliśmy na godzinę przed odejściem pociągu do Suwałk, przed t. zw. „hotelem”, ujrzeliśmy przed bramą 4-ch policjantów ze starszym strażnikiem ziemskim na czele. Miny ich, bardzo zadowolone i drwiące, wywołały pomruk Romka: „Oho! wiem już, jaka jest odpowiedź!”. Wchodzimy do numeru, za nami „starszy”. — „Naczelnik kazał wam oddać otwiot gubernatora” — ogłosił podając zmiętą i wybrukaną depeszę. Treść znamy bez czytania, skoro depeszę przesłano do naczelnika, a nie do tego, który opłacił odpowiedź z adresem swoim, „*Fotograficzeskije snimki Gofmanu wospreszczajutsa*”. (Podpis) — szto i trzeba było dokazać — z głośnym śmiechem wykrzyknął Romek.

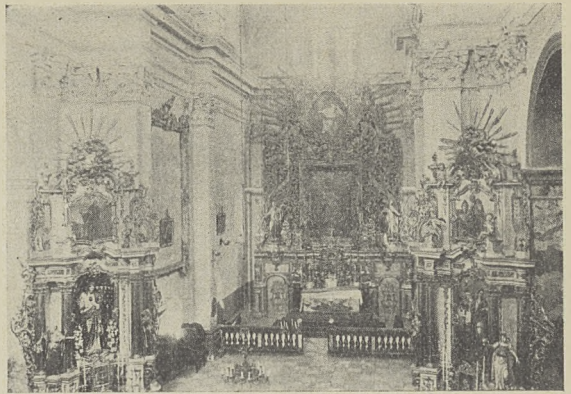
„Starszy” spochmurniał i ostrym tonem polecił mi „rozpisać się” w otrzymaniu depeszy. Podpisałem cyrograf.

— A teraz do prędkiego niewidzenia! — z uprzejmym uśmiechem zaproponował Romek „starszemu”.

Ten znowu się nasrożył i jeszcze ostrzej zameldował, że „naczelnik” kazał się nas spytać kiedy wyjedziemy z Augustowa.

— Tędy go wiedli! — syknął Romek.

— Proszę uspokoić „naczelnika” — odparłem z nietajoną ironją — nie mamy tu co robić. Hej, numerowy, rachunek! Pierwszym pociągiem wyjeżdżamy do Suwałk!



Ryc. 226.

Fot. Al. Janowski.

Wnętrze kościoła p. w. Niepokalanego Poczęcia M. B.,
d. OO. Kamedułów w Wigrach.

Bez żadnych oznak towarzyskich grzeczności na pożegnanie z obu stron, „starszy” opuszcza numer hotelowy. Doleciał nas jeszcze rozkaz „starszego” wydany „młodszym”:

— Sadis adin z drugim na pawozku i marsz na wagzał! Ja toż tam budu!

Zdążyliśmy na dworzec już po pierwszym dzwonku. Chyba całą policję augustowską uruchomiono na dworcu, aby śledziła, niebezpiecznych dla państwa rosyjskiego, podróżników. O tej porze, w samym Augustowie mogli grasować złodzieje, rabusie, podpalacze; policja była zajęta czemś nierównie ważniejszym.

A przecież nie wysledzili nic więcej nad to, że „niebezpieczni podejrzani wędrowcy” istotnie wyjechali do Suwałk.

Uszło za to ich uwagi, że na chwilę przed drugim dzwonkiem, z za lasku nawprost dworca, wyjechała bryczka, z której wysiadł dorodny, na schwał mężczyzna, w długiej do samej ziemi burce (jako że i pod koniec lata bywają wieczory chłodnawe, z małą kasetą w rękę, rozejrzał się po oknach wagonów, dostrzegł w jednym z nich znajome twarze, siedzieliśmy już w „niepalącym” od chwili, gdyśmy wpadli na dworzec), wszedł do środka i na niezajętą półeczkę do bagaży położył — od niechcienia — kasetkę. Z nikiem się nie witając, ani nie żegnając, wyszedł, wsiadł na bryczkę i — odjechał tam skąd przybył... W ten sposób pożegnaliśmy się bezsłownie z czcigodnym księdzem Pieczkajtisem. Nie widziałem go od tego czasu i nie wiem gdziebym się mógł z nim spotkać — w życiu doczesnem.. Dzięki niemu — gdy pociąg ruszył, „zakazane fotografie” pojechały do Suwałk. Tam dla wszelkiego bezpieczeństwa — rozstaliśmy się z sobą: ja — w hotelu, Romek u gościnnych Brunonostwa Tyszków spędzaliśmy noclegi. Romek, bez żadnych przeszkód, sfotografował wszystko co było do zdjęcia — w Wigrach. W wyniku naszej wycieczki opisy Wigier znalazły się: w „Kurjerze Warszawskim”, z rysunkami zaś — w „Biesiadzie Literackiej”, w „Ziarnie”, „Dzwonku Częstochowskim” i jak się dowiedziałem w ostatnich czasach, przedrukowywane (kopjowaniem rysunków) były w Wielkopolskich tygodnikach popularnych. Pod fotografjami z Wigier podałem nazwisko Marczewskiego, Studzieniczna i Augustów nie uwieczniały (?) tego nazwiska, gwoi ostrożności... Pułkownik kozacki nie doczekał się —żurnalu ze swą podobizną.

Gdy nastała względna wolność słowa w prasie, w r. 1906, w wydanych przeze mnie z p. Jeziorowskim „Sokoła”, znalazły się w odcinkach wrażenia z wycieczki na Suwalszczyznę, p. t. „Zakazane fotografie”, z rysunkami, a w kilkanaście lat potem, już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, na jednej ze śród odczytowych,



Ryc. 227.

Fot. Jan Idzikowski w Warszawie.
Aleksander Janowski w siermiędze, w 1908 r.

urządzanych przez komisję z p. J. Kłodziejczykiem — na czele, wygłosiłem ten feljeton, z pewnemi warjantami i z 9-ciu przeżroczeniami „zakazanych fotografii” w małej sali Towarzystwa Krajoznawczego przy ul. Karowej.

Podałem tu w przydługim jeszcze, ale zwartem streszczeniu, to wspomnienie, dlatego, aby stwierdzić charakterystyczną cechę ówczesnego „kursu rządowego” rosyjskiego: stanowi-

ło je stosowanie do Królestwa Polskiego wszelkich praw wyjątkowych w sensie ograniczeń, represalji, zakazów—z jednoczesnem odsuwaniem od praw „ogólnopaństwowych”, które kraj nasz mógłby wyzyskać na swoją korzyść. Obfitość okólników (cyrkularzy) sekretnych nie pozwalała obywatelowi-prostaczkowi wiedzieć co mu jest pozwolone, co zakazane; wezwania najważniejszych instytucyj, ogłaszane w pismach na użytek mieszkańców całego państwa, mogły nie dotyczyć wcale Królestwa, o ile jakiś okólnik tajemny zahamował bieg sprawy. Szykany władz rosyjskich spotykały Tow. Krajoznawcze dość często, sporo przeszkód doznawały wycieczki, o czym mógłby dużo powiedzieć nieoceniony, kochany przez młodzież „wuj” Aleksander Janowski. W swoich wspomnieniach parokrotnie dalej wtrąca swoje epizody charakterystyczniejsze.

* * *

Materiały, zdobyte na wycieczce wspomnianej, wraz z danemi, znalezionemi w broszurach krajoznawców dawniejszych, złożyły się na zamierzony przezemnie odczyt p. t. „Poznaj swój kraj!”. Formalności ówczesne legalizowania statutu, mogły odstraszyć mniej żarliwego „odczytowca”: należało przygotować, w 2 egzemplarzach, przepisany na czysto odczyt w języku polskim, składany w kancelarji generał-gubernatora przy podaniu z markami stemplowemi.

Oryginał polski odsyłało do komitetu cenzury, który to i owo wykreśliwszy odsyłał kancelarji jen.-gubernatora. Zmiany wprowadzone przez komitet cenzury należało wprowadzić do przekładu rosyjskiego i przesłać do kuratora okręgu naukowego. Ten dopiero zezwalał na wygłoszenie odczytu, lub... odmawiał aprobaty swej, czem finalizował sprawę, albo odraczał ją na czas nieograniczony.

Parokrotne próby uzyskania pozwolenia na odczyt krajoznawczy zawodziły stale, dopiero, w krótkiej epoce t. zw. wolnościowej, w końcu grudnia 1905 r. dostałem upragnione pozwolenie.

Odczyt p. t. „Poznaj swój kraj!” odbył się w jedną z niedziel styczniowych 1906 r. w gościnie udzielonej mi sali Towarzystwa Wioślarskiego w Warszawie. Nie obyło się bez niemiłej niespodzianki: elektryczność zrobiła figla i nie można było połączyć jej kontaktu z latarnią czarnoksięską. Dwudziestu pięciu przeźroczom z widokami stron suwalskich, zapowiedzianym w afiszach, groziło zmarnowanie się w tym wieczorze. Spory szmat czasu zajęło odszukanie wolnego i przytomnego w swem mieszkaniu elektrotechnika, który naprawił co było zdezelowane.

Publiczność zachowała się sympatycznie uwzględniając tremę Bogu ducha winnego „prelegenta”. Wśród słuchaczy znalazł się profesor Kazimierz Kulwiec, który wraz ze znanym chlubnie krajoznawcą Zygmuntem Glogerem, „wujem” Janowskim, profesorem Maksymiljanem Heilpernem i kolegami z gremium nauczycielstwa polskiego snuli już projekty założenia Tow. Krajoznawczego. On to, po odczycie, w jędrnych słowach zachęcił mnie do pracy na polu krajoznawstwa i wciągnął do grona organizatorów instytucji. Tu muszę wyjaśnić, że jako 3-ci założyciel, w gronie 2-ch założycieli: Janowskiego i Kulwiecia, podpisanych na ustawie pierwotnej — znalazłem się przypadkowo w zastępstwie... Powierzył mi wprawdzie prof. Kulwiec zjednanie, do grona założycieli, tych osób, które pragnąłbym ujrzeć na zebraniu organizacyjnym i wkrótce złożyłem mu listę 30-tu kandydatów, z redaktorem „Kurjera Warszawskiego” Konradem Olchowiczem (ojcem) na jednym z miejsc naczelnych. Zebranie organizacyjne odbyło się 1-go czerwca, w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, w obecności około stu osób; przewodniczył red. K. Olchowicz, który otworzył szerokie łamy tego poczytnego dziennika na wzmianki i sprawozdania z działalności Towarzystwa.



Ryc. 228. Kartka pocztowa wycieczki z Baru z 1908 r.

wprost obawiał przyjąć przyznawany mandat — skarbnika Towarzystwa. Skarbnikiem zaś, został — prof. Heilpern, co nie przeszkodziło, że znalazłem w nim prawdziwie oddanego mi, wielkiej dobroci i wyrozumiałości towarzysza umiłowanej pracy. Nie zapomnę nigdy, jaką życzliwością i sympatją przeniknione były jego słowa, gdym się zwierzał po 3-ch latach, z przykrości doznanych; z jakim poszanowaniem przechowałem jego list, w którym mi zaleca, abym nie schodził z posterunku, zajętego w mozołach krajoznawczych. Równie mi życzliwych znalazłem i w gronie kolegów z zarządu: profesorach Rudzkim, Wisznickim i L. Ostaszewskim; stosunki nasze nie obarczyły moich wspomnień najmniejszą przykrością z ich strony. Z jakąż radością po latach rozłąki, witałem p. Zdzisława Rudzkiego, w erze powojennej, jako dyrektora gimnazjum imienia Stefana Bato-rego, na uroczystym akcie tej uczelni.

Od prof., dziś pułkownika wojsk polskich, p. Mik. Wisznickiego, oddzieliło mnie jego nowe stanowisko. Jako pamiątki po dniach naszej wspólnej pracy pozostały mi: liczne pocztówki krajoznawcze z pięknymi jego winjetkami, rysunek orła nad skałą krzemieniecką na okładce mojej broszury „Tam, gdzie się urodził Słowacki”, oraz podobizny jego, prez. Kulwiecia, prof. Rudzkiego na pocztówkach, wysyłanych z miejsc różnych ich wycieczek. Drogie pamiątki! Od wuja Janowskiego, od początku mej, przypadkowej działalności „krajoznawczej”, do ostatnich jej chwil, mogę powiedzieć — do dziś, doznawałem tyle dowodów sympatji, odwagę się powiedzieć — przyjaźni, jakgdyby mi z barków spadło pół wieku z górą i jakbym stał się jednym z jego — siostrzeńców...

Jednym z dowodów rzeczowych jego pamięci o mnie dzielę się dziś z czytelnikami numeru jubileuszowego Ziemi. Oto Janowski w ukochanej przezeń siermiędze wieśniaka polskiego; na tej pełnej szczeroci, sarmackiej twarzy maluje się cała szczerza, oddana spółrodakom, dusza polska.

A siermięga wieśniacza — to symbol spółbraterstwa z ludem, nie przystroj maskaradowy.

Od początku istnienia Towarzystwa władza rosyjska podejrzliwie patrzyła na rozwój instytucji, szerzącej widoczne umiłowanie przez masy kraju rodzimego, zapoznanie się z jego pięknem i zabytkami. Niepokoiła władzę i zamierzona wystawa krajoznawcza i częste wycieczki zapuszczające się aż w kraj „zabrany”, i odczyty, i wycieczki, i powstające jak grzyby po deszczu, oddziały prowincjonalne — z muzeami! Podejrzewano we wszystkim jakąś robotę konspiracyjną („podpolnuju robotu”). To też t. zw. „Ochra-na” rosyjska w Warszawie wezwała, pewnego dnia, prof. Rudzkiego, na wywiad poufny, co się dzieje w Towarzystwie. Badany uspokoił ochranę, zapewniając, że po za działal-

Organizowaliśmy się pomału, gdy zaskoczyła nas wiadomość, że władze rejestracyjne odrzuciły podanie z czerwca r. b. wraz z ustawą ze względów formalnych. 24 listopada więc tegoż 1906 r. w kancelarji rejenta M. Borkowskiego wypadło podpisać drugie podanie, wraz z ustawą. Wskutek niedomagania prof. Heilperna — zastąpiłem go, jako trzeci założyciel. „*Suum cuique*”. Prof. Heilpernowi też należało się stanowisko 2-go wiceprezesa, które — po nowem ogólnem zebraniu w dniu 3-cim grudnia 1906 r. zarząd łaskawie użyczył mi, gdym się

nością jawną, nic się nie dzieje wbrew zakazom lub nakazom władzy. Odwiedził mnie też natychmiast w redakcji „Kurjera Warszawskiego”, zalecając mi utożsamienie moich odpowiedzi z przezeń danemi na wywiadzie. Nie wzywano mnie jednak do „Ochrany”, uwierzono tam znacznie młodszemu odemnie profesorowi, który miał zaszczyt odbyć służbę przepisaną w wojsku rosyjskiem.

Niezwykłych wrażeń doznałem podczas pobytu mego w Chełmie, dokąd przybyłem na wezwanie d-ra Łuczковского, znanego chlubnie działacza, patrioty, społecznika. Miałem tam wygłosić odczyt „Krajoznawstwo u nas”, zilustrowane przezroczami, oraz udzielić informacji do założenia oddziału Tow. w Chełmie.

Odczyt ten znalazł gorliwego protektora, w osobie czcigodnego ks. dziekana Hartmana. Na sumie (była to niedziela) po kazaniu zalecił tłumnie zebranim wiernym, przybyłym ze wsi okolicznych, aby po sumie, po posileniu się obiadem udali się na odczyt, pewnego pana z Warszawy, który przyjechał tu, aby opowiedzieć o naszym kraju! Odczyt odbędzie się o 4-ej po południu, nieszpory zaś — z tego powodu — zamiast o 5-ej po południu — odbędą się później, o 6-ej z wieczora. Rzesza wiernych wieśniaków posłuchała święcie swego pasterza; hurmą rzuciła się, zaraz po 3-ej po poł. i zapełniła po brzegi — galerję; część (zamożna) płaciła po 15 kopiejek (t. zw. wówczas „złotówce”), część wpuszczona była przez d-ra Łuczковского darmo. Ten masowy napływ niezwykłych słuchaczy „wsiwych” zaalarmował policję i żandarmerję — kolejową i miejską. Publiczność odczytowa szła między szpalerem „fijołków”, nie mogąc zrozumieć, co znaczy ta niezwykła asysta.

Punktualnie, przy przepelnionej sali, a potrzaskującej od naporu galerji rozpoczął się odczyt. Wieśniacy zachowywali się na nim, jak — w kościele, w niezamąconej ciszy rozlegał się głos prelegenta; gdy skończył — próbę oklaskiwania przez słuchaczy krzesłowych zagłuszył wielki, serdeczny, zbiorowy okrzyk — tych z góry „*Panie Boże Wielki, zapłać!*”

Prelegent, który objechał już z odczytami całe Królestwo, zawadził już o Kraków, a nawet — Odesę, nigdy nie czuł się tak wzruszonym — do głębi, jak tym prostym, szczerym, napoły modlitewnym okrzykiem — podziękowaniem.

Gdym odjeżdżał tego wieczora do Warszawy, przeprowadziła mię na dworzec, w dyskretnem oddaleniu sfera policjantów pospołu z żandarmami.

Nigdy w życiu przezacny doktor tak się, podobno, nie uśmieł jak nazajutrz po odczycie, zrana, gdy przybyły do niego „starszy strażnik”, z uroczystą, urzędową miną, zaindagował gospodarza z miejsca:

— Czy pan doktor jest pewny, że ten wczorajszy, obcy pan, to był wiceprezes z Warszawy.

— Najpewniejszy, znam go nie od wczoraj.

— Bodajby tak było, bo inaczej — byłaby bieda! Żandarmi zapewniają, że to nie żaden wiceprezes z Warszawy, ale, przebrany po cywilnemu jezuit, przybywszy z Galicji, żeby nawracać na katolików naród prawosławny. A dowody? Proboszcz namawiał na odczyt lud z ambony, a ten sam — czytający — bez brody, bez wąsów, czysty jezuit.

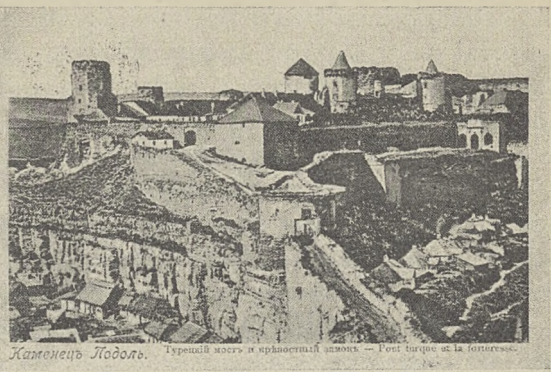


Рис. 229. Kartka pocztowa z Krzemieńca Podolskiego z 29.VI 1908 r.

Doktor Łuczkowski pokładał się od śmiechu.

Tak to w „iskoni” ruskim Chełmie ukazanie się prelegenta polskiego, słuchanego uważnie przez wieśniaków zaalarmowało stróżów bezpieczeństwa. Przejścia chełmskie opisałem obszernie w wydanej przez Towarzystwo literatów i dziennikarzy polskich, w r. 1918, broszurze zbiorowej p. t. „Na Polską Macierz Szkolną”.

Ze zbioru pocztówek wysyłanych do mnie przez wspomnianych członków zarządu odszukałem otrzymaną od wycieczki, z Baru na Podolu (wraz z podobiznami ich), którą załączam na użytek „Ziemi” (nieco, jak u literata-dziennikarza, zalaną w pośpiechu, atramentem). Pocztówka, napisana bezspornie piórem prez. Kulwiecia, głosi, że wycieczkowiec rozłożyli obóz pod Barəm. „Drogę koleją — czytamy dalej — odbyliśmy bez wszelkich złych przygód; po drodze brano nas to za cyrkowców, to za trupę wędrującą. W Brześciu tylko grupkę młodzieży z 11-tu osób, która udała się obejrzeć miasteczko, zaaresztowano, lecz po pół godzinie uwolniono, a komisarz policji nawet przyszedł na dworzec za to przepraszać. Do Kamieńca mamy przeszło 100 wiorst pieszego marszu. Staniemy tam za trzy dni!!!..

Jakoż pocztówka z Krzemieńca Podolskiego, stwierdziła, że po 3-dniowym marszu stanęli nasi krajoznawcy i „zachwyceni są bogactwem i pięknem Podola”. Nazajutrz, 30 czerwca 1908 roku, wymaszerować mieli do Chocimia i Żwańca. Szczęśliwi—do pozazdroszczenia.

Gdym w tymże roku (lub w 1909) bawił z trupą sezonową w Druskienikach, zdarzył się inny wypadek interwencji „władzy” lokalnej, szczęśliwie zażegnany dzięki... memu stanowisku wiceprezesa Tow. Kraj. Oto młodzieuchny wówczas January Kołodziejczyk (obecnie prof. uniwersytetu), peregrynował wraz z kolegami pieszo z Porzecza do Druskienik. Zatrzymała ich policja. — Dlaczego „pieszkom” i w kompanji. Gdzie rozreszenie? Stupajcie w uprawlenie! Kto wie, czyby wędrowców nie odesłano koleją do Grodna, aby tam się wytłumaczyli władzom. Przewodnik wpadł na koncept niezgorszy:— Za nas może zaręczyć wiceprezes Towarzystwa, w Druskienikach przebywa na urlopie!! Ach, wice predsiedatiel — tak by powiedzieli zrazu... No, kolid predsiedatiel stupajcie k'niemu z Bohom, gaspada! Sam wyraz „predsiedatiel” zaimponował przedstawicielowi władzy.

Na liście służby mojej 3-letniej w zarządzie Polskiego Tow. Krajoznawczego mogę bez żenady, zapisać: zorganizowanie oddziałów w Kielcach, Radomiu, Kaliszu, Wieluniu, Włocławku, Łodzi, Sandomierzu, objazd z odczytami „Nieznane zakątki kraju”, „Krajoznawstwo u nas”, „Tam, gdzie się urodził Słowacki”, Krzemieniec częściowo wymienionych miast, częściowo i innych, jak: Suwałki, Łomża, Kraków, Odesa, Sejny, Miechów, Sochaczew i in. Odczyty o Suwalszczyźnie i Krzemieńcu wydało swoim nakładem Tow. Krajozn. Wydało ono również 1-szy zeszyt ułożonej przezemnie broszury „Krajoznawcy Polscy”, poczem druk następnych Komisja bibliograficzna wstrzymała. Lepsze jest zawsze wrogiem nietylko gorszego, lecz nawet miernego. Nie mamy dotychczas zamierzonego wydawnictwa, naukowo potraktowanego przez ludzi bezspornej wiedzy p. t. „Krajoznawcy Polscy”, gdy skromnie, popularnie ułożona broszura jużby wyszła z druku...

W roczniku 1909 Polskie Tow. Krajoznawczego, już po mojem ustąpieniu z zarządu, znajduję wzmiankę zaszczytną, że „objechał z odczytami wiele miast w kraju, że byłem także delegowany przez zarząd do udziału w uroczystościach Słowackiego, gdzie brałem udział w naradach komitetu w sprawie sprowadzenia do Krakowa zwłok Słowackiego”. Ośmielałem się dodać i przemawiałem na publicznem zebraniu komitetu, głosując w gronie osób „postępowych” — za sprowadzeniem conajrychlejszem zwłok Wieszcza na Wawel, wbrew wywodom ś. p. Lucjana Rydla, który był zdania, że należy przenieść naprzód

zwłoki Zygmunta Krasieńskiego, co ułatwi sprowadzenie, z kolei prochów Juljuszowych. Wypadło czekać lat blisko dwie dziesiątki, aby mocą Dostojnika Państwa trumna Słowackiego stanęła na Wawelu obok trumny Adama.

Nie wzmiankowano też o delegowaniu mnie na jubileusz 25-lecia Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie na uczcie wieczornej w sali starego teatru, zamieszkały wówczas w grodzie krakusowym, literat-publicysta Hoesick upewnił przedstawiciela ministerjum oświaty z Wiednia, że w mojej osobie widzi — anglika, przybyłego specjalnie z Londynu na uroczystości jubileuszowe. Mistyfikacja się wydała, gdym, w języku polskim, wznosił toast na cześć dyrektora muzeum narodowego.

Po 3-letniej służbie, w miarę swych sił i środków, przeszedłem w stan spoczynku jako skromny popularyzator idei krajoznawczej, złączonej w czasach niewoli z budzeniem patriotyzmu.

STANISŁAW THUGUTT.

JAK SIĘ ROBIŁO PIERWSZY PRZEWODNIK.

Nie przeczę — temat jest suchy. Co gorsza — zapewne całkiem zbyteczny. Niema przecież na szczęście zwyczaju prowadzić gości do kuchni, żeby ich zabawiać pokazywaniem jak się przyrządzało potrawy. A jednak mimo wszystko, chciałbym w paru bodajby słowach przypomnieć sobie i innym, jakże to niełatwa i długa była droga, która od powzięcia zamiaru prowadziła do wydania niewielkiej, 188 stron obejmującej książeczki — pierwszej części Przewodnika po Królestwie Polskiem, obejmującej Kieleckie i Radomskie. Chciałbym to uczynić dlatego, żeby obecna młodzież krajoznawcza mogła zdać sobie sprawę, ile w tych tak niedawnych czasach trzeba było zużyć wysiłku na rzeczy najprostsze. Wszędzie indziej do wydania przewodnika turystycznego wystarczyło znaleźć nakładcę, któryby zaryzykował trochę pieniędzy, i jednego czy kilku ludzi, którzyby zebrali podstawowe dane. U nas dla wykonania tego nieskomplikowanego, zdawałoby się, zadania brak było wszystkiego: pieniędzy, ludzi, środków komunikacyjnych, swobody poruszania się na terenie.

Pomysł sam powstał na którymś z posiedzeń Komisji Wydawniczej Towarzystwa, jeśli się nie mylę wiosną 1909 roku. Towarzystwo samo istniało zaledwie trzy lata, ruch turystyczny po kraju niewiele co więcej. Prężność młodego Towarzystwa była bardzo znaczna, ale właśnie dlatego jego możność działania, rozproszonego w wielu kierunkach była bardzo znikoma. Wykonać własnymi siłami nawet tak skromne przedsięwzięcie było narazie niemożliwem. Trzeba było szukać czyjejs pomocy. Nie było to również zbyt łatwem, jeśli się weźmie pod uwagę, że cały ciężar utrzymania kultury wielkiego narodu spadał wyłącznie na barki społeczeństwa. Na razie, wobec bezspornej potrzeby wydawnictwa, postanowiono na nic się nie oglądając i nie przesądzając przyszłości, przystąpić do czynności wstępnych.

Czynności te były dwojakie: trzeba było poznać literaturę związaną z tematem i trzeba było ten „temat” naocznie obejrzeć. Wcześniej jeszcze należało ustalić obszar, który miał przewodnik ogarnąć, ustalić jego typ i przystąpić do zbierania wskazówek praktycznych — dróg, hoteli i dojazdów. Zaproponowałem Kieleckie i Radomskie, tamtędy bowiem zaczynały już chodzić dość częste wycieczki, a pozatem sam tę część kraju znałem najlepiej. Uartym zwyczajem uchwalono rozpocząć od ankiety, nie wiele w nią zresztą wierząc. Paru członków Komisji Wydawniczej przedstawiło swoje projekty; ku

wielkiemu mojemu zadowoleniu utrzymał się bez zmian mój projekt. Miało to takie praktyczne znaczenie, że w dalszej konsekwencji powierzono mi przygotowanie tekstu. Przyjąłem to z najwyższą radością i nie miałym strachem. Zdawałem sobie już nieco sprawę z trudności, jakie mnie czekają; trudności tem większych, że nie byłem ani zawodowym geografem, ani przyrodnikiem lub znawcą przysięgłym sztuki. Tak jakbym miał ściąć drzewo kozikiem. Ale lubiłem zawsze prace trudne, prace, do których sił trzeba szukać już w czasie roboty i dlatego cieszyłem się.

Ankieta, rozbita na kilkadziesiąt pytań, obejmowała równie dobrze zabytki historyczne jak osobliwości przyrody, zakłady przemysłowe i stroje ludowe, podania lokalne, widoki i co tam jeszcze być mogło. Oczywiście, szczególnie sumiennych odpowiedzi wymagała co do gatunku i dobroci dróg, wiodących do najbliższych stacji kolejowych, cen za furmanki, noclegi i obiady. Rozsyłaliśmy ją — w tysiącu egzemplarzy — do znajomych i nieznanym, do lekarzy, rejentów, księży, inżynierów, nauczycieli ludowych, inteligentniejszych właścicieli ziemskich. Ku powszechnemu zdumieniu wróciło w krótkim czasie z powrotem około 400 egzemplarzy, wypełnionych naogół niezgorzej. To był dobry początek. Wiadomo było przynajmniej, jak się ruszać i czego szukać w terenie.

Razem z ankietą przyszła też dobra wieść, iż znalazł się ktoś — p. Andrzej Rotwand — kto chce sfinansować wydawnictwo. To dopiero otwierało realne możliwości działania. Okroiło się nawet na skromne koszty wyjazdów.

Nie chciałem jednak nigdzie wyjeżdżać, dopóki zgruba przynajmniej nie dowiem się co mogę zastać na miejscu. Literatura była niezbyt obfita, ale djabelnie rozproszona. Poza kilkudziesięciu monografiami najczęściej mocno przestarzałymi, poza kilkunastu tomami Pamiętnika Fizjograficznego i Spradocznń Komisji Historji Sztuki Akademji Umiejętności, trzeba było wertować tom za tomem, strona za stroną około 100 roczników wydawnictw periodycznych, gdzie przytem bardzo rzadko trafiło się coś wartościowego. Trzeba też było przejrzeć dokładnie Słownik Geograficzny. Nie miałem go jeszcze podówczas u siebie i musiałem pojedyncze tomy znosić do domu, żeby, wstając o dwie godziny wcześniej, notować na kartkach wszystko, co się w tej kopalni wiadomości o Polsce dało odnaleźć. Te kartki, jak się zresztą zaraz okaże, o mało co nie kosztowały mnie paru lat przymusowego wyciecznika za kratą.

W roku 1911, zgromadziwszy już sporo materiału, zacząłem wyjeżdżać dla sprawdzenia go na miejscu, dla szukania też tego, czego nie dały mi książki. Nie było to tak proste, jakby się dziś mogło wydawać. Na całej przestrzeni Wyżyny Małopolskiej jedynymi znośnymi środkami lokomocji były dwie linje kolei Dąbrowsko-Dęblińskiej i kolej Herbsko-Kielecka. Szos było niesłychanie mało i naogół były złe. W pewnych okolicach i w pewnych porach roku, dróg jakby wogóle nie było. O żadnych autobusach a nawet dyliżansach nie było jeszcze mowy. Jeździło się więc czasem powozem, znacznie częściej w gnojówkach, mało oskrobanych niestety. Od tak zwanych „hotelu” lepiej się było trzymać zdaleka. Sypiało się u księży, rzadziej po dworach, czasem w chłopskiej chacie, nierzadko w jakimś szynku, w którym trzeba było, kiwając się ze zmęczenia, czekać aż ostatni pijak dopije ostatniego kieliszka i kłaść się na jakimś Madejowem łożu w nieprzewietrzanej izbie, wzdychając, żeby się pijak nie rozmyślił i nie wrócił na poprawiny. Jadło się czasami b. dobrze, czasami nic zgoła dzień cały. Przyjęcie jako delegata Towarzystwa, było niekiedy serdeczne, kiedyindziej takie, że nie pozostawało jak szybko drzwi zamknąć z zewnątrz za sobą. Bywało, że wychodzono ze skóry, żeby mi w pracy dopomóc, zdarzało się że na odchodnym psy gryzły. W jakimś ślicznym, starym dworze w Jędrzejowskiem musiałem przez dłuższy czas prowadzić pertraktacje przez zabarykadowane drzwi, a kiedy mnie nareszcie wpuszczono, pani domu pytała ze strachem: —

„panie, ale pan nas nie zarżnie, pan nie jest bandytą?”. — Pertraktacje te dłużyły mi się nieznośnie, cały czas bowiem myślałem o obiedzie, który, nie licząc skromnej tabliczki czekolady, miał być pierwszym od 24 godzin posiłkiem.

Bywało, a przynajmniej mogło być gorzej. Późną już jesienią 1912 r. przyjechałem do Olkusza, zatrzymując się u prezesa Oddziału Towarzystwa i dyrektora kopalni galmanu, p. Antoniego Minkiewicza.

Po pracowitem zwiedzaniu kopalni i długiej pogawędce odprowadzono mnie do gościnnego pokoju w oficynce. Zasnąłem natychmiast ale spałem niedługo. Koło północy zbudził mnie zdyszany ze strachu głos służącego: — „Panie, żandarmi”. — „Gdzie?” — „Są u naszego pana, a jeden tu stoi pod oknem”. — Z pewną melancholią popatrzyłem na swój rozłożony na stole dobytek: dwa aparaty fotograficzne, bez urzędowego pozwolenia na fotografowanie, 12 map turystycznych niemieckich o wielkiej skali i około 200 kartek z nazwami miejscowości i zebranymi notatkami. Powiat był graniczny i wielkie napięcie stosunków austriacko-rosyjskich. Spalić? — nonsens. Wyrzucić przez okno? — pod nogi żandarmowi. Uciekać? — którędy. Sytuacja była dość beznadziejna. Było chłodno, zawiąłem się w kołdrę i obróciłem do ściany, a że byłem mocno zmęczony bezzwłocznie zasnąłem. Dalszy ciąg nie nastąpił, bo żandarmom nie przyszło do głowy sprawdzić, czy niema kogo w gościnym pokoju. Innym razem jechałem wzdłuż granicy koło Połańca. Dzień był piękny, powietrze przejrzyste, widok rozległy, wyjąłem więc z kieszeni mapę, ażeby się rozejrzeć w okolicy. Wtem na mapę padł cień, to sześciu konnych strażników, wyjechawszy ze ścieżki wśród zboża cłapało się za mną. Nawet się już mapki nie chciało chować do kieszeni. Ale te osły szukając kontrabandy bardziej namacalnej, pojechały dalej. Widocznie jakieś dobre bóstwa postanowiły pozwolić mi skończyć studia krajoznawcze.

Tych wyjazdów było dość dużo. Z początku jeździłem co niedzielę i święto, co było kosztowne, męczące i mało owocne. Później pojechałem jesienią 1912 r. na 2 tygodnie i latem 1913 r. na 6 tygodni. Ten ostatni wyjazd odbyłem rzemiennym dyszlem i klucząc jak zając od Solca nad Wisłą, aż do Ojcowa. Zdarzało mi się później odbywać kilkudniowe marsze wojenne w pełnym rynsztunku, dokonywałem w życiu dość osobliwych wyczynów sportowo-turystycznych, ale kto wie czy te 6 tygodni ciągłego zmęczenia i stale wytężonej uwagi, nie były najcięższe. Nie byłbym może umiał przemóc tego zmęczenia, gdyby nie ciągła niezmnijająca się ilość mocnych i świeżych wrażeń, jakie dawało mi zapuszczanie się w te głuche zakątki deskami od świata zabite. Nie potrafiłbym dziś już takiej podróży powtórzyć, ale wspomnienia jej pozostaną niezatarte, może dlatego, iż z dnia na dzień utwierdzało się we mnie przeświadczenie, iż chodzę tu koło kolebki najświetniejszej kultury polskiej.

Po powrocie zaczęła się praca pisania i dręczenia ludzi. Stworzyliśmy komitet wydawniczy, który ostatecznie ustalał typ książki; broniłem na nim z nieprzyjemnym uporem swoich koncepcyj i dużo się w tych dyskusjach nauczyłem. Pozatem napastowałem wszystkich ludzi dobrej woli z prośbami o przeglądanie tekstu, poprawki i wskazówki. Wiedziałem, że w książce muszą być błędy, ale nienawidziłem ich zgóry i chciałem jak wściekłe psy tępić.

W początku 1914 r. rozpoczął się druk, który posuwał się powoli ze względu na trudne, wobec mnóstwa skrótów, korekty; szczególną trudność wobec konieczności oszczędnościowych sprawiały mi mapki, które ostatecznie wyszły okropnie. W lipcu druk był właściwie skończony; brakowało tylko indeksu. Zanim go skończyłem wybuchła wojna. Po raz pierwszy w życiu rzuciłem się głową na dół w politykę. Chodziłem na



Ryc. 230.

Wycieczka w Opinogórze w 1908 r.

nieustające i niekończące się zebrania, redagowałem jakieś odezwy, tajne pisma i rezolucje, zostałem skarbnikiem na zabór rosyjski organizacyj strzeleckich i — zapomniałem o swojej książce. Nie wiem już jakim cudem ukazała się ona skończona i oprawiona na wiosnę 1915 r. Wiem tylko, że później wpadła jak kamień w wodę i już o niej więcej nic nie słyszałem.

Tyle tylko, że już kilka lat później w ogniu ostrej walki partyjnej jeden z dziennikarzy warszawskich wymyślał mi systematycznie i z zimną pogardą od „przewodników” którzy się płaczą po życiu politycznym. Gdybyś chociaż wiedział,

mój dobry człowieku, ile mnie to przewodnictwo kosztowało czasu, wysiłków i nerwów.

STANISŁAW LENCEWICZ.

KOMISJA FIZJOGRAFICZNA P. T. K.

Rozwijające się szeroko, w pierwszych latach swego istnienia, Towarzystwo Krajoznawcze, oprócz zakrojonej na szeroką skalę popularyzacji, miało też na widoku badania naukowe kraju. Już w r. 1909, ówczesny Zarząd usiłował zorganizować systematyczne studia w celu opracowania monografii gór Świętokrzyskich. Później Towarzystwo popierało badania limnologiczne na Kujawach, prowadzone przez ś.p. Ludomira Sawickiego. Uczniowie prezesa Kulwiecia i in. ówczesnych działaczy Towarzystwa gromadzili materiały florystyczne i faunistyczne, zaprawiając się na przyszłych badaczy.

Dopiero jednak „w dniu 27 września 1911 roku, na skutek wniosku złożonego Zarządowi P. T. K. przez Stan. Lencewicza, została zorganizowana Komisja Fizjograficzna” (Rocznik P. T. K. 1911 str. 50) — jako ośrodek, grupujący uczonych różnych specjalności, którzy mieli się zajmować gromadzeniem i opracowywaniem materiałów naukowych z zakresu: florystyki, faunistyki, geologii, antropologii, etnografii, archeologii, meteorologii i nauk pokrewnych. Drugim celem było podejmowanie wydawnictw naukowych z zakresu fizjografii.

Zaproszono do Komisji 58 osób, zarówno z pośród tych, co już działali na gruncie Tow. Krajoznawczego, jak i tych co pracowali nad poznaniem kraju na własną rękę, lub w innych instytucjach. Nadspodziewanie łatwo udało się zjednoczyć ludzi, którzy trzymali się dotychczas poza Towarzystwem; nie zabiegano jednak o „honoratorów” poważnych nawet uczonych, którzy uświetnialiby Komisję blaskiem swych nazwisk, nie pracując w niej jednak.

Przewodnictwo (nie prezesurę) objął p. J. Lewiński, zastępcą przewodniczącego został p. K. Stołydwo, skarbnikiem — p. K. Kulwieć, sekretarzem — piszący te słowa, a ponadto do Zarządu wszedł p. L. Krzywicki. W takim składzie Zarząd pracował do czerwca 1913 r.

Pierwszą troską było pozyskanie własnego czasopisma, w którym przejawiać by się mogła praca badawcza Komisji. Nie było wtedy w modzie zakładanie ad hoc wydawnictw,

których był materialny i moralny opierać by się miał tylko na dobrej woli inicjatorów. W Warszawie wychodził już od r. 1881 „Pamiętnik Fizjograficzny” pod wytrawną redakcją Bron. Znatowicza, a dwadzieścia wielkich tomów tego wydawnictwa cieszyło się dobrze zasłużoną sławą. Łatwo było wpaść na pomysł pozyskania tego organu dla siebie, ale pamiętam obawy, jakie mieliśmy, gdy zapadła u nas decyzja zwrócenia się do Znatowicza o... przekazanie jego tak gorliwie w ciągu 30 lat wypracowanej tradycji — nam, którzy wtedy jako Komisja nic jeszcze nie zdziałaliśmy. U. p. Znatowicz odniósł się do nas nadspodziewanie przychylnie: na posiedzeniu Komisji oddał nam uroczyście swoje zasłużone wydawnictwo, mówiąc: „teraz bowiem może ono wyrobić sobie daleko lepsze warunki istnienia, opierając się na istotnej i jedynie dla siebie właściwej podstawie stałej organizacji badawczej, która wytworzyła się w łonie Towarzystwa Krajoznawczego” (Pam. Fizj. t. XXI str. IX).

W tym nowym okresie wydano pięć wielkich tomów „Pamiętnika Fizjograficznego” (XXI—XXV), wypełnionych przeważnie pracami członków Komisji, bądź w postaci rozpraw naukowych, bądź też w postaci materiałów, jak spisy roślin, zwierząt i t. p., zdobytych w poszukiwaniach specjalnie prowadzonych przez Komisję, lub dawniej nagromadzonych w oddziałach prowincjonalnych Towarzystwa. Dodać się też godzi, że dział zatytułowany „geografia”, zjawił się w „Pamiętniku” dopiero wtedy.

Wojna przerwała prace badawcze Komisji, ale „Pamiętnik” wychodził w niezmięnionej objętości aż do r. 1918. W r. 1921 wyszedł jeszcze tom XXVI na 40 str., poczem na skutek reorganizacji Towarzystwa Krajoznawczego „Pamiętnik” przekazano Tow. Naukowemu Warszawskiemu, pod którego patronatem wydano jeszcze jeden zeszyt. Powiększający się wciąż „Komitet redakcyjny” honoratorów nie uratował zamierającego wydawnictwa. Zmiana warunków bytu narodowego wytworzyła nowy układ ugrupowań naukowych, w którym runął ten czterdziestoletni filar fizjografii krajowej.

Prace Komisji rozwinęły się odrazu w różnych kierunkach. Kontynuowano więc, zapoczątkowane przez prof. Sawickiego badania Kujaw; pod względem geologicznym (Łopuski), faunistycznym (Słonimski i Wolski), florystycznym (Niekrasz i Wodzińska). Chcąc zachęcić nieznanych amatorów do badań limnologicznych w innych okolicach, wydano nawet małą „Instrukcję do pomiarów jezior”.

Na szeroką skalę zajęto się badaniami antropologicznymi ludności, zarówno ściślej — przez specjalistów, jak i statystycznymi — przez amatorów, mieszkających na prowincji. Pp. Loth, Rzewuska, Stołyhwo, gromadzili materiały do poznania składu rasowego mieszkańców różnych okolic Wyżyny Małopolskiej, p. Krzywicki opracował kwestionariusz i wskazówki do czynienia łatwych spostrzeżeń, które masowo zebrane, mogłyby mówić o cechach fizycznych ludności.

W zakresie archeologii zbierał materiały p. Wawrzeniecki i in., a nadewszystko p. Krzywicki, który rozkopawszy szereg pilkalni i t. zw. mogiłę Gedymina doszedł do skali chronologicznej kultur litewskich.

Na Polesiu zajmowano się faunistyką (pp. Domaniewski, Słonimski, Gedroyć, Połiński), to samo w Zamojszczyźnie robił p. Tenenbaum. Wydano instrukcję do spostrzeżeń nad przelotem ptaków, p. Kulwiec poszukiwał i ochraniał siedliska bobrów.

Umiłowane przez krajoznawców „Łysogóry” wyjawiały też trochę swych tajemnic przed szturmującą je Komisją. Pamiętam jak w r. 1912 wjeżdżaliśmy trzęsącym wozem do Św. Katarzyny, aby tam czas jakiś studjować fizjografię. Czterech przyrodników na raz, to zdarzenie wtedy nie codzienne, to cała wyprawa. Pp. Dziebałtowski i Malinowski zajęli się rozwojem lasu na porębach Łysicy, stosując tam po raz pierwszy metodę „po-

letek” do wyróżnienia kolejności rozwoju formacji roślinnych. Ja miałem przyjemność badania historii rozwoju sieci rzecznej, w myśl nowoczesnych metod geograficznych.

Wkroczone też do muzeów prowincjonalnych Towarzystwa, gdzie nagromadzone zbiory dawno oczekiwały choćby inwentaryzacji naukowej. Akcja ta przysporzyła „Pamiętnikowi” sporo materiału.

Meteorologia też nie pozostała w zaniedbaniu. Komisja miała 5 stacyj meteorologicznych w górach Świętokrzyskich, a pozatem 4 w innych okolicach kraju. Wykazy obserwacji były co miesiąc podawane w „Ziemi” a ponadto „przebieg pogody” na podstawie danych Biura Meteorologicznego — układany był dla Komisji przez p. Smosarskiego.

W projektach Komisji było też „opracowanie atlasu fotograficznego morfologii kraju”, do czego miały posłużyć głównie zbiory fotograficzne Towarzystwa. Niestety wojna przerwała działalność Komisji i podobny do zamierzonego atlas ukazał się p. t. „Geographischer Bilderatlas von Polen” w opracowaniu Niemców.

Widzimy więc, że w krótkim czasie rozwinięta została działalność w różnych kierunkach fizjografii, choć jeszcze przed samym założeniem Komisji, pewne koła zapatrywały się sceptycznie na możliwość pracy naukowej w łonie Tow. Krajoznawczego, czego wyrazem jest następujące zdanie wyrażone na łamach „Wszechświata”: „P. T. K. tak sobie urozmaiciło i rozszerzyło zadania może kosztem ich pogłębienia, że trudno od niego oczekiwać systematycznej akcji w tym kierunku”.

Rezultaty studjów przedstawiane były na zebraniach plenarnych Komisji, ożywianych zawsze poważną dyskusją. Ale przedmiotem referatów były też i zagędnienia bieżące j. n. „sprawa terminologii geograficznej jednostek administracyjnych kraju”, lub studjum krytyczne p. P. Sosnowskiego nad językiem świata wydanych prac geograficznych. Na zebraniach tych wypowiadali się też „zagraniczni” goście, jak prof. Romer — o swych studjach lodowcowych na Podhalu lub M. Limanowski — o genezie krasowej pojezierza. Z przykładów takich można wnosić, że nasza Komisja zjednała sobie szybko uznanie w „zagranicznych” t. j. galicyjskich ośrodkach nauki polskiej.

Budżet Komisji wynosił stosunkowo dużo, bo 2000 rubli, nie licząc kosztów subsydjowanego przez Kasę im. Mianowskiego — „Pamiętnika”. Składała się na to dotacja Tow. Krajoznawczego jak i specjalne składki, które osiągały kilkaset rubli rocznie. Nie mam pod ręką odpowiednich cyfr z Kom. Fizjogr. Akademii Umiejętności; ale chyba nie przesadzę, jeżeli powiem, iż budżet nasz był znacznie większy, a porównanie wydawnictw z tego okresu stanowczo przemawia na naszą korzyść.

Zawierucha wojenna już w r. 1914 uniemożliwiła prace polowe, tak, że na dobrą sprawę pełna praca Komisji odbywała się tylko w latach 1912 i 1913. W r. 1916 wznowiono jej działalność pod przewodnictwem p. Sztolcmana. Budżet spadł do 300 rubli, ale i tego nie wyczerpano, choć liczba członków wzrosła do 93. Na zebraniach zajmowano się głównie rozważaniami nad przyszłym muzeum narodowym.

W końcu roku 1917 powstało Polskie Towarzystwo Geograficzne; możnaby je uważać za moralnego spadkobiercę Komisji, tembardziej, że Tow. Krajoznawcze wykreśliło z programu swych zadań badania naukowe. W odrodzonej Polsce, powstała jednak taka radość wolności, że zakładano coraz to nowe specjalne towarzystwa naukowe, coraz to nowe, choćby drobne wydawnictwa, nie oglądając się na zasoby rąk do pracy. W ten sposób różnorodne dyscypliny fizjograficzne znalazły sobie miejsce w różnych państwach, lub subsydjowanych przez państwo instytucjach i wydawnictwach.

O KAPITALE POLSKIEGO TOW. KRAJOZNAWCZEGO.

Między ziemią a jej mieszkańcami zawsze i wszędzie istnieje silny związek. Nieuchwytnymi drogami oddziałują natura krainy przez wszystkie swe przejawy na dusze członków społeczności i wytwarza w nich pewne swoiste cechy stanowiące w rezultacie to, co nazywamy typem psychicznym jak np. typ górala, kaszuba. Przeciętnie człowiek nie zdaje sobie sprawy z tej psychicznej zależności od otaczającej go przyrody. Ale niech jeno zmieni się coś w otoczeniu albo niech go los zupełnie oderwie od kraju, z którym są szarmonizowane właściwości i czynności jego duszy, a zaraz poczuje się nieswojo — będzie mu źle. Tę prawdę wyraża pierwsza zwrotka Pana Tadeusza o Litwie, której cenę poeta poznaje dopiero po rozłące.

Z powodu różnic osobowych między ludźmi istnieją różnorodne stopnie zdolności uświadamiania sobie związku własnego życia z krainą rodzinną czy ojczystą. Można by zestawić w tym względzie długą skalę typów psychicznych. Na najniższym szczeblu należy umieścić tych, co niemal zupełnie nie uświadamiają sobie związku z naturą otoczenia. Istnieje on u nich tylko w sferze stanów podświadomych i tylko w specjalnych warunkach czy wypadkach napięcie jego wzmacnia się na tyle, że pobudza ośrodki świadomości. Na wysokich szczeblach czyli na drugim końcu naszej skali stoją jednostki, które od razu z pełną świadomością przeżywają każde drgnienie którejkolwiek struny ducha, odzywającej się na bodźce form i procesów całokształtu ojczystej krainy.

Oczywiście, że i wśród ludzi świadomie reagujących na otoczenie istnieje duża mnogość odmian, począwszy od egzaltowanego entuzjazmu aż do rodzaju zapaleńców intelektualistów, którzy sprawy ojczyste traktują napozór tylko rozumowo. Egzaltowani entuzjaści czy entuzjastki i im podobni dają się ponosić uczuciowym reakcjom. To lub owo ze swojszczyzny wywołuje u nich silne uczuciowe wzruszenie ale też i na tem się kończy ich przeżycie. Łezka egzaltacji rozplywa się wkrótce pozostawiając w pamięci tylko wspomnienie pewnego przyjemnego stanu ducha. Inaczej z intelektualistami! Gdy w nich odezwie się struna związku z ojczyzną to nie zabrzmie jeno fanfara błyskotliwą, drganie jej jest inne, budzi dalsze struny duszy jakby przez rezonans, struny rozumowania, rozmyślenia i aż do stalowej struny czynów. Takim jest typ psychiczny czynnego krajoznawcy.

Czynny krajoznawca nie tylko czuje swój związek z ojczystą przyrodą i z całym otoczeniem lecz i myśli o nich wnikliwie a wreszcie nieuniknienie dochodzi do sformułowania swych obowiązków względem ojczystej krainy.

Umiłowanie ofiarne swego otoczenia w naszym znaczeniu tego wyrazu — prowadzi do kultu. Instytucją służącą temu kultowi swojszczyzny jest Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, mogące się też nazywać, nawet z większą racją, Towarzystwem Miłośników Polski. W niem łączą się i „wtajemniczeni w wiedzę o związkach tajemnych, nieuchwytnych i nieuchronnych” oraz rozmaici maluczcy, ale jednako mili ojczyźnie, co dopiero przeczuwają tajnie głębokie i cześć mu składają w swych serdecznych wzruszeniach.

Naturalną potrzebą duszy ludzkiej jest chęć wypowiedzenia się. Bywa ono czynne przez twórczość albo bierne — przez okazanie uznania cudzej twórczości idącej zgodnie z naszymi chęciami. P. Tow. Kraj. służy obu rodzajom. Czynni krajoznawcy mają w niem narzędzie dla spełnienia obowiązków, do których doszli w swem umiłowaniu kraju. Kto zaś to umiłowanie może wypowiedzieć tylko w uczuciu mniej lub więcej



Kyc. 231. Po zamknięciu Wystawy sztuki ludowej w gmachu Zachęty w kostjumach m. in. K. Kulwieć, ś. p. Jan Niekrasz, Al. Janowski, R. Danysz-Fleszarowa.

uświadamianem, ten w P. Tow. Krajozn. ma widomy pomnik wystawiony tym wartościom, które mu są drogie, którym musi służyć na mocy niezłomnych praw kierujących kształtowaniem i życiem ducha ludzkiego.

Przyjemnie natrafić na dzieło sztuki plastycznej czy innej wyrażającej treść naszej duszy, albo tą, którą dobrze w sobie znaleźmy, albo tą nieznaną choć własną, którą dopiero artysta musiał nam sformułować, odsłonić z mgławicy chaosu naszych wewnętrznych nurtów duszy. P. Tow. Krajozn. jest tym dziełem, co wypowiada nasze umiłowanie ziemi rodzinnej. Stąd jego popularność. Stąd

pochodzi jego wielki kapitał nagromadzony w ciągu ćwierćwiecza.

Jasnym jest, że kapitał ten nie będzie w następnych okresach ewangelicznym talentem zakopany w ziemię.

JANUARY KOŁODZIEJCZYK.

KRAJOZNAWSTWO DZIŚ I JUTRO.

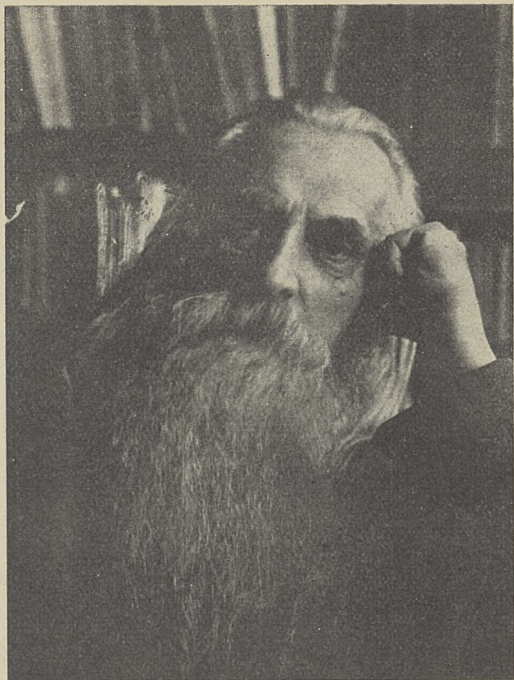
Co we mnie największy wzbudza podziw, ilekroć myślę o działalności Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a co najbardziej przyciągało mnie, aby zostać choć drobną sprężynką w jego pracach, to ten twórczy rozmach, który kierował działalnością tego Towarzystwa niemal od pierwszych chwil jego działalności. Nowe zagadnienia, pola do pracy wyłaniały się jakoś same przez się, rozszerzały horyzonty, sięgały coraz głębiej w społeczeństwo, a wszystko szło dziwnie lekko, z pewnym powiedziałbym wdziękiem, bez przymusu; wciąż wyłaniały się nowe sekcje, przystępowali nowi ludzie, coraz dalej regionowa prowincja. I właśnie to przeniesienie działalności Towarzystwa po za rogatki stolicy, przez cały kraj aż na krańce Rzeczypospolitej było jednym ze szczęśliwszych posunięć twórców krajoznawstwa polskiego. W odległe, zapomniane zakątki zawitali nietylko wybitni prelegenci, którzy słowem i obrazem malowali piękno kraju i jego przeszłość, wnosili ducha polskiej kultury, budzili nadzieje przyszłości, ale sięgała i „Ziemia”, sięgała organizacja, która tam stwarzała nowe środowiska twórczej pracy. I właśnie ta działalność Towarzystwa między innymi w wielkim stopniu przyczyniła się do rozbudzenia życia umysłowego na prowincji w latach przedwojennych. Dla iluż to setek osób działalność ta stworzyła nowe wartości życiowe i opromieniła dotychczasowe szare, jednostajne życie. Prawda, są to rzeczy nieuchwytnie, nie dające się matematycznie obliczyć, myślę jednak, że gdyby te poruszenia dusz i serc wróciły w postaci promieni, to nad siedzibą Towarzystwa zajaśniałyby olbrzymi słup światła, widoczny w najdalszych zakątkach Rzeczypospolitej. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, można już dziś powiedzieć śmiało, w czasach przedwojennych było prawdziwym ministerstwem polskości i w zbiorowym twórczym wysiłku dla sprawy polskiej w latach niewoli zajmuje jedno z naczelných miejsc.

Drugim szczęśliwym posunięciem Towarzystwa, ograniczającym jednak swą działalność do stolicy, było wciągnięcie do pracy młodzieży szkolnej. Młodzież ta przytem wyjątkowo była podatna do pracy. Wychowana w wydarzeniach 1905 roku, wyrosła w atmosferze walki ze szkołą zaborców, zakończoną strajkiem szkolnym; była to młodzież może nieco zrewolucjonizowana, ale nie mniej rwąca się do czynu i pracy twórczej.

Byłem wtedy uczniem piątej czy szóstej klasy, przemierzyłem wraz z bratem okolice Warszawy w promieniu kilkunasto-kilometrym, znałem ze sto gatunków roślin osobiście, a drugie tyle ze słyszenia, gdy nagle spadła na mnie godność, oczywiście wysoce odpowiedzialna — zostałem przewodniczącym czy wice-przewodniczącym sekcji botanicznej w t. zw. Komisji Popularyzowania Krajoznawstwa. Doprawdy jednego nam wtedy nie brakło, to odwagi; z jakimś rozrzewnieniem, a jednocześnie i zażenowaniem wobec samego siebie

wspominam dziś ów odczyt, jeden z pierwszych w mem życiu, wygłoszony gdzieś w ciasnej salce przy kopającej lampce w lokalu Macierzy Szkolnej przy ulicy Sadowej (dziś Skorupki). Mówiłem wtedy na niezawodzący nigdy temat, mianowicie „o życiu roślin wodnych”. Dziś gdyby mi zaproponowano wygłoszenie lub napisanie czegoś podobnego, znalazłbym cały szereg skrupułów — a to przecież wyszła nowa praca dotycząca się tego zagadnienia, a ja jej nie czytałem, albo tyle materiału, co z niego wybrać, jednym słowem moc kłopotów. A wtedy nie miało się tego bagażu naukowego w głowie, wszystko wydawało się nowe, a tak przytem ciekawe, że wprost prosiło się o zakomunikowanie bliźnim, zwłaszcza jeżeli ten bliźni miał jasne lub krucze włosy, a oczy jeżeli nie najpiękniejsze w kolorze, to najcudowniejsze w zachwycie i zaśłuchaniu. Albo znów ten spór w sali „Uranji”, na temat: czy rośliny zasuszone należy przyklejać czy nie; było w tem niewątpliwie nieco pozy, a było i życie, a przedewszystkiem temperament, który ponosił. Dziś już można powiedzieć śmiało, że praca w Komisji Popularyzowania Krajoznawstwa w ciepłej, serdecznej, życzliwej, pozbawionej pedanterji nauczycielskiej atmosferze była dla nas prawdziwym przedszkolem uniwersyteckim. Bo gdy w latach późniejszych najbardziej czynni członkowie komisji przenieśli się głównie do Krakowa na studia uniwersyteckie, stanęli odrazu na czele organizacji naukowych. Lata uniwersyteckie poświęcone pracom specjalnym, czasy wojenne, odsuwały powoli tych ludzi od działalności Towarzystwa, tak że dziś w jego pracach prawie nie biorą udziału. Prawie jednak wszyscy zajmują dziś wybitne stanowiska bądź w nauce, bądź w szkolnictwie, a są nawet i dziś wysocy dostojnicy państwowi.

Jednak czas i nieunikniony kres istnienia i tu poczyniły luki. Przed kilku miesiącami zmarł opiekun sekcji etnograficznej, profesor Zygmunt Wolski, długoletni serdeczny pedagog, całą duszą oddany młodzieży i nauce polskiej, zamiłowany bibliofil. W dniach zawieruchy wojennej wskutek wypadku kolejowego odeszła na zawsze w pełni sił Jadwiga Zarembianka-Wolska, która odznaczała się nie tylko jasną umysłowością, bezkom-



Ryc. 232.

Ś. p. Zygmunt Wolski.



Ryc. 233. Ś. p. Jadwiga z Zarembów Wolska.

promisowością danego sądu, ale i zdolnościami organizacyjnymi — stanęła więc wkrótce na czele organizacji kobiecej w Krakowie. Jako bohater na polu walki zginął, również biorący udział w pracach Towarzystwa, porucznik pierwszego pułku Legjonów, Stanisław Długosz, który dał się już poznać nie tylko jako organizator, zdolny do najdalszych poświęceń dla sprawy, ale jako pisarz wysokiej miary. Jako ofiara bratnich walk w więzieniu kowieńskim odszedł na wieki Jan Niekrasz, którego działalność również była związana z naszą działalnością.

Słyszysz się niejednokrotnie o kryzysie krajoznawstwa; uważam jednak, że termin kryzysu jest tu nieodpowiedni, gdyż ściśle należałoby powiedzieć przewartościowanie krajoznawstwa. W latach wojny i powojennych rozmaite wartości życiowe i społeczne uległy tak nieraz zasadniczym zmianom, że wraz z nimi musiało i musi ulec zmianom działalność tych instytucji, które opierały się na ideologii narodowej. I właśnie w okresie przetwarzania się i krystalizowania się tych rozmaitych wartości

życiowych i społecznych idea krajoznawstwa jest i może być wprost zbawienna. Bo Polska to nie tylko kilkadziesiąt milionów ludzi, mieszkających obok siebie lub rozproszonych poza granicami kraju, mówiących po polsku, to nie tylko całe stulecia twórczej pracy i dorobku kulturalnego, ale Polska to pewna przyroda, jej swoisty krajobraz, a przede wszystkim ta zależność od przyrody, której wielu z nas jej sobie nie uświadamia, ale która jest głęboko w nas zakorzeniona, głęboko sięga w naszą podświadomość i ma wielki wpływ na nasze życie zbiorowe. „Człowiek wyrwany z korzeniem z gruntu swego i zasadzony gdzieindziej, zanim puści te korzenie w grunt nowy, przebywa cały proces chorobowy i ginie niekiedy jak z głodu, z braku tego pokarmu, którym żyło całe jego podświadome jestestwo” (Górski). I właśnie dokładne uświadomienie sobie tego, oraz poznanie przyrody kraju rodzinnego, ludu odrębnej twórczości ludowej, uchroni niejednego od oderwanych od życia utopijnych teorii, z jednej strony stawiających człowieka ponad warunki przyrodnicze, z drugiej zaś strony uchroni od płytkiego szowinizmu i stanowić będzie spoidło poczucia państwowego.

Niewątpliwie jesteśmy w okresie przełomowym; przełom ten musi bezwzględnie się odbić i na działalności Towarzystwa. Nowe wartości życiowe niewątpliwie same przez się przystosuje idee krajoznawstwa do nowych warunków życiowych. A jednak mimo przełomu, mimo niezwykłych trudności materialnych — słyszysz się przecież to o nowym schronisku, to o nowym muzeum regionalnym, to o podjętym wydawnictwie, „Słownika Geograficznego”. A czyż to, jak na trudne czasy nie wystarczy, aby przekonać największego sceptyka o żywotności i potrzebie krajoznawstwa.

CELE I ZADANIA POL. TOW. KRAJOZNAWCZEGO.¹⁾

Dnia 5 grudnia 1906 roku odbyło się pierwsze zebranie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie. Wzięli w nim udział m. in. ś. p. *Zygmunt Gloger*, obok niego zasiadał *Kazimierz Kulwiec* i czcigodny „Wuj” polskich krajoznawców, kochany zawsze pogodny *Aleksander Janowski*.

Od pamiętnej tej daty mija w b. r. lat 25; ćwierć wieku! A przeszła w tym czasie przez Polskę nawała dziejowa; zmiotła potęgi i mocarstwa, które z piętnem hańby przeszły do historii, a ostało się słabe, ścigane i szykanowane Towarzystwo, opierające swój byt na szerzeniu i rozniecaniu najwznioślejszego z uczuć — uczucia miłości ziemi, kraju i ludzi, miłości Ojczyzny.

Sztandar ducha zatrjumfował nad bezduszną materją. I P. T. K. nie tylko przetrwało czasy dzikiego ucisku, nie tylko wyszło obronną ręką z morza barbarzyńskich represyj, ale systematyczną pracą, impetem ideologicznym, świeżością porywów, furją konsekwentnych realizacji kardynalnych założeń zyskało rozgłos, poważanie i poparcie szerokich sfer długo biernie zachowującego się dorosłego społeczeństwa.

Wyjaśnić czego chce P. T. K. to bardzo łatwo i ogromnie trudno. Wprawdzie cele ku którym zdąża działalność Towarzystwa są jednoznaczne i ostro skryształizowane, ale skala wymagań w stosunku do rozmaitych grup społeczeństwa odznacza się wielką elastycznością i znaczną rozpiętością.

Towarzystwo chce, by każdy obywatel poznał swój kraj, by każdy zwiedzał Ojczyznę, by dumnym się czuł z ziemi polskiej, polskiej kultury i historii.

Towarzystwo chce, by każdy poznał kraj jak najlepiej, by sposobiąc się do zajęcia czynnego posterunku w społeczeństwie rozumiał głębię związków wiążących go ze współbraćmi, by współbraci należycie oceniał, a poznawszy ich prawdziwą wartość, wniknął w wielką i niezgłębioną tajemnicę substancjonalnego związku z ziemią.

Towarzystwo chce, by myśl o losie współbraci bodźcem była do czynów podejmowanych w imię miłości wszystkim ku wszystkim, miłości, wyrastającej z uczucia głębokiego zrozumienia i przywiązania do ziemi ojczystej, uczucia, które oby omotało nierozzerwalnymi więzami wszystkie krainy Rzeczypospolitej, utrwalając Jej byt, a budząc tak ważne i potrzebne porywy do bezinteresownej służby publicznej.

Nie od dziś głosi Towarzystwo, że droga do głębokiej miłości Ojczyzny wywodzi się z poznania. Poznać i zrozumieć to znaczy pokochać! Ale poznać prawdziwie bez uprzedzeń, poznać, by zaspokoić głód wiedzy. Cóż kiedy poznanie, choćby najnamiętniejsze, jest pracą rozumu. Leży w dziedzinie intelektu. Jakżeż więc, wychodząc z podstaw i założeń rozumowych, dojść do uczucia: trafić w serce.

Metodologia krajoznawcza zna drogi, umożliwiające osiągnięcie tak skryształizowanego celu. Kardynalną formą działania krajoznawczego, sposobem szerzenia jego ideologii są wycieczki; chwile beztroskiego zapomnienia o szarzyźnie dnia codziennego. Wycieczki dają wgląd w życie ziemi i ludzi, absorbują intelekt, dostarczają wrażeń. Gromadzą wiadomości, pozwalają wczuć się bezpośrednio w rytm rzeczy i zjawisk. Powoli kształtuje się zrozumienie, w ślad za niem narasta uczucie. Na rzeczy, zjawiska i procesy przedtem tylko *rozumiane* zaczynamy patrzeć i pod kątem *emocjonalnym*. Ważyć poczynają „*imponderabilia*”.

¹⁾ Dnia 22 listopada b. r. odbył się w Krakowie uroczysty obchód 25-lecia P. T. K.



Ryc. 234.

S p. prof. Ludomir Sawicki.

Niezapomnianemi pozostają na całe życie te chwile głębokiego nabożeństwa i mistycznego nieomal napięcia, które przeżyło się raz bodaj jeden, czy to w czas samotnych włóczęg po wielkich przestrzeniach górskich, czy w głuchych lasach melancholijnego Polesia. Zaduma chwiejnych trzcin nad moczarem i niemoc piachów spalanych żarem lipcowego słońca, groźne i nieme granie górskie, mocarne morze polskie, roześmiane i radością dyszące pagórki wyżyn środkowo-polskich—zapadają głęboko w świadomość i ryją trwałe ślady.

Zna się rzecz naukowo, przeżyło się ją emocjonalnie, widziało się ją raz, drugi i dziesiąty, tutaj i tam i jeszcze gdzieindziej. I jak jej nie kochać, nie modlić się do niej, takiej zdawna znanej i ciągle od nowa wyczarowywanej.

Rośnie w nas, potężnieje, nasila się uczucie miłości Ojczyzny. Okiem duszy rozróżniamy okolice, okiem duszy wyczuwamy niedostrzegalne i często nieuchwytnie różnice. Ciasno się robi krajoznawcy.

Coraz wyraźniej pojmuje, ile ziemia człowiekowi zawdzięcza. Rozumie i czuje, że nie kto inny a właśnie człowiek w wie-

lowiekowym znojnym trudzie urządzał ją według swej własnej woli. Inaczej to zrobił Krakowiak, a inaczej Poleszuk. Każdy stworzył swój typ.

W związku z oceną roli i znaczenia człowieka, jako gospodarza na odwiecznych dzierżawach, Towarzystwo przeciwstawia się próbom ograniczenia krajoznawstwa jedynie do ziemi ojczystej. Towarzystwo chce, by krajoznawca poznał i pokochał ziemię ojczystą z tem wszystkim co się na niej znajduje, by umiał wejrzeć i w nędzę wsi górskiej i w rozgwar jarmarku, by dzielił radość, biorących udział w kiermaszu a zgłębił wartość i zrozumiał cenę ludzkiego trudu, ludzkiej pracy i ludzkiego bólu.

Chcemy być bractwem ludzi dobrej woli, patrzących, obserwujących, czujących i kochających. Chcemy poznawać by pomagać; a żeby pomagać chcemy działać! Działać czynnie — usilnie: ciągle i na każdym kroku, i na każdym miejscu Rzeczypospolitej.

I to jest geneza ogromnego spontanicznego ruchu, który początek wziął z krajoznawstwa i tkwi w niem do dziś wszystkimi korzeniami. Z miłości począł się regionalizm. Z miłości do współbraci i z wiary we współbraci. Z wiary w przyszłość naszego Państwa, z wiary żywej i gorącej, z wiary, która pobudza do czynu, każe łamać przeszkody i dążyć do zmiany.

Nie inne pobudki kierowały wielkim Żeromskim, znawcą duszy polskiej i mistrzem opisu naszego pejzażu. Wszak to właśnie on dobrem po Polsce patrząc okiem, dostrzegał braki, wady i potrzeby, domy budował szklane, był rzecznikiem rozniecenia intensywniejszego życia duchowego na prowincji, ostrzegał przed martwością, wskazywał cele, nawo-

ływał do czynu i do działania natychmiastowego i niezwłocznego, gromił zaś snobizm i nieróbstwo, ośmieszał demagogię.

Głos jego znalazł echo wielokrotne. W gęstwie ludzkiej odbity wrócił wzmocniony i rozległ się stokrotnie. Obudził śpiących, poderwał drzemających i rozplomił zarzewiem czynu.

Regjonalizm — dziecię krajoznawstwa — stanął o własnych siłach.

Nie będę tu opowiadał o wynikach pracy P. T. K., pominę wielki już dzisiaj i ważny ruch młodzieży, kierowany przez prof. L. Węgrzynowicza. Nie zestawię listy oddziałów, ani wymieniał nie będę liczby członków. Nie zamierzam wyliczać schronisk ani muzeów P. T. K., jak nie byłbym w stanie wyszczególnić publikacji, finansowanych, organizowanych i pulikowanych przez P. T. K.

Ograniczę się do stwierdzenia, że niestety P. T. K. nie cieszy się jeszcze należytą popularnością wśród szerokich sfer dorosłego społeczeństwa. Wiem jednak i to, że krajoznawstwo trafiło do serc i do dusz młodzieży, i wiem — bo nie od dziś na to patrzę — że młodym naszym przyjaciółom dobrze z tą ideą. Włóczęgom i wędrownikom — zda się bezcelowym — z których wracają zawsze iskierkę bodaj bogatsi — zawdzięczają wiele. Krajoznawstwo poszerza ich horyzonty, budzi w nich zainteresowania i zrozumienie dla spraw ogólnych.

Zdawał sobie doskonale sprawę ze znaczenia tych czynników zarówno w wychowaniu jak przysposobieniu obywatelsko-społecznym, twórca i założyciel Krakowskiego Oddziału P. T. K. *prof. Ludomir Sawicki*, z którego nazwiskiem krajoznawstwo w ośrodku krakowskim związane jest nierozzerwalnie. Przy całym nawale prac naukowych, pedagogicznych, organizacyjnych, wydawniczych i prywatnych znajdował zawsze czas na prowadzenie wycieczek krajoznawczych, na odczyty, rozmowy i dyskusje. Własnym kosztem wydaje „Orli Lot”. Całą swą bujną i młodą indywidualność, gorejącą wolą czynu, oddaje na usługi stworzonego oddziału. W krótkim czasie gromadzi poważną bibliotekę, przeźroczańnię, uruchamia dwa schroniska, kreśli plany pracy i nie zna odchyień od linii programu ani na krok.

Niestety w wysiłku nad ludzkie siły pada. Pozostawia jednak testament krwią pisany serdeczną. Pozostawia przykład gigantycznego i bezkompromisowego realizowania zgóry powziętych planów. Pozostawia podziwu i naśladowania godny przykład zapału i ideowego oddania się sprawie, pozostawia przykład ofiarnej i cichej pracy do końca, do ostatniego tchu.

Dlatego też dzisiaj w dwudziestopięcioletnią rocznicę istnienia P. T. K. składamy w środowisku krakowskim hołd pamięci Męża-Patrjoty, który idee krajoznawcze przeschepił na teren krakowski. Składamy hołd jego niezwykłemu zapałowi i rzadkiej ofiarności, chylimy czoło przed kryształowym charakterem wielkiego działacza, z żalem wspominając miniony czas współpracy.

Zdajemy sobie sprawę, że *testament Ludomira Sawickiego* musi być w miarę naszych wątplych sił realizowany.

Idziemy ku nowym czasom i chcemy iść naprzód. W krajoznawstwie widzimy realizację najszlachetniejszych ideałów; otwiera ono oczy i na inne ludy i na inne państwa.

Na końcu zaś tej dalekiej drogi — w perspektywie dziś jeszcze odległej — widzimy rozbudzenie odczucia ogólnoludzkiej doli i miłowy krok w kierunku wyrwania się z ciasnych więzów zaściankowego myślenia.

ZARYS PRAC KRAJOZNAWCZYCH W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM.

Gdy powstał tu Oddział Tow. Krajoznawczego w 1908 r., jednym z pierwszych jego poczynań było oddziaływanie na młodzież polską, wychowywaną w szkołach rosyjskich, przez tworzenie wśród niej potajemnych kółek krajoznawczych. Po długich dopiero staraniach w latach następnych, zyskano pozwolenie miejscowego gubernatora na t. zw. „konferencje krajoznawcze dla rodzin członków Towarzystwa”. Jak była pożądaną w tym kierunku praca, świadczy, iż brało w niej udział od 200 do 300 uczniów i uczeniczek klas wyższych, ówczesnych polskich szkół średnich, dzieląc swe prace na trzy sekcje: geografji, historii i ludoznawstwa polskiego, pod kierunkiem własnego zarządu, pod opieką jednak Tow. Krajoznawczego. Zbierały się te sekcje, co sobota kolejno, przez cały rok szkolny, a o każdym zebraniu musiano zawiadamiać komisarjat, który delegował na nie policjanta. Działalność Towarzystwa w tym zakresie popierana chętnie przez szkoły polskie „bez praw”, ustała dopiero podczas Wojny Światowej, kiedy to nasi wychowawcy chwycili za broń, aby nią wywalczyć wolność Polski. Po uspokojeniu w kraju starano się wskrzesić te prace wśród młodzieży i w tym celu zwołano zebranie przelożonych szkół średnich, ci jednak, stojąc na stanowisku, że terażniejszy program szkolny obejmuje całokształt wykształcenia narodowego, poparcia swego odmówili. Obecnie istnieje koło krajoznawcze przy I Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego, pod przewodem jednego z nauczycieli, a członka Zarządu Oddziału. Przedstawiciele jego uczestniczą na zebraniach Tow. w charakterze gości, a na dorocznych posiedzeniach składają sprawozdanie ze swej działalności.

Drugim skutecznym sposobem oddziaływania oświatowego na społeczeństwo, były wycieczki. Rozpoczęły się one od zwiedzania miasta i najbliższej jego okolicy, zazwyczaj bezpłatnie. Niezwykłość takich wędrówek z udzielonemi objaśnieniami, wzbudzała wielkie zaciekawienie. Widziano nieraz uczestniczących w nich rzemieślników, którzy porzuciwszy warsztat, tak jak stali, z zawiniętymi do pracy rękawami, w fartuchach, przyłączali się do nas, aby tylko usłyszeć żywe słowo o pamiątkach przeszłości. Odczyty tejsze treści urządzane w sali teatralnej, a objaśniane przezroczami firmy Cieślińskiego (dar p. Tomasa Buczyńskiego z Ciężkowic), musiały być kilkakrotnie powtarzane. Wydane następnie w broszurze p. t. „Wspomnienia o starym Piotrkowie Tryb.” rozeszły się w dwóch wydaniach. Dalsze też wycieczki po miasteczkach i wsiach ziemi sieradzkiej, oświecając umysły i krzepiąc serca mieszkańców, jednały wiernych członków Towarzystwa. Zebrany i tam plon wiedzy ojczystej, wydany został w książeczce pod napisem „Ilustrowane okolice Piotrkowa Tryb.”, której część druga jest w opracowaniu. Pomimo przeszkód stawianych przez rząd rosyjski oraz inne państwa zaborcze, wycieczki te odwiedzały odległe nawet krańce ziemi naszej. Taka np. wyprawa na Pomorze, w liczbie stukilkudziesięciu osób, na wiele lat przed wyzwoleniem, była przypomnieniem naszych nieprzedawnionych praw do polskiego morza i tak była przez ludność nadbrzeżną zrozumiana. Wywołała ona zorganizowanie wycieczki kaszubskiej, która pomimo intryg czynionych przez Prusaków, dotarła do Piotrkowa i Częstochowy, a przez Warszawę, Łowicz — wracała na Pomorze pokrzepiona na duchu. Wówczas to w Piotrkowie, specjalnie dla Kaszubów urządzony odczyt o świątobliwej królowej Jadwidze, zilustrowany prześlicznymi przezroczami według obrazów Stachiewicza, głębokie na słuchaczach wywarł wrażenie.

Również bardzo liczna wyprawa nasza na Litwę, mile tam była widziana. Grodno, Wilno, Kowno, Troki — nie mówiąc już o in., mniejszych miejscowościach, pozostawiły najmiłsze wspomnienia o gościnności, dobrej woli i kulturze mieszkańców, nieskłóconej jeszcze z nami Litwy. Po powrocie rozesłaliśmy wszędzie, gdzieśmy byli, wiersz napisany przez jedną z uczestniczek wycieczki (p. Annę Kowalską), dotąd nigdzie nie drukowany, a który szkoda, aby zaginął w zapomnieniu:



Ryc. 235. Wycieczka do Żelazowej Woli w 1909 r.

„Dzieciom Pogoni Orłęta lotne —
 Dank pożegnania z Piotrkowa ślą,
 Wspólnie do celu serca ochotne
 Dążą zakryte przyszłości mgłą.
 Naprzód dłoń w dłoni! niech przyjaźń zbrata
 Tych, których przemoc pragnęła zgnieść.
 „Bóg zapłać” polskie, oto zapłata
 Za Wasze serca, za Waszą cześć.
 Siostrzyco młodsza, Litwo kochana,
 Do wiernej zgody podaj nam dłoń!
 Ty Ostrobramska Matuchno Pana,
 Orła i Pogoń od wroga broń!
 Niechaj On w słońcu, Ona po ziemi,
 Do wyższych celów w jedności mkną,
 Sercem i myślą z Litwą złączeni,
 Dziś Was żegnamy wdzięczności łą”.

Ostatnią taką wycieczką, na większą zakrojoną miarę, była podróż nasza do Kamieńca Podolskiego, owego orlego gniazda nad brzegami Smotrycza, niestety, straconego obecnie dla nas. Zaledwie padły słupy graniczne, a już stęsknieni Piotrkowianie podążyli na Wawel, aby u grobów naszych królów i bohaterów, zaczerpnąć siły do pracy i poświęceń w odrodzonej Ojczyźnie. Obecnie choć wycieczki powtarzają się jeszcze, lecz wobec wolności urządzania ich przez rozmaite stowarzyszenia, wyjątkowa w tym kierunku działalność Oddziału nieco osłabła.

W celu popularyzacji wiedzy krajoznawczej wygłaszane odczyty, zazwyczaj na zebraniach miesięcznych obejmowały całą Polskę. Dzielono się nimi z sąsiednimi mieszkańcami: Sulejowa, Wolborza, Bełchatowa. W tym ostatnim miasteczku, po naszej bytności, gdy wygłaszano odczyt o dalekich stronach środkowej Azji, któryś ze słuchaczy zawołał: „Mówcie nam o Polsce” — co podchwycili i inni. Ledwie uspokojono audytorjum zapewnieniem, że i o tamtych krajach wiedzieć coś powinniśmy.

Ruchliwe Towarzystwo docierając nieraz do ustronnych miejscowości, opiekowało się napotykanymi tam zabytkami sztuki, i to w czasach kiedy o istnieniu urzędu konserwatorskiego nie mogło być mowy pod zaborcą. Oto np. we wsi Witowie staraniem i kosztem Oddziału, zabezpieczono od ostatecznego zniszczenia zrujnowaną kolumnę pamiątkową zwycięstwa pod Beresteczkiem. Gdzieindziej znów, jak w Opactwie Sulejowskim,



Ryc. 236. „Szlakiem Napoleońskim” w 1912 r. w d. gubernji mińskiej.

zaopiekowano się pamiątkowymi przedmiotami rzuconymi w czasie wojny w poniewierkę. Nabyto i sprowadzono aż z Tarnopola, księgę rękopiśmienną przywilejów z początków XVII wieku, jedyne i nieocenione źródło do poznania dziejów tego starożytnego opactwa Cystersów. O podobny, współczesny poprzedniemu, kodeks dyplomatyczny innego opactwa, bo Norbertanów Wi-

towskich — zabłąkany aż do Berlina — rozpoczęliśmy starania.

W czasie okupacji austriackiej, gdy najeźdźcy zakwaterowali w Zamku piotrkowskim oddział samochodowy, w podziemiach złożono zapasy benzyny. Na grożące stąd niebezpieczeństwo tak pamiątkowej budowli, zwróciło uwagę Towarzystwo nasze i korzystając z chwilowej bytności w Piotrkowie generał-gubernatora Liposzczaka, przedstawiło mu prośbę o usunięcie załogi i oddanie Zamku krajoznawcom na cele kulturalno-oświatowe. Żądanie to przychylnie zostało przyjęte i rozporządzeniem oficjalnym w 1918 r. były zamek królewski powierzony został naszemu Towarzystwu w opiekę i użytkowanie. Odtąd prowadzona stała konserwacja gmachu, pozwoliła Zarządowi Oddziału umieścić tu na stałe swoją siedzibę, oraz wprowadzić do górnych komnat tułające się po mieście zbiory muzealne.

Z katalogu tego „Muzeum Ziemi Piotrkowskiej” — wydanego w 1926 r., widzimy, że okazów jest tam zgorą 2000, rozmieszczonych w trzech obszernych pokojach, stanowiąc działy: Przyrody, Archeologii, Etnografii oraz Kultury i Sztuki. Corocznie zwiedza je do paru tysięcy osób, przeważnie młodzieży, a nad całością czuwa specjalna komisja muzealna, oprowadzając po zbiorach w każdą niedzielę za małą opłatą na cele Towarzystwa.

Na dole, w wielkiej sali posiedzeń, umieszczona biblioteka krajoznawcza, obecnie skatalogowana, liczy do 3000 dzieł, przeważnie oprawionych. Ozdobę jej stanowi księgozbiór Kazimierza Stronczyńskiego, sławnego archeologa i numizmatyka, który Towarzystwu naszemu ofiarowali sukcesorowie.

Zaledwie kruszyć się poczęły kajdany wiekowej niewoli naszej, już w r. 1918 powstała wśród miejscowego Tow. Krajoznawczego myśl spłacenia długu wdzięczności bohaterom wolności, pomordowanym w okrutny sposób pod miastem w latach 1863—4. Aby chwalebna pamięć przekazać przyszłym pokoleniom, zawiązany Komitet, w lutym 1925 r., wydał płomienną odezwę do społeczeństwa nawołując — „aby męczeńskie te szczątki odszukać, wydobyć, przenieść na poświęconą ziemię cmentarną i postawić Im pomnik czci i wdzięczności”. Wkrótce zaczęły napływać składki pieniężne, istny „grosz wdowi” zubożonego przez wojnę społeczeństwa i osiągnęły sumy 4619 zł. Niezwłocznie też przystąpiono do budowy pomnika, na wyniosłym terenie Nowego Cmentarza, według planu inż. F. Hilchena, członka Zarządu Oddziału. O rozmiarach jego można mieć pojęcie, spojrzawszy na wielkość podstawy, która wynosi 39,81 mtr.³. Na tak silnym fundamencie ułożono piramidalnie trzy olbrzymie głazy narzutowe granitu (wagi około 7000 kg. każdy) znalezione na terytorjum miasta, a przypominające jakby trzy rozerwane części Polski, obecnie złączone. Na samym szczycie zatkwiono wielki krzyż żelazny tak, iż całość monumentu wynosi 7 m. wysokości. Na płycie granitowej, stanowiącej wejście do grobu, wyryto nazwiska straconych oraz lapidarne słowa: „Wieczna cześć Ich pamię-

ci, bo chwalebne jest zginąć za Ojczyznę". Poświęcenie pomnika tego i złożenia u jego stóp zwłok bohaterów, odbyło się na jesieni 1928 r. Opiekę nad tą mogiłą powierzyło społeczeństwo Tow. Krajoznawczemu.

Na zbliżającą się rocznicę ćwierćwiecza istnienia Oddziału naszego, Zarząd przystępuje do wydania wielkiej Monografji Piotrkowa Tryb., na którą oddawna oczekujemy. O śmiałości przedsięwzięcia świadczyć może, iż księga ta w formacie „in 4^o major”, obliczoną jest na 50 arkuszy druku, z odpowiednimi ilustracjami i planami. Wyznaczona komisja wydawnicza zbiera już na ten cel fundusze, co nie jest rzeczą łatwą wobec ogólnego zubożenia.

ALEKSANDER PATKOWSKI.

PRZED DWUDZIESTU PIĘCIU LATY.

MOJA PIERWSZA WYCIECZKA KRAJOZNAWCZA.

Był rok 1905. Bodaj, że czerwiec. Gromadka b. uczniów V gimnazjum w Warszawie z żarliwą pilnością uczyła się na t. zw. „kompletach” przedmiotów polskich: historii z cenzurowanego zresztą wydania Wł. Smoleńskiego, literatury polskiej z Króla i Nitowskiego oraz *Złotej Przędzy*. Duży kłopot sprawiała kwestja polskiej terminologii przyrodniczo-matematycznej. Ale i tutaj, jak w wielu razach, gdy chodziło o zdobycie wyższego poziomu polskiej wiedzy, czy też o zaspokojenie narastających gwałtownie zainteresowań umysłowych *Poradnik dla somouków* p. Stanisława Michalskiego był dla piętnasto- i szesnasto-letnich chłopców przewodnikiem niezastąpionym, doradcą i inspiratorem. Gromadka uczestników strajku szkolnego kształciła się usilnie z wiarą, że niedługo wróci do systematycznej nauki—w polskiej szkole. Przemykała się w pelerynach przez wzburzone ulice Warszawy, czasami łączyła z robotniczym pochodem, śpiewając „Czerwonego” lub „Na barykady...”, to gdzieś szybko chroniła się w bramy domów, gdy z Królewskiej od Ogrodu Saskiego, ukazała się w pełnym galopie sotnia kozaków, płazująca szabłami i nahajami na prawo i lewo. Zdarzało się, że 2 — 3 uczniaków z grubym tomem *Złotej Przędzy* wychodzących z Ogrodu Pomologicznego, na ul. Leopoldyny, dolatywał okrzyk „ruki w w i e r c h!” i pod przystawionemi bagnietami dokonywała się rewizja, nie pozbawiona czasami momentów tragikomicznych.

Nie pomnę dobrze kto w tej gromadce zainicjował urządzić wycieczkę po kraju. Dość, że projekt przyjęty został z dużym entuzjazmem. Miało wziąć udział więcej, ale nie wszyscy mogli się zdobyć na pięciorublowy budżet miesięczny wycieczki. Co ważniejsza nie chciano dać wiary, aby 5 rb. mogło na miesiąc włóczęgi wystarczyć.

O ile pamiętam—byłem gorącym obrońcą tego budżetu i choć najmłodszy (do dzisiejszego dnia — nie mogę doznać tej przyjemności — aby być „starszym!”) — zostałem skarbnikiem wyprawy. Ale ostatecznie tylko sześciu zdecydowało się wyruszyć. Byli to koledzy: Zdzisław Chrzanowski, Stanisław Komorowski, Jan Mędrkiewicz, Jan Sokołowski, Antoni Szejmann i ja. Marszruta miała mieć oparcia o domy rodzinne, więc w Sławinku pod Lublinem, Strzemieszycach (kol. J. Mędrkiewicza) i w Sandomierzu, gdzie mieszkała moja rodzina. Wogóle plan finansowy przewidywał możliwie wszechstronne wyzyskanie stosunków rodzinnych i znajomości.

Byliśmy jeszcze wtedy pozywistami. (Dopiero za jakieś dwa lata wpływy *Chimery* i *Młodej Polski* — zaczęły szerzej w szeregi młodzieży szkolnej przenikać). Otóż, jako „pozytywiści” — marszrutę układaliśmy pod znakiem zainteresowań przyrodniczych. Zwła-



Ryc. 237.

Fot. J. Korsak.

Uczestnicy wycieczki z 1905 roku: Z. Chrzanowski, A. Patkowski, J. Sokołowski, A. Szejmann, S. Komorowski, J. Mędrkiewicz.

szcza w dużym stopniu liczyliśmy na Góry Świętokrzyskie i nieco na kawałek Zagłębia Dąbrowskiego, przewidzianego w marszrucie. Oczywiście poszły w drogę pierwsze wydania *Wuja Wycieczek po kraju* i de Vermond Jacques Leonard...

Ruszyliśmy w pelerynach lub resztkach umundurowania szkolnego i z dawno zarzuconymi skórzanymi tornistrami na plecach o zmierzchu. Tramwajem konnym i na piechotę dostaliśmy się na Bródno. Noc musiała towarzyszyć początkowi wyprawy. Przewidziane było, że z Warszawy do Lublina jedziemy koleją. Otóż na Bródnie przez znajomych kole-

jarzy dostaliśmy się do wozu towarowego, odchodzącego do Lublina. Nie paląc światła i nie wyglądając na stacjach, nasza szóstka za darmo czy też za 50 kop. dostała się do Lublina. Oparciem był majątek rodziców kol. Mędrkiewicza, Sławinek.

Zwiedzając Lublin, Sławinek, jeżdżąc w sąsiedztwo z gospodarzami, zabawiliśmy tutaj trzy czy cztery rozkoszne dni. Zaopiekowały się nami piękne panny, których w Sławinku nie brakowało. Jeździło się wozami drabiniastymi, a w ogródku przy dworze rozprawiało o Buckle'u (*Historja cywilizacji Angliji*), którego właśnie jedna z sióstr kol. M. czytała. W nastrój wesołości i flirtu, wpadało aktualne zagadnienie stosunku wiary do rozumu (Draper) i dobrze im się działo. Żal było wyjeżdżać. Ja nawet coś z sercem... ale to już było bardzo dawno! Zresztą zaczęły się trudy maszerowania. Z Lublina do Nałęczowa. Tam oprowadzał nas dr. Lasocki, mocno łożył w głowę znaczenie artystycznego przemysłu ludowego i dowodził konieczności rozwoju Muzeum Etnograficznego w Nałęczowie (zbiory d-ra Lasockiego mieszczą się obecnie w Muzeum P.T.K. w Lublinie). W Domu Zdrojowym zaprowadził nas do bawiącego wówczas w Nałęczowie p. Józefa Weyssenhoffa. Młodo wyglądający, w myśliwskim stroju—autor *Podfilipskiego* dość chłodno powiedział nam parę zdawkowych słów na temat ważności poznawania kraju.

Z Nałęczowa droga wypadła na Końskowolę do Puław. Tutaj niewiedzieć dlaczego do „pozytywistów” przyłgął sentymentalizm. Już w Końskowoli, przy nagrobku Książna, a potem w parku puławskim... Czy to *genius loci*, czy odgłosy Sławinka?... Sunęliśmy cudną szosą z Puław do Kazimierza, wdzierając się wśród krzaków, kwiecia polnego i zieleni, na szczyty ruin zamku w Bochtownicy. Sentymentalizm rococowych wrażeń parku, Domu Gotyckiego, świątyni Sybilli ustępować zaczął wobec tęgiej i męskiej przeszłości piastowskiej, która była przed nami.

W Kazimierzu Dolnym było gwaro, gorąco. Natrafiliśmy na jarmark. W aptecę (u rodziców mego kolegi Sandomierskiego, Rajkowskiego) i u lekarza miejscowego (d-ra Chojki) doznaliśmy gościny. Dr. Chojko oprowadzał nas po Kazimierzu, zwracając uwagę na wspomnienia lokalne, które doskonale pamiętał i żywo opowiadał. Od renesansowych kamienic biegliśmy na wzgórze zamkowe do kazimierzowskich śpichlerzy, patrzyliśmy na szeroką wstęgę Wisły wśród białych, wysokich, krętych i przybranych bujną zielenią, brzegów. Po drugiej stronie Firlejowe dziedzictwo—Janowiec. Jeszcze na tem zamczysku późnorenansowem zostały ślady — jakby echa pałacowych urządzeń Puław. Zostaliśmy pasowani na krajoznawców przez ten precudny zakątek, w którym przyroda,

bogactwo pamiątek żyło wtedy sybillińską zadumą lecz zawsze pod znakiem: „przeszłość — przyszłości”.

Idąc brzegami Wisły, przeprawiając się to na jedną, to na drugą stronę — nie próbowaliśmy stąpać po wysrebrzonej przez słońce na falach wiślanych drożynie, którą kroczył św. Stanisław pod Piotrawinem, gdzie drzewo rosło do góry korzeniami, a z kościoła miejscowego uderzyły w nas piękne głosy księdza i ludu — w potężnej pieśni *Święty Boże...*

Błądziliśmy wśród pól, pod lasami — trochę po piasku, znużeni (silniejsi koledzy ofiarowywali się brać mnie „na barana”!), nocowaliśmy w jakimś dworku z malowanymi realistycznie ścianami (Głodno p. Cywińskiego), to znowu dostaliśmy się nad Wisłę pod Józefowem, wpadając na nocleg do innego dworu (Opoka, pp. Niwińskich), gdzie nas rządca bawił zawieszonymi piosenkami i anegdotami kawalerskimi, co się zowie („cynik!” jak mówił z lekką wzgardą nasz „prezes”, kol. J. S.), by wreszcie pod Łęgiem wkroczyć na teren Sandomierszczyzny. Św. Trójca, Zawichost i Sandomierz. W Sandomierzu rozminęliśmy się z jakąś wycieczką, prowadzoną przez „Wuja”.

Był w Sandomierzu postój dłuższy. Obeszliśmy wszystkie zakątki i wnętrza, oprowadzani przez mego ś. p. Ojczyrna, Stefana Przyłęckiego, który z młodzieżą lubiał szeroko dyskutować, zwłaszcza na tematy sięgające w tradycję dziejową.

Z Sandomierza droga wiodła szlakiem utartym przez „Wuja”, więc na Ossolin, Klimontów. Tu już zaczęły nas dolatywać echa niespokojnych czasów. Jakieś wieści o zajściach w Radomiu, o harcach żandarmerji. To też po dość swobodnej rozmowie i uwagach na ten temat podczas obiadu u P. Wójta (inteligenta) w Klimontowie — zatrwożony gospodarz, znający moją rodzinę, na osobności przestrzegał i zalecał powściągliwość.

Weszliśmy w strony najbujniejszego rozkwitu późnorenesansowej i barokowej kultury szlacheckiej, wśród jarów loessowych, niezapomnianych krajobrazów z Klimontowa do Górek przez Konary do Ujazdu, Iwanisk. Tu już nas całkiem opanowała legenda.

Grzebaliśmy w pamięci, przypominając sobie czytane powieści historyczne Kraszewskiego, aby przystroić plastyczną wymowę ruin — w żywą treść polskiej kultury. Czuliśmy na sobie tradycję buty szlacheckiej — w prowadzonych przy nas po francusku rozmowach, w ceremonjale obiadowym domu, gdzie żywe były wspomnienia napoleońskie, czy wreszcie w odmowie noclegu, z jaką garstką uczniów powitano w ciemną noc na dworze w Ujeździe. Ale nie puszczaliśmy takich rzeczy płazem. Zaraz poszła korespondencja bodaj do *Gazety Polskiej* (J. Gadomskiego) i wymieniony z nazwiska obszarnik w niedługi czas suto się z tej niegościnnosci tłumaczył. To też w Ujeździe wzięliśmy rozbrat z historycznością po rozległych piwnicach ruin zamkowych obserwowaliśmy działanie natury, która wykształciła tutaj przepiękne, śnieżno-białe stalaktyty. Ale nie na długo! Bo gdy z Ujazdu skoczyliśmy do Opatowa, kollegjata św. Marcina, z całym przepychem renesansowej kultury Szydłowieckich wzięła nasz zachwyty w tak całkowite, przez nikogo nie poddawane panowanie, że już do niej — do końca naszej włóczęgi ciągle we wspomnieniach — powracaliśmy.

Z temi wrażeniami wkraczamy w obręb ściślejszej Świętokrzyszczyny, doznając dużej serdeczności od ludności wiejskiej po częstych drobnych dworkach szlacheckich (Truskolasy) i w pięknej siedzibie ówczesnej d-ra Józefa Świerzyńskiego w Jeleniowie. Chyba, że i tam rozprawialiśmy z przyszłym posłem ziemi sandomierskiej o polityce. Gospodarz mówił do nas poważnie, klarował młodzieży poglądy, oświetlał sytuację. Jakieś nieco odmienne były nasze zapatrywania, ale ujęci serdeczną gościnnością i przemiłym otoczeniem, cudnymi widokami, byliśmy mocno powściągliwi.



Ryc. 238.

Fot. A. Szejmann.

Fragment ruin zamku w Kazimierzu nad Wisłą (1905).

licę. Trzeba było dobrze skompletować zbiory mineralogiczne. Oprawdzali nas chętnie miejscowi inżynierowie: czy to po fabryce marmurów, czy po Miedziance, gdzie do nowej sztolni udało się zjechać i t. d. Ale młode siły już i mocniejszym zaczęły nie wystarczać. Z Chęciny furkami dostaliśmy się „na przyczepkę” do Jędrzejowa, by tutaj na stacji wypróbowaną metodą dotrzeć do Miechowa.

W Jędrzejowie zjawia się nagle duch opiekuńczy w postaci policjanta — „Dokumenty i rewizja!”. Policjant był na razie jeden o bardzo mało inteligentnym wyglądzie, nikt jednak z nas — „strajkowiczów” żadnych szkolnych dowodów osobistych nie posiadał. Dwóch doświadczeńszych wzięło „strażnika” w obroty, a reszta trzymała się w obwodzie. Licząc, że sztuka czytania nie jest zbyt biegle przez policjanta jędrzejowskiego opanowana—kol. St. K. jakiś papierek wsadził mu w łapę, z którym istotnie nie bardzo sobie dawał radę. Policjant jednak miał swój rozum. Mimo uderzająco flegmatycznego usposobienia, zdecydował się szybko — badanie pisanego odłożyć, a przystąpić niezwłocznie do rewizji. Liczba asysty w tej ceremonji stopniała, w obwodzie natomiast wzrosła. „Dowodów rzeczowych” trudno było w naszych plecakach odszukać, ale takie były czasy, że do kozy można było się dostać za to, iż nic jeszcze się nie zrobiło. To też „z obwodu” zniknął kol. St. K. jako najbardziej elegancko się prezentujący i wypłynął w poczekalni I klasy. A tutaj—tableau! Na sali siedziało trzech czy czterech oficerów i naczelnik powiatu jędrzejowskiego. Przed nimi stał komplet okazały wypróżnionych butelek. Zobaczywszy kręcącego się bezradnie chłopca i prawdopodobnie tęsknie spoglądającego w stronę bufetu... rozrzewnili się. Miękkie serce słowiańskie zapragnęło się podzielić z biedakiem tem, co posiada. Zasadzili kol. St. K. do stołu i zaczęli karmić głodnego koniakiem, potem szampanem. Tak się towarzystwu podobał, że jęli mu wtykać portmonetki z pieniędzmi na drogę.

Nie wiadomo jak dalekoby zaszła rozlewność uczuć słowiańskich, gdyby asysta

przy rewizji nie wpadła na pomysł odszukania odpowiedniego miejsca dla dokonania czynności urzędowej, na co dobroduszny policjant się zgodził. I oto dwóch asystentów z policjantem weszło z rozwągą do poczekalni I klasy, gdzie atmosfera serdeczności oficerów rosyjskich z polskim uczniakiem dochodziła do zenitu. Naczelnik powiatu wstaje i, z wysiłkiem utrzymując równowagę, zapytuje o co chodzi. Policjant tłumaczy, podaje papierek i za chwilę wylatuje jak niepyszny z poczekalni, krótkimi lecz mocnymi słowami, przepędzony przez pijanego szefa. Sytuacja zdawała się być opanowana. Wyzwoleni z opresji opuszczają salę. Ale niebaczne znaki, wzywające do odwrotu kol. St. K., budzą podejrzenie. Sytuacja się odwraca. Na domiar złego włazi z obwodu na salę najwyższy z pośród nas — kol. Zdz. Ch. z grubą gdzieś zdobytą laską i falą podejrzeń w pijanym towarzystwie zaczyna rosnać. „W lasce jest sztylet!”. Prózne tłumaczenia. Zaczęło być groźnie. Odwrót i ucieczka stały się jedynym ratunkiem. Dopadliśmy już ruszającego w stronę Miechowa pociągu towarowego. Przykucnęliśmy na stopniach i gdzie się dało — jedziemy. Może po 4 klm. pociąg na zakręcie zaczyna zwalniać. Skądś wpada na nasz odcinek żandarm i zaczyna jednego po drugim spychać poprostu z wolniutko jadącego pociągu. Gramolącym się w piasku rzuca żandarm na pożegnanie z platformy: „Jak mogliście tacy a tacy wskakiwać do pociągu, kiedy patrzył naczelnik stacji”. Odetchnęliśmy — to nie była pogon.

Ale oko naczelnika stacji prześladowało nas do późnego wieczora. Żadna przejeżdżająca drużyna konduktorska nie chciała nas zabrać w dalszą drogę. Nie pomogło nawet słowo naczelnika najbliższego przystanku, którego zdołaliśmy przekonać, że podróż bez pieniędzy i biletów jest najdoskonalszą gwarancją rozwoju ruchu kolejowego. Ostatecznie przekonał 1 rb. sr., który postanowiliśmy rekompensować w kopalni srebra w Olkusz.

Nie tyle srebrem, ile galmanem uzupełniliśmy tam nasze zasoby. Z Miechowa podrałowaliśmy do Skały, a potem z wielką radością przez dolinę Ojcowską. W Ojcowie spotykamy znajomych — kol. J. M. dostaje się na reunion ku naszemu zgorszeniu, w „turystycznym” (?) ubraniu. Oburzenie wzrosło, gdy wieść gruchnęła, jakim „turysta” cieszył się powodzeniem. Wędrujemy po jaskiniach, Sułoszowej — zwiedzamy Olkusz — następnie wypadły Strzemieszyce i Sosnowiec. Pożegnałem kolegów w Strzemieszycach. Zdarzył się bowiem jakiś znajomy maszynista, który mnie zabrał na parowóz do Ostrowca. Było w nim bardzo ciepło i porządnie zimno. Jechaliśmy długo. Z Ostrowca na koźle obok dorożkarza dojechałem do Sandomierza. Nie poznano mnie w domu. Nie dlatego, żebym się zmienił, tylko że na parowozie na węglach było stosunkowo najwygodniej... no i równowaga miesięcznego pięciorublowego budżetu nie została zachwiana!

REGINA DANYSZ-FLESZAROWA.

Z W Y C I Ę S K I M A R S Z .

Było to bardzo dawno, bo 27 lat temu. W stosunku do wieczności, jest to znikoma chwila. W stosunku jednak do tego, co się stało u nas w dziedzinie turystyki dzieli nas od tamtej chwili — wieczność.

Nadchodziły wakacje 1904 roku. „Wycieczki po kraju” Al. Janowskiego mówiły nam barwnie o pamiątkach historii i pięknie naszej przyrody. O przyjemnościach letniej pieszej włóczędzy informowali nas bracia, którzy mieli szczęście uczestniczyć w wycieczkach, organizowanych przez „wuja”.



Ryc. 239.

Błogosławiona przez „Wuja”
pierwsza wycieczka mieszana.

W kole kilku nas, dziewcząt, powstał projekt urządzenia podobnej dłuższej wycieczki. Z wykonaniem natomiast było trudniej. Przedewszystkiem należało zdobyć pozwolenie rodziców. Może to się wydawać obecnie śmieszne—czyż to tak trudno dostać zgodę na wycieczkę? Tak, teraz, gdy wszyscy — starzy, dorośli, młodzież, nawet dzieci—wycieczkują. Ale 27 lat temu było nieco inaczej. Wycieczki chłopców, prowadzone przez wujka Janowskiego były zupełną nowością. A już o dłuższej wycieczce pieszej, w której brałyby udział i dziewczęta,

to jeszcze nikt nie słyszał. Przynajmniej na terenie Kongresówki.

Nasz projekt był więc do pewnego stopnia rewelacyjny.

Po pewnym namyśle rodzice uzależnili dojście do skutku naszej wycieczki od opinii p. Aleksandra Janowskiego. Nie wiem, czy Szanowny Senjor Krajoznawstwa przypomniał sobie nasz nieśmiały list i swoją odpowiedź. Z jakimż niepokojem oczekiwaliśmy jej, z jakim biciem serca otwierało się kopertę i z jaką radością i trjumpfem odczytało nie tylko zgodę, ale i błogosławieństwo na włóczęgę. Moralnie więc byliśmy już gotowi; trzeba było przygotować stronę materialną. Tu nowe kłopoty. Teoretycznie wiedzieliśmy, że trzeba mieć wygodne ubranie i obuwie, oraz zabrać ze sobą zmianę bielizny i t. p. Ale jakie ubranie i obuwie na pieszą wycieczkę jest wygodniejsze? ile i co zabrać rzeczy? Nie było jeszcze żadnej metodyki wycieczek. Plecak — ten dziś powszechnie używany plecak, nie był wówczas jeszcze znany. Dziś trudno mi sobie wyobrazić, że to było możliwe — a jednak tak. Doskonale pamiętam, jak jeszcze w parę lat później, na jakiejś wycieczce P. T. K. było omawiane spolszczenie nowowprowadzonego sprzętu turystycznego jakim był „rucksack”, bodaj że padło wówczas słowo „zadodźwig”, „plecodźwig”.

Po naradach, rzeczy zapasowe zostały zapakowane w torby, podobne do obecnych chlebaków; za wzór posłużyły nam sakwy dziadów-żebraków.

Nareszcie, jakiegoś pięknego dnia, o g. 4-ej rano, wyruszyliśmy w drogę. Szlak naszej wędrówki prowadził przez Końskowolę — Puławy — Kazimierz — Janowiec — Wąwolnicę do Nałęczowa, stąd do Lublina, który był najdalszym punktem naszej wyprawy.

Chociaż były to miejscowości, szczególnie Puławy i Kazimierz, już wówczas dość odwiedzane, to jednak nasza wycieczka wszędzie wzbudzała mniejszą lub większą sensację. W jakimś miejscu naszej drogi spotkaliśmy się z oddziałem żołnierzy, wracających z ćwiczeń, było to w czasie naszego odpoczynku. Po obejrzeniu naszej gromadki, zawyrokowano, że „ot włóczą się, bo nie mają nic do roboty“. Natomiast, zaraz po wstąpieniu na rynek w Kazimierzu zostaliśmy powitani przez bardzo charakterystycznego starego żyda, który z dumą zapewniał nas, że to o nim jest mowa w książce p. Janowskiego. Był to miejscowy cicerone bardzo ruchliwy i obrotny. Zupełną sensację obudziliśmy w cichym Nałęczowie, do którego doszliśmy przemoczeni i zabłoceni powyżej kolan. Znalazło się zaraz grono zacnych kuracjuszy, z p. Marją Meizner i księdzem H. Jotkowskim na czele, którzy zaopiekowali się naszą gromadką, osuszyli, oczyścili, nakarmili i wynaleźli noclegi. A my, dziewczęta, dostąpiłyśmy nielada zaszczytu, gdyż przebywający w Nałęczowie, Bolesław Prus wyraził się z wielkim uznaniem „nogi bym

tych kobiet całował, że się odważyły na taką wędrówkę”. Byłyśmy niezmiernie dumne — błogosławieństwo wuja Janowskiego i uznanie Prusa.

Gród lubelski w osobie dr. Mieczysława Biernackiego przyjął nas nie mniej gościnnie. Wszyscy się nami interesowali i opiekowali; wystarczyło, żeby kto z nas pokazał się pojedynczo na ulicy, aby zaraz przygodni przechodnie sygnalizowali mu, gdzie się znajdują inni uczestnicy wycieczki. Ludność nie była jeszcze zblazowana procesjami wycieczkowiczów!

Z Lublina nastąpił powrót do domu. I tu dopiero wystąpił w całej swej ostrości brak doświadczenia wycieczkowego. Opuszczaliśmy Lublin po południu, wypoczęci, w doskonałych humorach, to też nie kwapiliśmy się z noclegiem. Minał Sławinek, minął Jastków, aż wreszcie poczuliśmy zmęczenie — północ bliska. I okazało się, że we wsi o tej porze nie chcieli wcale z nami gadać, jedyną odpowiedzią było poszczucie psami. Pamiętam doskonale, jakieśmy się wlekli noga za nogą, co chwila przysiadając na przymach kamieni i zasypiając natychmiast. Nad ranem dowlekliśmy się do Markuszowa i znaczna część dnia przeszła na spaniu — jak bezwładne kłody zwaliliśmy się na wskazane nam siano.

A koniec wycieczki — był już zupełnie smętny. Okolica zrazu — nie dawała podniety nerwom, szosa była niemiłosiernie twarda i ostra, nogi pokryte bąblami i zupełnie obolałe, niejedna para obuwia wogóle już nie odpowiadała swojemu celowi, nie mówiąc nic o pończochach. Była to rzesza niedobitków.

Nie to co teraz, gdy, dzięki doświadczeniu, powraca się z włóczęgi tak samo dziarsko jakby się szło na nią.

Pozwoliłam sobie przytoczyć te wspomnienia z przed ćwierćwiecza przeszło, gdyż służą mi one za podstawę do oceny dzisiejszego stanu naszej turystyki. Przy tem porównaniu zupełnie wyraźnie i jasno zarysowuje się doniosła rola, jaką Polskie Towarzystwo Krajoznawcze odegrało w tej dziedzinie. Jego to przecież organizacji należy zawdzięczać pchnięcie już nie pojedynczych ludzi czy małych grup, ale całych rzesz wędrowniczych na szlaki polskie, na których poznaje się kraj i ludzi, zadzierzga się nici sympatji i osobistych stosunków, tworzy się jedność polską.

MARTA HUBICKA.

MOJA PIERWSZA WYCIECZKA W TATRY.

Generałowi J. R. poświęcam to wspomnienie.

Bardzo gorąco było tego lata w Zakopanem, gdy poraz pierwszy zobaczyłam Tatry. A to tłumne wiece z powodu rozpoczętej w Kongresówce walki o szkołę polską, a to przedstawienie „Tkaczy” Hauptmana w charakterze zamkniętego zgromadzenia, pod specjalnym nadzorem policji, to znów wykłady Stanisława Brzozowskiego: atmosfera przeżycona jakimś nieuchwytnym, serdecznym buntem, w której z rozkoszą pławiła się nasza młodość. To też jakoś brakło czasu na dalsze wycieczki: szło się tłumnie do Strążysk, czy Jaszczurówki, najczęściej po pod regle i wiodło dalej, zaczęte w Zakopanem dyskusje.

Kończył się już mój pobyt pod Giewontem i nazajutrz wieczorem miałam wracać do Krakowa, gdy na Krupówkach, bo gdzieżby gdzieindziej, spotykam kuzyna, wtedy oficera austriackiego sztabu, obecnie już posiwiąłego generała wojsk polskich.

— No, no kopę lat... co słyszać?

— Nic, byłam tu dwa tygodnie i jutro wyjeżdżam.



Ryc. 240.

Gewont od strony zachodniej.

Zdjęcie lotnicze.

— Zapewne Rysy, Zawrat, Świnnica?

— Nic podobnego.

Więc?

Dolina... no Strążyska... za... za Bramką...

Fenomenalne! Nawet za Bramką!

— Coż... tak jakoś... zeszło. Słuchaj! jutro szósta rano, spotkanie przed Klemensówką, dyrekcja: Kuźnice, hala Kondratowa, cel: Giewont, Czerwone Wirchy.

— Jakże? przecież o siódmej wieczorem wyjeżdżam.

— To nic nie znaczy—o trzeciej zjemy obiad u Płonki.

* * *

Także pomyśl przed samym wyjazdem po górach latać — ani mi się śni. Będzie mną komenderował, jak swoim ordynansem! Jeszczem nie zawarowała.

* * *

A wczesnym, świeżym, pogodnym rankiem...

* * *

— A jesteś — w porządku — godzina szósta. Coż tak wytrzeszczasz oczy? że nie wyglądam jak hrabia?—rzecz zwyczajna w cywilu.

— Popraw sobie choć te okropne owijacze.

— To nic—wytrzymasz, ale na twoje ażurowe półczochy, proszę cię, zwróć uwagę na drugim kilometrze. Zatem: — Kuźnice 6.25 — śniadanie do 6.35, wymarsz o 6.40. Siadamy! Jazda, a ostro!—Autochton się jakoś nie śpieszy?—pada w stronę powożącego góralskiego parobeka.

— I... coby ta.

Właśnie.

Furka, jak furka, dygotała, trzęsła, rzucała nami, jak się patrzy, ale wreszcie stanęła przed kuźnicką restauracją. Naturalnie—Kuźnice 6.30—przesunięcie czasu o 5 minut. No, nadrobimy śniadaniem.

Brak z mojej strony wyraźnego pośpiechu i pogodne lekceważenie uciekających minut kładzie pomiędzy nas cień milczenia, podszytego urazą. Wreszcie wstaję, narzucam biały kożuszek, od paru dni przedmiot mej radości i dumy, gdy nagle czuję, że mi się zsunął z ramion. Zobaczyłam go w rękach uśmiechniętej „cepculki” przed którą mój towarzysz wykonywał jakieś dworne reweranse.

— Jestem mianowicie zdania, że jak będziesz miała pięćdziesiąt lat, to możesz w lipcu chodzić w futrze—dziś nie. Zostało w bufecie.

* * *

Przelecieliśmy biegiem las pełen wykrotów i wystających korzeni, wydechując wzajemną urazę, gdy naraz rozwarły się gęste świerki na jasną, wesołą polaną. Błysnęły w słońcu kwiaty, owce i szałas; zdyszana usiadłam na głazie.

— Uważasz? — ja nie spoczywam. Zaraz przyniosę ci pić.

Oj to, to!

— Mleko macie, gazdo?
— Ano chyba ze jest.
— Słodkie? kwaśne?
— E, ta nie dzisiajse, już
się ma pod oscypki.

— Wszystko jedno, dajcie.
Po brudnym, drewnianym
czerpaku ścieka mętna, nietyle
wonna, ile gęsta zawiesina.

— Brr... nie!
— Jak chcesz, pamiętaj je-
dnak, że wody ci pić nie po-
zwolę.

— Co znowu?
Taki jest mój system —
idziemy!



Ryc. 247.

Giewont od strony południowo-zachodniej. Zdjęcie lotnicze.

* * *

Idę wcale dzielnie, gdyż zwolniliśmy tempo, wchodząc pod górę, wtem...

A co tam?

— Nic, potknęłam się. To przez tę suknię.

— Hm—jak tak dalej pójdzie... wiesz co, okryj się ty nią, jak wiejska baba i tak
idę przodem.

— Możesz iść jak chcesz, mam ładną halkę.

— W takim razie zmiana miejsca. — Dlaczego? Wskutek pewnych właściwości te-
renu; wolę cię mieć przed sobą.

Ścieżka, która dotąd szła zakosami po ścianie Giewontu, strzela w górę pod jakimś
zwarjowanym kątem, ciupaga, nie bierze już litej skały, serce pracuje ciężko, nogi drżą.

— Czeka! co się znów za tobą wlecze?

— Masz tobie!—wałansienka.

— Co takiego?

— No koronka od halki; trzeba chyba urwać, czy co...

Trach—i wiotką szmatkę uniósł wiatr, który począł się zrywać na tych wysoko-
ściach. Och, jak dobrze, jak chłodno!—tylko znów ten kapeluszek...

— Radzę ci, zamiast do włosów przypnij go gdziekolwiek i zostaw tutaj, bo cię
oskalpuje.

— Przecież kto weźmie.

— Miałyby też co.

— Proszę cię.

Wiatr się tymczasem trochę przycisnął, potem jak weźmie dąć!

I trzeba było zostawić w zacisznym zakolu poemat ze słomki, gazy, kwiatu jabłoni
i czarnej aksamitki, przygwożdżony ogromną szpilką, wbiją głęboko w skalną szczelinę.

Teraz „wicher z tryumfem zawył”, pochylił mój spiętrzony kok, zatargał, podwa-
żył u samych podstaw i sypką grzywą młodych, bujnych włosów chlasnął mnie w ośle-
pione oczy.

Przystanąłam i jedną ręką przytrzymując roztrzępotane wicherą spódnice, drugą
wpakowałam za kołnierz, szczelnie haftkami na karku zapięty, całą tak brutalnie znisz-
czoną „koafjūrę”.

Dochodziliśmy już prawie do szczytu, gdy naraz na widok otchłannej przepaści

krzyknęłam, zachwiałam się i wyciągnęłam przed siebie ręce. Towarzysz mój gibko przewinął się naprzód i chwycił mnie silnie za rękę. Zamknij oczy i nie otwieraj, aż ci powiem.

Wydźwignęliśmy się z trudem na skalne siodło, aż pod żelazny, ponury krzyż. Lodowaty wicher potężnym uderzeniem w mgnieniu oka przegarnął wątle batysty i dobrał mi się do kości.

— Zimno ci?

— Trrochę.

— No więc masz, owiń sobie gardło—otwórzże oczy.

— Kiedy się boję.

Poczułam wokoło szyi mięki jedwab dużej, męskiej chustki do nosa; zapach dobrych perfum przyniósł mi wspomnienie dalekich, kochanych dolin. Załkałam głośno.

— No 11.15 schodzimy!

— Sam sobie schodź, ja za nic, spadnę, zabiję się i już!

— Proszę cię, nie blaguj, już ci lepiej;—byłaś biała jak kreda. 11.20 — w drogę!

Pewna, mocna, dobra ręka sprowadziła mnie troskliwie po górskim piargu w bezpieczne miejsce: kapelusz trochę fruwał, lecz czekał.

Wlokłam się z tyłu, od czasu do czasu obrywając resztki batystowych falban i krzepiąc się myślą, że przynajmniej Kondratowa już niedaleko.

— Teraz skręcamy w bok—dyrekcja na Małolącziak.

— Ja już nie chcę, nie mogę, nie pójdę!

— W planie był Giewont i Czerwone Wirchy, zatem—idziemy.

Naraz czuję, że robi mi się wszystko jedno:—iść, to iść. Stąpam jak we śnie, lub transie po trawiastym podłożu, pogodziwszy się z myślą, że mamy zejść znów na jakąś górę, która się tylko inaczej nazywa.

Było upalne południe, powietrze drżało od słonecznego żaru, gdy wreszcie roz błysła przed nami jedwabnym połyskiem falujących traw urocza górską łąka. Upadłam na nią bez tchu.

— Zostajesz na Małolącziaku? Ja idę dalej na Krzesanicę — zostawiam ci szkła. Proszę cię uważaj, że i tam nie siądę, zresztą chyba i na Giewoncie widziałas?

— Dużo ja tam widziałam...

— No więc mi wierzysz na słowo, chodzi o to...

Powiedziałam szybko:—Wiem, wiem—i natychmiast zapadłam w zdrowy mocny sen.

* * *

Co to być może za dziwny, nigdy nie słyszany gwizd? Co tu tak pachnie? Skąd ja się wzięłam w tej słonecznej pustce? Niebo płynie nademną—nie—to płyną jasne, lekkie chmurki. Prawda—przecież myśmy tu przyszli...

Z zieleni bujnych traw poczęły wyskakiwać kwiaty — jeden po drugim: — białe, żółte, niebieskie i amarantowe; odrywały się od nich w polotnym tańcu złotem nakrapiane motyle, w błękitnej dali stały góry, mieniając się w słońcu to jasnym, to ciemnym ametystem. Jak zabawnie gwizdzą świstaki, żeby to takiego zobaczyć! Coś tu jest, czego dotąd nie znałam—pustka—nie:—radosna samotność.

Sama jestem—wokoło olbrzymy z granitu,

dumne igły krzesanic rosną wprost ze śniegu:

dziwny ogród, zamknięty okolem błękitu,

trochę z tego, a trochę—już z tamtego brzegu.

Sama jes...

— No i cóż, już dobrze?

- Och Jasiu i jak—cudownie!
- Śledziłaś mnie?
- Uhm.
- Widziałaś, że nie siadłem?
- Tak — nie siadłeś.
- Możesz to stwierdzić?
- Mo... mogę, zresztą ci przecież wierzę.
- Inna rzecz wierzyć, inna obserwować. Zatem daj mi lornetkę i w drogę.

* * *

Na hali chwilowy postój: — znalazło się i dzisiejsze mleko z południowego udoju, a krótką z nami pogwarkę baca, strzyknąwszy w bok śliną, skończył niebylejakiem uznaniem:

— Aleście psiakrew wartko szli.

* * *

Mimo to obiad u Płonki w stosunku do planu wypadł dosyć późno. Jedliśmy go jednak w najlepszej zgodzie i jak się dziś mówi, w doskonałej formie: towarzysz mój w eleganckim mundurze sztabowca, ja w śnieżnych, powłóczystych muślinach, naszywanych dla odmiany gipjurą.

LIST PRZYJACIELA „ZIEMI”.

KOCHANY REDAKTORZE!

Wybacz łaskawie, że — pomimo miłego mi zaproszenia — nie nadsyłam niniejszem artykułu ani o przeszłości, ani o przyszłości krajoznawstwa polskiego do jubileuszowego numeru naszej prawdziwie kochanej „Ziemi”. Tyle jednak ciśnie się pod pióro wspomnień z szybko, mimo wszystko, minionego ćwierćwiecza Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, tyle miłych, zacnych sylwetek zasłużonych w tej dziedzinie ludzi odżywa w pamięci, — że wybór jest trudny, a wymagana zwięzłość gotowa zawieść. Nie mogę się tedy zdecydować jaki epizod z własnych przeżyć dziś wybrać, aby nie zniecierpliwic czytelników i by zadowolić redaktora. Oto właśnie powód, że nie zdobyłem się na obiecany artykuł, za co proszę pokornie o uprzejme wybaczenie.

Tak jakoś się złożyło, że przed dwudziestu pięciu laty byłem już, jako uczeń IV kl. gimnazjalnej we Lwowie, zaawansowanym stosunkowo adeptem włóczykiństwa, a i poniekąd krajoznawstwa. Miałem za sobą piesze samodzielne wycieczki po okolicach Lwowa, do Bruchowic, Janowa i Gródka, pomijając już wyjazdy na wakacje z rodzicami na Podole i w Karpaty środkowe. Miałem też wówczas za sobą wyprawę z młodszym od siebie kompanem na rowerze ze Lwowa poprzez Kałusz do Halicza, a z powrotem, z powodu popsucia się rowerów, na piechotę marsz przez Chodorów i Stare Sioło do Lwowa, bez pieniędzy, a ze szczerem zaufaniem do ludzi, na czym nie zawiedliśmy się zgoła. Czyżby o tem dziś napisać? Czyż starać się odtworzyć niezatarte wrażenia trzynastoletniego chłopca z tej dość długiej włóczęgi sierpniowej, podczas której roztwierały mu się dopiero oczy na krasę własnego kraju, na czar wschodów i zachodów słońca, na dobroć ruskiego chłopca i na szczerą gościnę u księży i w dworach? Niestety, dziś na to mnie tak nie stać, jakbym tego pragnął. Nadmienię tedy tylko, że z wycieczki tej wyniosłem nadto jeszcze gorące pragnienie, aby móc na rok przyszły odbyć znów nową włóczęgę, ale z aparatem fotograficznym w torbie. I to się spełniło niebawem dzięki



Ryc. 242. Z wycieczki na Czarnohorę w 1908 r.
z prof. B. Fulińskim.

dobroci i zrozumieniu Matki, niestrudzonej i niewyczerpanej w skali pomysłów ekwipunkowych, pomocnicze organizacji wło-czykijstwa dzieci, własnymi chodzących drogami. Bez przesady mogę stwierdzić, że aparat fotograficzny, t. zw. podówczas studencki, przemienił młodzieńczego turystę w istotniejszego krajoznawcę, dając mu możliwość utrwalania na płytach nie tylko osobistych pamiątek, ale przede wszystkim tych obiektów widzianych, które specjalnie mu się podobały i wrażały w pamięć: chaty i cerkwie drewniane, wiejskie krzyże cmentarne i pracujący w polu ludzie i zwierzęta, a w mniejszym zaś, o wiele mniej-szym stopniu krajobrazy. Dziwne to, lecz

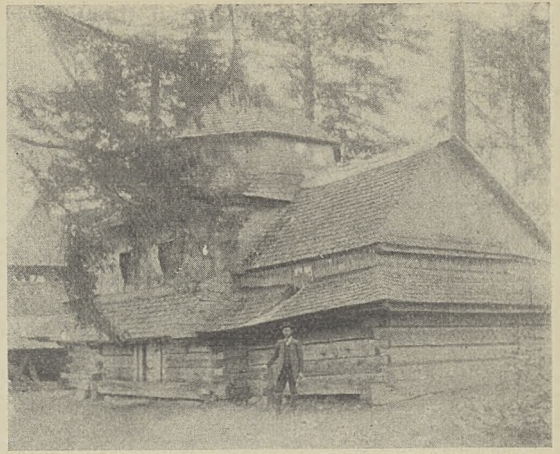
prawdziwe — dopiero w lat kilkanaście zasmakowałem w fotografiach krajobrazowych, mimo, że w terenie zawsze byłem dość na nie wrażliwy.

Nie mogę sobie już dziś dokładniej zdać sprawy, jak mi się w rzeczy samej ujawniły powaby pracy krajoznawczej, a właściwie zrazu raczej etnograficznej. Chodziłem we Lwowie do IV gimnazjum. Byłem średnim uczniem. Lubiałem słuchać wykładów i czytać i pisać zadania, ale systematyczna nauka jakoś mnie odstręczała. I tak przez pierwsze trzy klasy — o ile pomnę — nie bardzo ciągnęło mnie do szkoły. Dopiero w klasie IV, dosyć nagle, przestały mnie bawić psoty i zabawy z kolegami. Przypisuję to trzem profesorom, którzy potrafili rozbudzić głębsze zainteresowanie się przedmiotami szkolnymi i umieli, co ważniejsze, zarazem zyskać zupełne, szczere zaufanie swych uczniów. Byli to młodzi wówczas profesorowie: Michał Siwak, Władysław Witwicki i Eugenjsz Piasecki. Każdy z nich oddziaływał na chłopców w inny sposób, ale wszyscy oni, pozyskawszy ich niekłamana i pełną oddania przyjaźń, kształtowali umiejętnie i zgodnie dusze i umysły młodzieży. Zaczęło się — pamiętam dobrze — od porzucenia arcynudnych, wówczas panujących podręczników geografji i nauk przyrodniczych, co zdumiało i odrazu „wzięło” uczniów, a na miejsce „zadawań do kucia” zaczęły się żywe, tak ciekawe, ach jakie porywające wykłady: o ziemi i ludziach, o kwiatkach i o społeczeństwie roślinnym, o pochodzeniu gatunków (tak!), o wygasłych i żyjących jeszcze zwierzętach, zwłaszcza na ziemiach Polski, o ochronie osobliwości przyrody (tak!), o szanowaniu kwiatów po lasach i łąkach, a dalej o człowieku, o jego higienie i o tajemniczych, a tak emocjonujących niebezpieczeństwach ze strony na każdym kroku czyhających drobno-ustrojów. Nowe otwały się horyzonty, nowe objawienia, nowe kierunki w doborze lektury, nowe podniety do obserwacji środowisk życia i związków między zauważonemi zjawiskami. Do tego jeszcze nowa, a tak swoją żywością ponętna, forma pracy w klasie na tych trzech lekcjach, mianowicie dyskusja uczniów z profesorem, korygującym sposób ujmowania zagadnień i zwalczającym skutecznie werbalizm. I jeszcze jedno novum: wycieczki do ogrodów miejskich i za miasto *na badania!* Pierwsze usankcjonowanie zamiłowań wło-czykijskich i zwrócenie ich w kierunku poznawczym! Odtąd już każda niedziela i święto, od wczesnej wiosny do późnej jesieni wyrwała nas, t. zn. mnie i mego przedwcześnie zmarłego przyjaciela Wł. Grzebieniaka (Hrebieniaka), na wędrowni piesze z aparatami fotograficznymi do wsi pobliskich dookoła Lwowa.

Wpływ wymienionych profesorów jeszcze silniej działał wtenczas w t. zw. wyższym

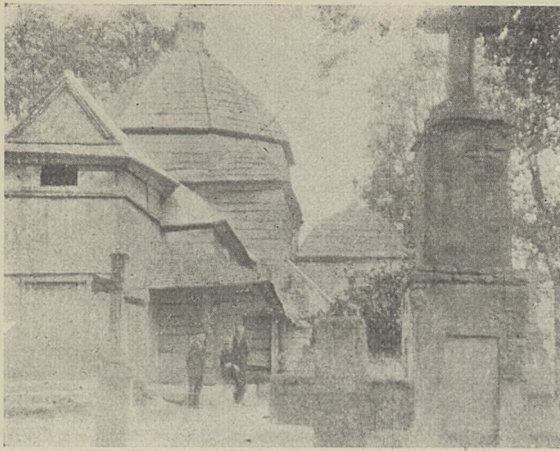
gimnazjum, zwłaszcza w kl. VII, do której uczęszczał mój starszy brat. Zachęteni przez swych czcigodnych przewodników duchowych, poczęli siódmoklasiści wydawać własne, hektografowane, pismo naukowe pod redakcją ś. p. Bohdana Janusza. Za pośrednictwem brata, „ściśłego już filozofa”, poznałem się wtedy z redaktorem już „archeologiem”, szczerze oddanym swojej specjalności. Odrazu zadzierzgnęły się między nami, t. j. mną i Wł. Grzebieniakiem a B. Januszem, bliskie i serdeczne stosunki, ugruntowane temi samymi upodobaniami do starożytności krajowych i do wędrowek krajoznawczych. Był to okres prawdziwie dla mnie przełomowy, który zadecydował o wytycznych pracy życia. Wiele zawdzięczam B. Januszowi. Był on namiętym entuzjastą pracy, nieustającym w trudach fizycznych i umysłowych dla dopięcia wytkniętego celu. Widzę Go w zniszczonym mundurku, zawsze z notatkami i książkami (nie szkolnymi zgoła) pod pachą, bladego, strudzonego studjami nocnymi i pisanem prac naukowych, strwożonego o los nauki szkolnej. Imponował mi śliczną, bogatą, doskonale za z trudem zdobywane grosze kompletowaną biblioteką wyłącznie archeologiczną. W malutkiem mieszkaniu Jego szanownych Rodziców i licznej rodziny biblioteka ta zajmowała wszystkie wolne kąty na półkach i na wznoszonych pod ścianą stosach. Imponował mi, a i wiele w tym zakresie nauczył, dobrą umiejętnością fotografowania i rysowania, oraz opisywania zabytków poznawanych na rozlicznych wycieczkach. Zarażał nas swoją niezwykłą pedanterją i systematycznością w życiu codziennem, oraz delikatnem poczuciem artystycznym, uporządkowaniem dzięki ciągłym, uprzejmych studjom książkowym, w muzeach i na wystawach sztuki, których nie wolno nam było opuścić, wreszcie w teatrze i na koncertach, oczywiście o ile było 15 centów, a potem 30 halerzy „na stojaka na jaskółce”, a o ten grosz było zawsze bardzo jakoś trudno. Trzeba było jąć się zarobku pod postacią pisania kartek katalogowych i ustawiania stosów nabywanych książek w arcydziwacznym antykwariacie, a właściwie bibliotece ś. p. inż. Józefa Tuleji, która dostała się z czasem częściowo do biblioteki p. Heleny Dąbczańskiej, a częściowo do specjalnej biblioteki ofiarowanej ostatecznie przez Tuleję Lwowowi. I tam niejednego można się było nauczyć.

Od B. Janusza pożyczyliśmy książki archeologiczne już w poniekąd uporządkowanym następstwie. Ale to nie wystarczało. Wobec tego postanowiliśmy korzystać z zasobów Ossolineum. Od tej chwili co dnia po skończonej o godz. 1-szej nauce w gimnazjum pędziliśmy we trójkę przez ogród Jezuicki do biblioteki Ossolińskich, by tam zrazu w czytelni dla młodzieży, otwartej do godz. 2-jej, móc czytać wedle woli i potrzeby. Ułatwiał nam to p. Czapelski, bibliotekarz i dyżurujący w czytelni dla młodzieży na I p. prawego skrzydła gmachu. Z początku nakłaniał nas gorąco do czytania, doskonale nam znanych z dawniejszej lektury, powieści Kraszewskiego, ale szybko dał się przekonać, że jeszcze bardziej interesującymi (wówczas dla nas) są: „Biblioteka Warszawska”, „Kłosa”, czy „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej”. Potem trzeba było o tem samym przekonywać jeszcze pp.: dyrektora Kętrzyńskiego, jego zastępcę Czarnika i młodych praktykantów Wisłockiego i Adama Fiszera. Ach, ileż one koszt-



Ryc. 243.

Fot. Wł. Antoniewicz.
Cerkiew drewniana w Parypsach (pow. Rawa Ruska) w 1911 r.



Ryc. 244.

Fot. Wł. Antoniewicz.

Cerkiew drewniana w Smolinie (pow. Rawa Ruska) w 1911 r.

wciąż o sprawach naukowych, o zbiorach i bibliotekach. Razem chodziliśmy na wyprawy po książki do antykwarni Igła, Hölzla i Bodeka; wieczorami byliśmy w zimie stałymi słuchaczami powszechnych wykładów uniwersyteckich prof.: Hadaczka, Romera, Antoniewicza i Olszewskiego. Popołudniu razem pracowaliśmy zazwyczaj w bibliotece Muzeum Przemysłowego, gdzie wiele serca i nieocenionych porad dawał nam bibliotekarz p. Dienstl-Dąbrowa. Było tam wiele „ad libitum”, książek z historii sztuki i archeologii, dla nas wprost rewelacyjnych, a nadto było tam cicho, obszernie, ciepło, jasno, ładnie i czysto—jednym słowem bardzo dobrze.

Osobną pasją naszą były wyprawy na dawne cmentarze lwowskie. Janusz fotografował starsze, niż rok 1880, nagrobki, a myśmy kopjowali napisy, często zaiste trudno-czytelne. Najbardziej nas animowały cmentarze: grodecki i stryjski, zaniedbane jeszcze wtedy, a cudne ogromem drzew, bogactwem krzewów i pnączów, urokiem gęstwiny i samotności. Nierzadko usiłowaliśmy ustawiać powalone krzyże i głazy, ale najczęściej brakło nam sił, by sprostać ciężarowi. Zналиśmy też wszystkie cmentarze wiejskie w sąsiedztwie Lwowa. Z ogromnym triumfem np. odczytaliśmy łaciński napis na płycie nagrobnej w Dublanach, uznanej ongiś przez X. Siarczyńskiego za nie do odcyfrowania. Wogóle wiele było radości i zadowolenia z wciąż nowych—zdawało się—odkryć i zdobyć.

Aż nagle przyszedł krach, prawie katastrofa. Oto przy końcu roku szkolnego 1906/07 wyrzucono mnie, jako dwójkarza, podejrzanego nadto jako socjalistę (tak!), z V kl. IV gimnazjum, mimo wstawiennictwa dobrych i zacnych profesorów, a znów B. Janusz nie został dopuszczony do matury, której już potem nie zdał, bo, prawdę mówiąc, nie miał na to czasu. Mało brakowało, że byliby mnie nie przyjęli do innego gimnazjum; zawdzięczam uratowanie mnie od tej prawdziwej, grożącej katastrofy niezłomnemu hartowi Drogiej Matki i szlachetności dyrektora D. Ostrowskiego, który mnie przyjął jako repetenta znów do V kl. filji gimn. VII u Bernardynów. Odtąd pilnowałem już nauki szkolnej, aby normalnie zdać maturę w ciągu 4 lat. Ale nie zaniedbałem też pracy starożytniczej i wycieczek, które się stały prawdziwą potrzebą i umiłowaniem nie do wykorzenia. Dzięki płatnym lekcjom kupiłem sobie lepszy aparat fotograficzny, spłacany ratami, plecak i pelerynę — wiernych towarzyszków coraz dalszych wędrówek. Upokorzenie doznane jakoś na szczęście dość prędko się rozwiało, bez reszty.

W nowym gimnazjum poznałem nowych profesorów, a z pośród nich najbardziej zawładnął mem sercem młodziutki suplent dr. B. Fuliński, drogi mój przyjaciel. Odby-

wały tremy, owe przezacne, życzliwe, pełne godności i dobroci indagacje — dlatego, po co i t. d. Ale ostatecznym ich wynikiem było pozwolenie dwóm piątoklasi-
stom na dowolne czytanie w bibliotece naukowej wśród „samiych uczonych”, jak nam się zdawało, a wśród których niebawem znalazł się również jako „cywil” i Janusz. Odtąd chłonność czytelnicza wzrosła u nas jeszcze znacznie, a bibliografja i notatki kartkowe, do których nas zachęcił Janusz, narastały pośpiesznie głównie w trzech dziedzinach: archeologii, etnografji i historii sztuki.

Z Januszem widywaliśmy się codziennie. Nieustawały niemal rozmowy i dyskusje,

waliśmy mniejsze i większe wycieczki przyrodnicze z tym przemyślnym i mądrym przewodnikiem, a największym naszym wówczas wyczynem turystycznym była dwutygodniowa wyprawa w pasmo czarnohorskie latem 1908 r. Otwarł swą uroczną zasłonę i dotąd niedostępną dla mnie, nowy świat czarów wysokich gór, odwiecznych ciemnych puszczy i obnażonych szczytów. Nowy zakres wrażeń i doznań targnął duszą i zniewolił do wiecznego w góry powrotu, odtąd co roku, na dłużej lub krócej, ale koniecznego dla wypełniania nękającej i rozkosznej tęsknoty, co roku odnowa narastającej. I znów przez brata, już studenta uniwersytetu, poznałem się z dr. M. Orłowiczem, twórcą Akademickiego Klubu Turystycznego, który na gruncie lwowskim odegrał przed wojną rolę Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Kongresówce. Nie pamiętam już w jaki sposób, jako gimnazjalista, wniknąłem, oczywiście nieoficjalnie, do grona członków A. K. T.; jakoś samo to się stało, za co szczerą wdzięczność zawsze żywię dla dr. Orłowicza. Zaczęło się od niedzielnych przechadzek dookoła Lwowa, na Czartowską Skałę, do grot Miodowych, do Janowa, a rychło zostałem przyjęty do grup turystów, odkrywających na swój sposób Karpaty Wschodnie, Gorgany, Karpaty Marmaroskie, a także Podole, Bukowinę, tudzież Miodobory — zawsze z niestrudzonym, kochanym przez wszystkich, szybko krokim dr. Orłowiczem na czele. Parę razy w roku znikąłem — za wiedzą wyrozumiałej na to Matki — na 10—15 dni ze szkoły, zwykle w maju i wrześniu, aby móc — nieraz prawdziwie o głodzie i chłodzie — towarzyszyć akademickim wycieczkom górskim, najmłodszy z pośród młodych. Napewno imponowali mi starsi o 4—5 lat studenci, starałem się im dorównać sprawnością turystyczną i być, o ile tylko można było, im pożyteczny. Wielką radość w duszy, jakiś dziwny rozmach i poczucie siły wynosiłem z tych wycieczek. I jąłem się pióra, aby głębsze doznania zanotować, ciekawsze spostrzeżenia określić i utrwalić. Powstały pierwsze artykułiki opisowe, drukowane w „Kurjerze Lwowskim”, w dodatku doń „Na ziemi naszej” i w „Wiekum Nowym”. Zaczął się dla mnie prawdziwy „Sturm- und Drang- periode”... Stawałem się rzeczywiście krajoznawcą, dobrze znającym w szesnastym roku życia cudny kraj między Sanem a Zbruczem, i od Karpat po kordon graniczny w t. zw. Galicji wschodniej, którą przeważnie pieszo wcale dokładnie przemierzyłem.

W tym to właśnie czasie B. Janusz pracował jako stały współpracownik w redakcji „Kurjera Lwowskiego”. Dzięki Niemu poznałem osobiście i szczerze pokochałem ś. p. Fr. Jaworskiego, cichego a do głębnego piewę szarego Lwowa, wczorajszego i dzisiejszego. Nową falą popłynęły skonkretyzowane już, planowe moje studia archeologiczne, zespolone wyraźnie z pracą terenową, iście krajoznawczą. Zaczęły się usystemizowane przez Janusza, a na różnych terenach prowadzone opracowywania typów cerkwi drewnianych: B. Janusz pracował na ziemi lwowskiej, Grzebieniak w okolicach Przemyśla, a ja zrazu w Sanoczek, a potem na terenie roztocza lwow-



Ryc. 245.

Fot. Wł. Antoniewicz.

Przy pracy w polu w okolicach Kalusza w 1909 r.



Ryc. 246.

Fot. Wł. Antoniewicz.

Kapliczka w Iwoniczu w r. 1912.

sko-tomaszowskiego. Zainteresowałem się też niemało kapliczkami przydrożnymi, typami kominów chat, pisankami, malarstwem freskowym, „babami kamiennymi” i antropologią pod wpływem znów wykładów powszechnych prof. W. Schreibera. W tak młodym wieku perspektywa zainteresowań łatwo się rozszerza, co nierzadko prowadzi na manowce, czego jakoś szczęśliwie, zdaje mi się, uniknąłem.

Ogromne wrażenie w r. 1910 wywarło na naszej grupie domorosłych krajoznawców lwowskich pojawienie się w Warszawie tygodnika „Ziemia”, tak znakomicie redagowanego przez długie lata przez istotnych twórców świadomego celów krajoznawstwa polskiego: K. Kulwiecia, Al. Janowskiego i St. Thugutta. Było już odtąd na czym stałe się kształcić i z czego czerpać otuchę do niustawiania w zaczętych usiłowaniach. Nic dziwnego tedy, że odrazu przyglęliśmy do „Ziemi” z całym oddaniem się. Uzna-

liśmy to kochane pismo za nasz organ, propagowaliśmy go zawzięcie słowem mówionem i pisanem. Odważyłem się już w t. I „Ziemi” zadebiutować jako korespondent „kroniki krajoznawczej”, a od t. II jako stały współpracownik wszystkich działów. Nie zapomnę nigdy bicia serca w przyspieszonym tempie w chwili otrzymywania tak nieśmiało oczekiwanych listów z redakcji „Ziemi”, podpisanych przez K. Kulwiecia i St. Thugutta. Zachęta do pracy, prośba o artykuły o „Galicji”, aby i ta część Polski była częścią w „Ziemi” reprezentowana, o recenzje, fotografie, rysunki, notatki. Boże! ile rumieńców żaru i pożądania wiedzy wykwiłało na twarzy, ile obaw trwożyło serce, ile tchu w piersi zapierał niecierpliwy pośpiech, gdy w tajemnicy przed najbliższymi, a nawet przed Januszem, pisałem po lekcjach w szkole artykuły do „Ziemi” i recenzje do „Książki”; a gdy ukazywały się one w druku w *Warszawie* — czytałem je jak nie swoje, bo wprost wierzyć się nie chciało, że w *Warszawie* drukują moje rozprawki i moje oceny. Wewnętrzna duma mieszała się z trwogą, żeby się o tem nikt nie dowiedział. I poza najbliższym kołem rodziny i przyjaciół, w istocie nikt aż do matury o tych faktach nie wiedział. Tak tedy zaczęta w prasie lwowskiej bezimiennie moja produkcja krajoznawcza została ujawniona i zwolna poczęła się rozwijać na łamach przemijającej „Ziemi”. Czyż choćby za to mogę jej nie kochać?

Raz na wiosnę 1911 r. zawitał do naszego skromnego mieszkańka we Lwowie przed południem nieznamy gość z Warszawy. Byłem wówczas w szkole, przyjęła go Matka. „Jestem Kulwieć, redaktor „Ziemi” i chciałbym się zobaczyć z p. Włodzimierzem Antoniewiczem”... Matka wyjaśniła, że jestem w gimnazjum. „A więc niech p. W. A. zechce mnie odwiedzić popołudniu w sprawie redakcji „Ziemi”. Z nie do opisania bojaźnią i biciem serca (a z bólem zębów) poszedłem pod wieczór pod wskazany adres, opinając, jak można, nieco za ciasny mundur, opatrzony w trzy złote paski na kołnierzu. Wchodzę, mówię, że jestem ten a ten, że pragnę zobaczyć się z p. redaktorem

Kulwieciem. Wstaje z kanapy dobry, miły Pan i pyta się mnie, dlaczego mój ojciec (myślał, że nauczyciel gimnazjalny) nie przyszedł, bo chciał się z nim koniecznie zobaczyć, a dziś wieczór już wraca do Warszawy. Wyjaśniam, że Ojciec mój już od lat nie żyje, że Włodzimierz A. to ja i milknę...

Kochany Panie Redaktorze, czcigodny Panie Prezesie Kulwieciu, dzięki Ci, żeś mnie uczniaka wówczas nie odtrącił, żeś mnie osobiście zaprosił do dalszej, ściślejszej współpracy w „Ziemi”, żeś w krótkiej ze mną rozmowie zaszczerzył szczerą miłość do Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, która już nie wygasła!... Otrzymałem w ten sposób jakgdyby oficjalne bierzmowanie krajoznawcze ręką i słowem Prezesa P. T. K. na całe życie.

* * *

Oto właśnie wspomnienia z tych lat dawno, a prędko ubiegłych, które gorąco chciałbym kiedyś dokładnie wskrzesić na piśmie; zaprawdę radbym kiedy znaleźć potrzebny na to czas. Dziś trudno mi się jednak porządnie z czegoś takiego wywiązać. Wybacz mi przeto, kochany Redaktorze, że tym razem jeszcze zawiodę Twoje zaufanie, że Ci odmawiam, niestety, w formie żądanej współdziałania w wydaniu właśnie tego numeru „Ziemi”, który prawdziwie uczci ćwierćwiecze wspaniałej działalności P. T. K. Przyłączam się tedy jedynie z całego serca do życzeń najlepszych dla Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i dla „Ziemi” na dalszą, jeszcze owocniejszą pracę, do której radbym się także wedle możliwości przyczynić.

Łączę serdeczne pozdrowienia, szczerze „Ziemi” i P. T. K. oddany
Wł. Antoniewicz.

JERZY REMER.

DLACZEGO ZOSTAŁEM KONSERWATOREM.

Może jeszcze nie czas na pisanie „pamiętników konserwatora”. Zbyt żywe stosunki i silne węzły łączą mnie z ludźmi i z terenem, o których należałoby pisać bez ogródek malując portrety osób bez retuszu lub opisując zdarzenia i miejscowości, które odgrywały lub odgrywają „charakterystyczne” role w tej dziedzinie życia. I tutaj potrzebna jest pewna perspektywa czasu. Nie obawiam się jej dla t. zw. prawdy historycznej, gdyż każdej chwili mogę z notatnika konserwatorskiego odtworzyć rzeczywistość widzianą i przeżytą. Odkładając zatem owo pisanie pamiętników do dalszych czasów, pragnę na tem miejscu cofnąć się pamięcią do najmłodszych lat, którym zawdzięczam — jak wszyscy — pierwsze a zarazem najsilniejsze wrażenia, wyrzeźbiające niewiadomą przyszłość. Zwłaszcza, że lata te są początkiem mojego „dzikiego” krajoznawstwa, jakie każdy z nas w swej młodości przeżywa i uprawia.

Pierwsze wspomnienia osobiste wiążą się z przepiękną, „barokową” aleją kasztanów, prowadzącą do czerwonego kościoła z wysoką i monumentalną wieżą, a dalej do parku z pałacem, do którego „wstęp obcym wzbroniony” — jak głosiła tablica na wjazdowej bramie. Z parku tego, posiadającego podówczas, oprócz kwietników i gazonów, mnóstwo zakamarków, zarośli, kęp drzew rodzimych i zagranicznych, roztaczał się wspaniały widok na pobliską rzekę, Skawę, wijącą się w meandrach wśród piachów i wiklin. Z tarasów parku, na których rosły śliwy i renglody, winogrona i truskawki (łakome owoce dla wszystkich łakomców) „spadało się” w kilkudziesięciu susach przez mostek na sztucznej



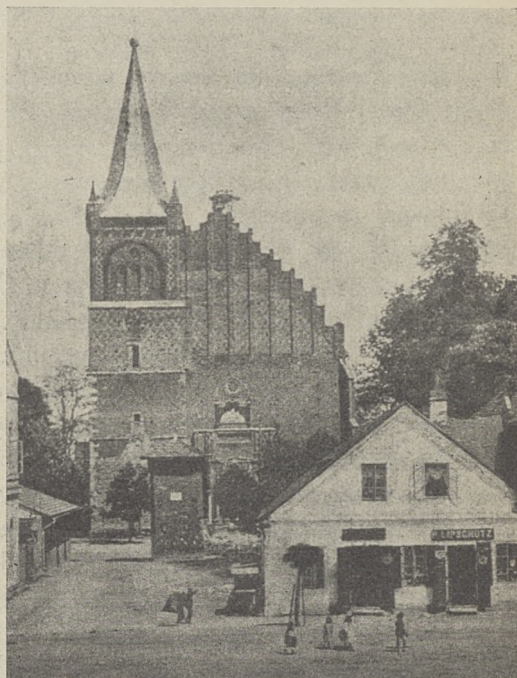
Ryc. 247.

Kościół parafjalny w Zatorze.

Fot. J. Remer.

rzecze-przykopie, do dolnego parku, gdzie z za płotu czaiły się watahy „towarzyszów broni”, gotowych do rozdarcia „odświętnych spodni” na ostrokołach płotu. Nęciły gąszcze, zapraszające do zabawy w „zbójów i żandarmów”. Zaciekawiły jednak także jakieś „figury”, rycerze, maski i zwierzęta, wykute w kamieniu a tajemniczo poustawiane na tle zieleni. Mówiło się — spotkanie „pod rycerzem”. Jeszcze więcej drażniły ciekawość wysokie i ciemne okna pałacu a zwłaszcza długa i bez światła sień pałacu, w której lśniły „srebrne” zbroje rycerzy i armatki-wiwatówki. Sień zimna, poważna i tajemnicza. Nagoniwszy się do syta (często za t. zw. labą) po olbrzymim parku, wychodziło się nie rzadko na wieżę-dzwonicę po „kawki” lub poprostu, ażeby z „figlów” uderzyć sercem dzwonu. Ale też bardzo często siadywaliśmy w okienku dzwonicy na najwyższym jej piętrze, by patrzeć „na widok”. A tam na błękitnym horyzoncie czornał ta-

jemniczy, poszczerbiony zamek. Dalej na tych samych wzgórzach lśnił od białości jakiś klasztor i kościół o czerwonym dachu. Czasem w pogodny dzień widziało się inną wstęgę wody, szeroką i ospałą, jakby zamarłą (stare koryto Wisły). Bliżej, niedaleko, widniał, cel niedzielnych, rodzinnych wycieczek, kościółek drewniany, bardzo sędziwy i bardzo jakiś miły. Szło się do niego przez długi most na Skawie (zawsze ona była najpierwsza w marzeniu chłopięcem), przez tor kolejowy i znowu alejami kasztanów, jakże bogatych w upragniony owoc i jakże pięknych w okresie kwitnienia: białych i czerwonych. Tam, po zjedzeniu, w innym sadzie owocowym, niezmiernej ilości fig, słuchało się wykładów ojca o drzewie, o tem drzewie, z którego był zbudowany stary kościółek wiejski. Po kilku latach wiedziałem już o wszystkich tajemnicach konstrukcji drzewnej, o której ojciec pouczał ze znanstwem i zamiłowaniem, przeciwstawiając się (nie wiedziałem dlaczego i z jakiego tytułu), chęci zburzenia



Ryc. 248. Kościół paraf. i d. prochnia w Zatorze.



Ryc. 249.

Ruiny zamku w Lipowcu.

Z albumu *Napoleona Ordy*.

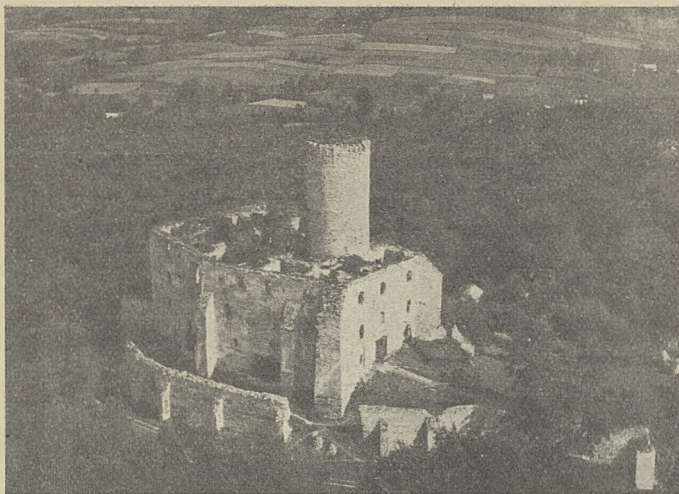
kościółka i postawienia nowego — murowanego. Czasem jechało się dalej, nawet (jak dla 7 -- 10 letniego chłopca) bardzo daleko, do innej parafji, gdzie był znów biały kościół murowany z taką dziwnie pękającą kopułą i taki budynek zwany „spichrzem”, będący podobno niegdyś dworem.

W innej stronie widziało się podobny, tylko jeszcze zamieszkały i urządzony. Porównanie wychodziło jednak na korzyść pierwszego, choć opuszczonego i bardzo zniszczonego. A wracając z tych na własną rękę podejmowanych „wędrowek” — tak sobie dla ciekawości poznania z „nieprzymuszonej woli” najbliższych okolic — do rodzinnego miasteczka widziało się w niem dwa światy. Jeden ten z kościołem i pałacem i zabudowaniami dworskimi (świat od samego początku dzieciństwa bliski, jakby rodzony) i drugi uboższy, koncentrujący się wokoło rynku, „magistratu”, domów i domków, wśród których znajdowały się takie małe chatki ze skrzywionymi oknami i zapadniętymi drzwiami, z dachami wygiętymi jak skorupa z czarno-zielonym narostem mchu. Goniło się na przedmieście zw. Blech lub Blich, ażeby się napatrzeć furmankom i chłopom zajeżdżającym pod karczmę rozłożystą i zapraszającą olbrzymimi wrotami do wnętrza. Tam to wyładowywały się jarmarczne temperamenty. Wśród tych ludzi ze wsi miało się starych znajomych — cieśli, murarzy i rybaków, którzy przychodzili do ojca na narady „fachowe”. Słyszało się nieraz ich rozmowy, mądre i „ważne”, gdy chodziło o budowę jazu, „pidła”, spuszczenie stawu (z polowaniem na ptactwo wodne—ach te kaczki tak „bezkarnie” latające!), zbieranie narybku, przewożenie do „zimochowów”, a przede wszystkim długie, wieczorne rozmowy o belkach, tragarzach, grubościach murów, metrach i calach i wszystkim tem, co stanowi mądrość budowniczą choć gospodarską. Tak było w pierwszych latach chłopięctwa — do dziesiątego roku życia, w szkole „normalnej”, czteroklasowej,



Ryc. 250.

Zdjęcie lotnicze. Wyk. por. *Meyzenhålder* z 3 p. lotn. Ruiny zamku w Tenczynku.



Ryc. 251.

Zdjęcie lotnicze. Wyk. por. Meyzenhütter z 3 p. lotn.
Ruiny zamku w Lipowcu.

w miasteczku Zator, niegdyś stolicy księstwa. A przed trzydziestu pięciu laty.

A potem? W jedynastym roku życia jechało się „konną pocztą” z tegoż Zatora na wózku z kilkunastu „starozakonnymi” do odległych o 13 klm. Wadowic, gdzie „zapisano człowieka” do gimnazjum realnego z łaciną, greką i wszystkimi nowożytnymi językami a także z rysunkami i geometrią wykreślną od początku klas do ostatniej ósmej. Inny świat i inni ludzie. Trochę znajomi, trochę obcy. Mieszkało się znów tuż za kościołem, przypominającym inny, z tym baniastym chełmem na wieży, ale jakiś obcy, zimny, pewnie młodszymi. „Latało się” jednak znów nad Skawę, tą samą, co w rodzinnym mieście, i marzyło o własnej łódce, na której można dopłynąć do kraju „utraconej młodości”. Tu, w tym mieście gimnazjalnym i starościańskim, chodziło się wkrótce na „wagary” w okolice na wzgórza i góry, na jakiś Gorzeń, gdzie był dzwonek od rozpędzania burz, a skąd znów roztaczał się szeroki widok na miasto, na rzekę, na drogę biegnącą do „domu”. Bardzo tęskniło się „za domem”: za czerwonym, starym kościołem, pałacem i jego parkiem, za rybołówstwem i myślistwem, za utraconymi towarzyszami. Nowi byli jacyś inni. Ale wnet i ci stali się „swoi”. Ci zwłaszcza, którzy mieli „fantazję”. Fantazję młodych lat, która pozostała i wiernie im służy. Drodzy towarzysze-przyjaciele: Emil Zegadłowicz i Jan Mroziński. Pisarz i malarz. Z nimi to utworzyło się „hultajską” trójkę, zdolną do wszystkiego co się nazywa figlem (biedni nasi wychowawcy z dyrektorem Arctem na czele), ale także w późniejszych latach, zaprawiających się do ważnych i poważnych zadań. W kółkach „samokształcących”, uważanych przez władze szkolne za „socjalistyczne”, śledzonych i nękanym z tego powodu, przeczucanych z jednego mieszkania koleżeńskiego w drugiej, odbywających najchętniej długie spacerunki i obradujących najczęściej pod gołym niebem. Na błoniach, nad świętą, kochaną Skawą, w Gorzeniu u Emila,



Ryc. 252.

Fot. St. Bizański w Krakowie.
Łów stawu w Podolszu pod Zatorem w 1893 roku.



Ryc. 253.

Fot. St. Bizański w Krakowie.
Łów stawu „Maurycy” w Podolszu pod Zatorem w 1893 roku.

w koszarach 56 p. p. u Jaśka, lub u mnie w „profesor­skiej” stacji. Literatura była na pierwszym miejscu. Każdy z nas nosił „swoistą” czuprynę a pod nią wiersze i to jakie—liryczne, epiczne i dramatyczne. Niech inni mówią za siebie (a Zegadłowicz w stu tomach w „Żywocie Mikołaja Srebr­em pisanego” za wszyst­kich), ja zaś zdradzę się, że Schillerowskiego „Nurka” udratyzowałem ku uciesz­szemu „belfra” po niemiecku w 5-ej klasie), że niemal całego Horacego (w wyda­niu szkolnem) umiałem na pamięć, że heksametry Ho­mera wygłaszam jeszcze dziś dzięki naszemu „belfrowi” (przepraszam go za przezwisko), drogiemu dyrektorowi gimnazjum św. Anny w Krakowie — Zachemskiemu, który wpro­wadzał nas w świat starożytny nie tylko poprzez gramatykę i słówka, ale za pośrednictwem plastyki rzymskiej i greckiej, ekspedując co zdolniejszych i chętnych do Krakowa, na przedsta­wienia klasyczne. Referowało się już podówczas ex cathedra takie „Żaby” Arystofanesa, pokazując „pomoce naukowe” w postaci fotografii, rysunków a nawet gipsów. A z temi miało się do czynienia przecież na lekcjach obo­wiązkowego rysunku, które należały do najmiłszych zajęć trafiających nam do przekonania pomimo trudności tech­nicznych, z którymi trzeba było wal­czyć ucząc się „artystycznego” alfabetu. Rysowałem też z pasją, choć zda­wałem sobie sprawę, że „artysta” nie zostanie. Chciałem po prostu „wie­dzieć” jak się rysuje, maluje, kompo­nuje. Błogosławione godziny łaciny, greki, literatur, historii i rysunku (z ma­tematyką i fizyką byłem nie w porząd­ku). Nauczyły one myśleć, patrzeć, rozumieć i tworzyć. A wszystko zmu­szało do pracy nad sobą: małe mia-

ła w koszarach 56 p. p. u Jaśka, lub u mnie w „profeso­rskiej” stacji. Literatura była na pierwszym miejscu. Każdy z nas nosił „swoistą” czuprynę a pod nią wiersze i to jakie—liryczne, epiczne i dramatyczne. Niech inni mówią za siebie (a Zegadłowicz w stu tomach w „Żywocie Mikołaja Srebr­em pisanego” za wszyst­kich), ja zaś zdradzę się, że Schillerowskiego „Nurka” udratyzowałem ku uciesz­szemu „belfra” po niemiecku w 5-ej klasie), że niemal całego Horacego (w wyda­niu szkolnem) umiałem na pamięć, że heksametry Ho­mera wygłaszam jeszcze dziś dzięki naszemu „belfrowi” (przepraszam go za przezwisko), drogiemu dyrektorowi gimnazjum św. Anny w Krakowie — Zachemskiemu, który wpro­wadzał nas w świat starożytny nie tylko poprzez gramatykę i słówka, ale za pośrednictwem plastyki rzymskiej i greckiej, ekspedując co zdolniejszych i chętnych do Krakowa, na przedsta­wienia klasyczne. Referowało się już podówczas ex cathedra takie „Żaby” Arystofanesa, pokazując „pomoce naukowe” w postaci fotografii, rysunków a nawet gipsów. A z temi miało się do czynienia przecież na lekcjach obo­wiązkowego rysunku, które należały do najmiłszych zajęć trafiających nam do przekonania pomimo trudności tech­nicznych, z którymi trzeba było wal­czyć ucząc się „artystycznego” alfabetu. Rysowałem też z pasją, choć zda­wałem sobie sprawę, że „artysta” nie zostanie. Chciałem po prostu „wie­dzieć” jak się rysuje, maluje, kompo­nuje. Błogosławione godziny łaciny, greki, literatur, historii i rysunku (z ma­tematyką i fizyką byłem nie w porząd­ku). Nauczyły one myśleć, patrzeć, rozumieć i tworzyć. A wszystko zmu­szało do pracy nad sobą: małe mia-



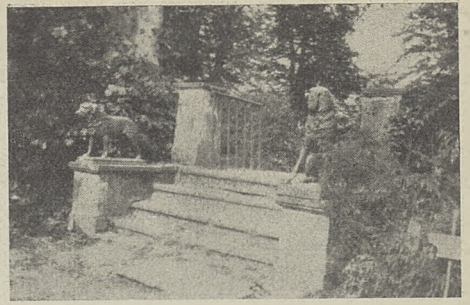
Ryc. 254.

Kościół drewniany w Osieku.

Fot. J. Remer.



Ryc. 255. Kościół drewniany w Palczowicach.

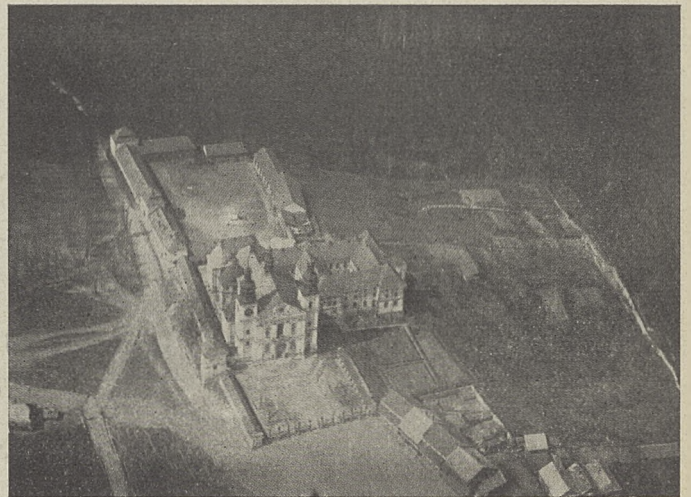


Ryc. 256. Ze zbiorów W. Nowaka. „Wierni towarzysze” — fragment z parku Zatorkiego.

na piwo, koniecznie czarne i z kwarglami)—wszystko dawało, konieczny do pracy spokój. A „Foltin” (oficyna rozstawiona przez Zegadłowicza) dostarczał na rachunek (ojca) książki. Czytało się i dyskutowało. W piątej, szóstej, siódmej (nie mówiąc o maturze) można było przedstawić poważny „spis” przeczytanej lektury, naprawdę przeczytanej—od Sienkiewicza do Młodej Polski włącznie. Mnie osobiście „brały” zawsze dzieła o plastycznych opisach kraju. „Regionalna” literatura była mi bodźcem do „autopsyjnego” poznawania okolic. Znałem je już nie najgorzej, wyprawiając się ochoczo pieszo, potem z „kołem rowerzystów” nieraz w dalekie strony, że wymienię Izde-



Ryc. 257. Wazon z pałacowego parku w Zatorze. Fot. J. Remer.



Ryc. 258. Zdjęcie lotnicze. Wyk. por. Meyzenhålder z 3 p. lotn. Kalwarja Zebrzydowska. Kościół i klasztor O. O. Bernardynów.

bnik, Kalwarię Żebrzydowską, Suchą aż po Kraków i Tenczynek—nie mówiąc o znajomości pobliskich dworów, kościołów, zamków i ich ruin, z którymi poznałem się od najmłodszych lat — Lipowiec, Alwernja, Spytkowice, Graboszyce, Osiek, Oświęcim i t.d.

Błogosławione „dzikie” i bezinteresowne krajoznawstwo. Takie dla „prostej” ciekawości. Szlakami twemi szedłem, nie wiedząc o tem, do ubijanej dopiero drogi—„galicyjskiego” konserwatorstwa, które z „ramienia władz wiedeńskich” rozpoczynało ciężki trud opieki nad ojczystymi pamiątkami. Pamiętam pierwsze tegoż podmuchy, które i w rodzinnem miasteczku ożywiły myśli „zatechłych” obywateli. Pamiętam zburzenie t. zw. „prochowni” (baszty jedynej w d. murach obronnych zamku Zatorskiego), pomalowanie mego kościoła gotyckiego czerwoną farbą (na ceglach), zaniedbanie zamku, a w nim tragiczną rozsypkę „zabytków ruchomych”, wywóz ich do Warszawy, chęć zdemolowania drewnianego kościółka w Palczowicach (który ostał się dzięki memu ojcu) i tyle innych „barbarzyństw”, przeciw którym oburzałem się—bezsilny, choć o tem mówiłem (jako 15, 16 i 17-letni chłopak) publicznie, klarując, pewnie niezrozumiałym bełkotem, co i jak należy robić.



Ryc. 260. Skawa pod Zatorem.

Gdy dzisiaj patrzę na ten dawny, dziecinno-młodzieńczy świat, widzę jasno, że wszystko jemu właśnie zawdzięczam: owemu kościołowi Zatorskiemu i pałacowi Potockich, w którym zapoznawałem się z dziełami sztuki, owym wędrownikom do okolicznych kościołów i dworów, nieustającym spacerom nad Skawą, towarzyszący-urwisom i przyjaciołom z lat gimnazjalnych, ś. p. ojcu, który wtajemniczał mnie w rzemiosło i materiał budowlany, owym zapomnianym już z nazwiska „majstrom” murarskim i ciesielskim, pięknemu krajobrazu, którego wszystkie zakątki znało się jak własne zabawki a potem myśli, marzeniom z książką w ręce po parku zamkowym i nad Skawą, profesorom, którzy nie „wstydzili się”, już przed 25 laty pokazywać „Wenus Milońską” na lekcji greki i Gorzeniowi Górnemu z jego zaciszem i wszystkim, co było kochane na ziemi, w ludziach i przedmiotach.

A trzeba się przyznać, że już przed maturą, wypuściwszy się pierwszy raz za



Ryc. 259. Ze zbiorów W. Nowaka. Tarasy w parku Zatorskim.



Ryc. 261. Fot. J. Szablowski. Kościół O. O. Bernardynów od strony południowej w Kalwarji Zebrzydowskiej.

granicę, do Wenecji, powziąłem postanowienie „poświęcić się” (raczej oddać się) badaniom nad historją sztuki rozumiejąc ją nie tylko jako „czystą” naukę, ale jako wiedzę prowadzącą do praktycznych celów — ochrony zabytków kultury. Starą zatem jest moja miłość do poznawania kraju. Była ona zawsze i ściśle złączona z poznawaniem zabytków, stąd zabytkoznawstwo było dla mnie, i prawdopodobnie zostanie na zawsze—żywą funkcją krajoznawstwa.

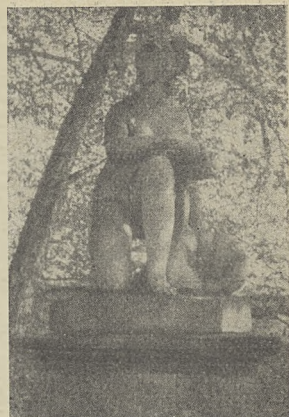
Z potrzeby serca trzeba było o tem powiedzieć wszystkim „powsinogom”, wszystkim braci krajoznawczej i konserwatorskiej. Tradycje także obowiązują.

Cieniom konserwatorów: ś. p. Stanisława Chrościechowskiego i Zygmunta Rokowskiego.

W listopadzie 1931 r.



Ryc. 262. Ze zbiorów W. Nowaka.
„Sfinks” z parku Zatorskiego.



Ryc. 263. Ze zbiorów W. Nowaka.
„Ewa” z parku Zatorskiego.

TADEUSZ DYBCZYŃSKI.

W S P O M N I E N I E.

Słońce chyliło się ku zachodowi, zapadając coraz szybciej na wzgórze Łączny. Czerwone jego promienie złociły wierzchołki sosen Miejskiej góry i barwiły dachy domostwa, położonego u stóp jej Bodzentyna. Stara kolegjata w tem mieście, posiadająca jeszcze w tym czasie dach miedzią kryty, krwawiła się zdala, górując nad całym miasteczkiem i przytłaczając swoim ogromem położone w jej pobliżu różowujące się ruiny dawnego biskupów krakowskich zamczyska. Pustoszały już pola od żeńców, kończących swój zbożny trud i wracających do miasta. Po gliniastej, wśród malowniczych lessowych wzgórz położonej drodze ciągnęły stada bydła i gęsi, pędzone do domów z bliższych i dalszych pastwisk. Zdaleka dolatywały jakieś odgłosy, porykiwania i echa zapóźnionej piosenki.

W taki to mający się ku schyłkowi dzień letni, mniej więcej trzydzieści lat temu jechałem po podnórzu Miejskiej Góry z Bodzentyna w stronę św. Katarzyny. Zaprzężnięta w niezłą parę koni lekka bryczka powoli dźwigała się naprzód, stocze bowiem było coraz bardziej strome a i kurz dawał się silnie we znaki. W najwyższym punkcie przebywanego wzniesienia, zaznaczonego drewnianym krzyżem, postawionym przy drodze na miejscu śmierci od moskiewskiej kuli jednego z powstańców 1863 roku, a skąd zaczyna być widoczny majestatyczny kontur Łysicy, zaczynającej się już zaciągać mgłami, ale jeszcze wyraźniej i wybornie ujawniającej na sobie szare plamy gołoborzy, usłyszałem z oddali dolatujący głos jakiejś pieśni. Nie była to pieśń pastusza lub wracających żniwiarzy. Rytm jej marszowy i ogólne brzmienie wskazywały, że rwie się z młodzieńczych piersi ochoczo, bez przymusu. Jakoż za chwilę ujrzałem w pewnej odległości kroczącą po drodze w moją stronę jakąś gromadkę. Stryj mój, z którym jechałem, polecił woźnicy jeszcze bardziej zwolnić.

— Jacyś wędrownicy — odezwał się po chwili. Za parę minut gromadka młodzieńców dość poważnie objuczona, potężnie zakurzona, ale wyglądająca dziarsko, zrównała się z bryczką. Wśród kilkunastu młodzieńców zwrócił moją uwagę jakiś może trzydziestoletni mężczyzna w białym kitlu i słomkowym kapeluszu. Odrazu rzuciło się w oczy, że jest kierownikiem gromadki. Pogodna jego twarz, o ile mnie pamięć nie myli, z strzyżoną blond bródką, spoglądała miłośnie nie tylko na twarze współwędrowników, ale na wszystko dokoła: na żółte już pola złociste, siniejące zdała lasy, nieliczne, gdzieś na stoczach góry rozrzucone chaty, na tonący w zieleni i dymiący wieczór, starożytny i malowniczy gród biskupa Bodzanty. Gromadka zaczęła mijać naszą bryczkę. Do jednego z ostatnich piechurów ośmieliłem się zagadnąć:

— Skąd panowie idą?

— Pieszko z samej Warszawy!

— A wolno zapytać, dokąd panowie wędrują?

— Przed siebie... Poznać Polskę i naród...

Wszczęta rozmowa zwróciła uwagę całej gromadki. Wstrzymano nieco kroku. Nawet sam przewodnik wycieczki zwolnił nieco i obejrzał się, prawdopodobnie dziwiąc się, poco jakiś młokos w czapce gimnazjalnej taki ciekawy...

— Czemuż panowie nie zawadzą o Wielki Kamień — zapytałem.

— Cóż to za Wielki Kamień? Gdzie jest?!

Pokazałem wymownie, wyciągając rękę w kierunku pobliskiego północno-zachodniego szczytu Miejskiej Góry, w nieprzebytych gąszczach swych wówczas kryjącej największą osobliwość tych stron, ów Wielki Kamień, a właściwie grupę olbrzymich kilku bloków zbitego piaskowca dewońskiego, na pochyłości sterczących prawie luźnie i poprzez gąszcz zdała znaczących się jak wielka szara plama na tle zieleni lasu.

Gromadka zwróciła spojrzenia w wskazanym kierunku. Śnać dotychczasowa wędrownica dała się już idącym we znaki, bo jakoś nikt nie wykazał żywszego zainteresowania wskazywaną osobliwością.

— Widzieliśmy już dużo wielkich kamieni na Łysicy — odezwał się ktoś z gromadki.

— Ależ takiego, jak ten, niema w całych Łysogórach! — zapewniałem uroczyście.

Gromadka zaczęła się naradzać. Widać przeważało zdanie, że trzeba pośpieszyć do pobliskiego Bodzenty, niż zbaczać i do tego pod górę, tylko dla jakiegoś tam kamienia.

Zrobiło mi się przykro, że mnie, pierwszoklasistę, nie chcą usłuchać. Ten kamień przecie dziesięciokrotnie przewyższa największe bloki kwarcytów Łysicy! Ileż to razy drapiąc się po nim z rówieśnikami, miałem wrażenie, że jestem gdzieś wśród skalic Tatr, których wówczas jeszcze nie znałam, jedynie z opisów...



Ryc 264. Miejska Góra i Bodzenty. Widok od strony płn.-zach. z Miejskiej Góry.



Ryc. 265. Wielki Kamień na Miejskiej Górze.

Gdyby nie to, że stryj mnie zabierał z letniska w Bodzentynie do miejsca swego zamieszkiwania, położonego kilka mil drogi stąd, wobec czego czekała nas parogodzinna jazda przez góry i lasy, w owe czasy mogące się jeszcze słuszenie w całym swym kompleksie zwać puszcza łysogórską, byłbym gromadkę niewiernych turystów osobiście poprowadził do osobliwego kamienia.

— Naprawdę radzę panom zbroczyć do tego kamienia! — zawołałem rozpaczliwie, stając na bryczce dla wzbudzenia większego zaufania i chcąc być lepiej usłyszonym, przedewszystkiem przez tego pana z bródką, przewodnika gromadki.

— Niech stryjek też zachęci tych panów — zwróciłem się dodatkowo, szukając i z tej strony poparcia.

— Kiedy ja nie znam tego kamienia... — odparł stryj wzruszając ramionami ku mojemu smutkowi.

Blżej nas się znajdujący wędrowcy widać usłyszeli tę odpowiedź, bo jakoś ich zainteresowanie kamieniem widocznie osłabło, co zmanifestowało się rozpoczęciem odstęp-

powania od bryczki. Doleciały mnie tylko po chwili słowa, podawane z ust do ust:

— Wuj powiedział, że może kiedyindziej tam zajrzemy...

Gromadka uchyliwszy zlekka czapek i dziękując konwencjonalnie za informację, zaczęła się szybko oddalać.

— Cóż tu będziemy stali? Jazda! — zakomenderował stryj. Woźnica trzasnął batem i bryczka zaczęła zjeżdżać szybko na dół, skacząc niemiłosiernie po kamieniach i wybojach.

Jechałem teraz z głęboką urazą do tego nieznanego „wuja”. Nie wiedziałem, że za lat kilkanaście poznam go osobiście na terenie prac krajoznawczych jako miłośnika młodzieży i specjalnie Łysogór, do poznawania których pierwszy zachęcił swemi niezapomnianymi „Wycieczkami po kraju”, jako założyciela Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, które teraz święci jubileusz swego dwudziestopięciolecia. Przypuszczam, że „wuj” ten, jak to czytelnicy „Ziemi” wszyscy chyba łatwo zgadli — zasłużony prezes Aleksander Janowski, pewnie nie pamięta tego spotkania ze mną. W mojej pamięci jednak pozostało ono trwale, więcej nawet, zachęciło mnie do wycieczek, w których starałem się nie omijać jak najbardziej zapadłych kątów. Czy owa wycieczka dotarła kiedyindziej do „Wielkiego Kamienia” — nie wiem. Pewnie nie, bo do dziś jest mało komu jeszcze znany z zamiejscowych ludzi. A łatwiej jest obecnie doń dotrzeć. Prościutko z szosy świętokatarskiej wiedzie miedza pod górę przez przerzedzone zupełnie zarośla — ścieżyna, zarosła kolącemi jeżynami. Każdy zresztą pastuszek zaprowadzi ciekawych do Kamienia, pokazując go z dumą i zadowoleniem.

STAROMIEJSKIE TEKSTY.

WSPOMNIENIA INICJACYJ W KSIĘGĘ STAREJ WARSZAWY.



Ryc. 266.

Warszawa fantastyczna.

Niniejszy numer „Ziemi” poświęcony jest wspomnieniom, wspominać więc i ja także — o roli, jaką odegrał przewodnik mój serdeczny, inicjator w bezsłowne a wieloznaczne teksty księgi staromiejskich zaułków — Ojciec mój.

Kiedy dzisiaj, prawie że rówieśnicy, chodzimy nieraz po starych kątach różnych Dunajów i Schodków nieledwie co parę kroków wołamy do siebie:

— O! jak się tutaj zmieniło — już zniszczyli to śliczne podwórko — tutaj była taka cudowna sień!

I uśmiechamy się melancholijnie do tego, co obaj doskonale pamiętamy i co zostało zadokumentowane w niejednej, gdzieś u kogoś w Polsce się znajdującej akwareli.

A ja myślę, że najtroskliwszym konserwatorem zabytków przeszłości jest serce prawdziwego artysty.

I dlatego wspominać o roli „krajoznawczej”, jaką odegrał wobec Starej Warszawy społeczeństwa i mnie, mój Ojciec.

Bo dzisiaj, kiedy już Stare Miasto pokazywane jest, jak tresowane zwierzę w klatce, byle zagranicznemu komiwojażerowi, zapomina się, że kiedyś, kiedyś — wczoraj popro-

Ziemia?

Czy wymawiając to słowo macie na myśli glob kosmiczny przycięty bezkresne przestrzenie, czy ową szczyptę miazgi skalnego zmieszanego z roślinnymi szczątkami, którą trzymacie w waszej dłoni?

Czem jest „ziemia” dla kwiatu—glebą, z której wyrasta jego łodyga.

Dla starożytnych ziemia—świat, kończyła się za słupami Herkulesa.

Myślę więc, że poprostu każdy ma swoją własną ziemię, którą kiedyś najpierw poznawał, a potem wspominał.

Moją ziemią i to w obydwu tego wyrazu wykładach, a więc glebą i światem, było Stare Miasto w Warszawie.

Glebą, bo kiedy jeszcze światomość moja nie czuwała w całej swej rozpiętości, już czerpała karm stamtąd, a światem dlatego, że po dziś dzień wyobraźnia moja zakłętą jest w kształty, których rodowód zaczyna się w zaułkach staromiejskich.



Ryc. 267.

Rys. piórkkiem T. Cieśluskiego-ojca.
Motyw z ulicy Kanonji.

relami, lub pilnowałem, żeby ktoś z ciekawych nie nadepnął pudła z farbami o ile Ojciec malował olejno.

Muszę się przyznać, że mi się to malowanie zresztą niebardzo podobało. Nie znałem się wówczas na liryzmie, który się przejawiał we wrażliwych notatkach z natury, robionych z nerwem urodzonego malarza. Dzisiaj mam w moich zbiorach (pochodzących „bezpośrednio” z szuflad Ojca, jak każde „uczciwe” zbiory nie wykluczając napoleońskich w Luwrze) owe szkice, podmalowane zaledwie rusztowania wrażeń tak smakowite w swych efektach fakturowych, uwieczniających ulotne chwile wzruszeń artysty wobec pięknych widzeń rzeczywistości.

Niosąc pod pachą mały stołeczek, lub tekturę z nalepionym na nią papierem, wkraçałem u boku mego Ojca w obręb Ziemi Obiecanej mojej przyszłości, wówczas jeszcze nie przewidywanej, w progi Starej Warszawy.

Ojciec mój wprowadzał mnie w głąb

stu—uczył kochać piękno Starej Warszawy właśnie artysta, który ją kochał dla niej samej, w jej zapomnieniu, w jej zgrzebnym łachmanie zaniedbania. Można by też na mapie oznaczyć domy, w których znajdziecie widoki tej Starej wówczas jeszcze cyrkowo nieuszmiętej Warszawy i to nie tylko na mapie Polski.

Hokusai namalował sto widoków Fudzi — mój ojciec namalował dotąd tysiąc i jeden widoków Starego Miasta.

I dlatego wspominam początki tego, co trwa zawsze czujne i pełne wartości.

* * *

— Pyrgaj no Franek do matki, żeby lufcika nie zamykała bo „Pan” maluje!

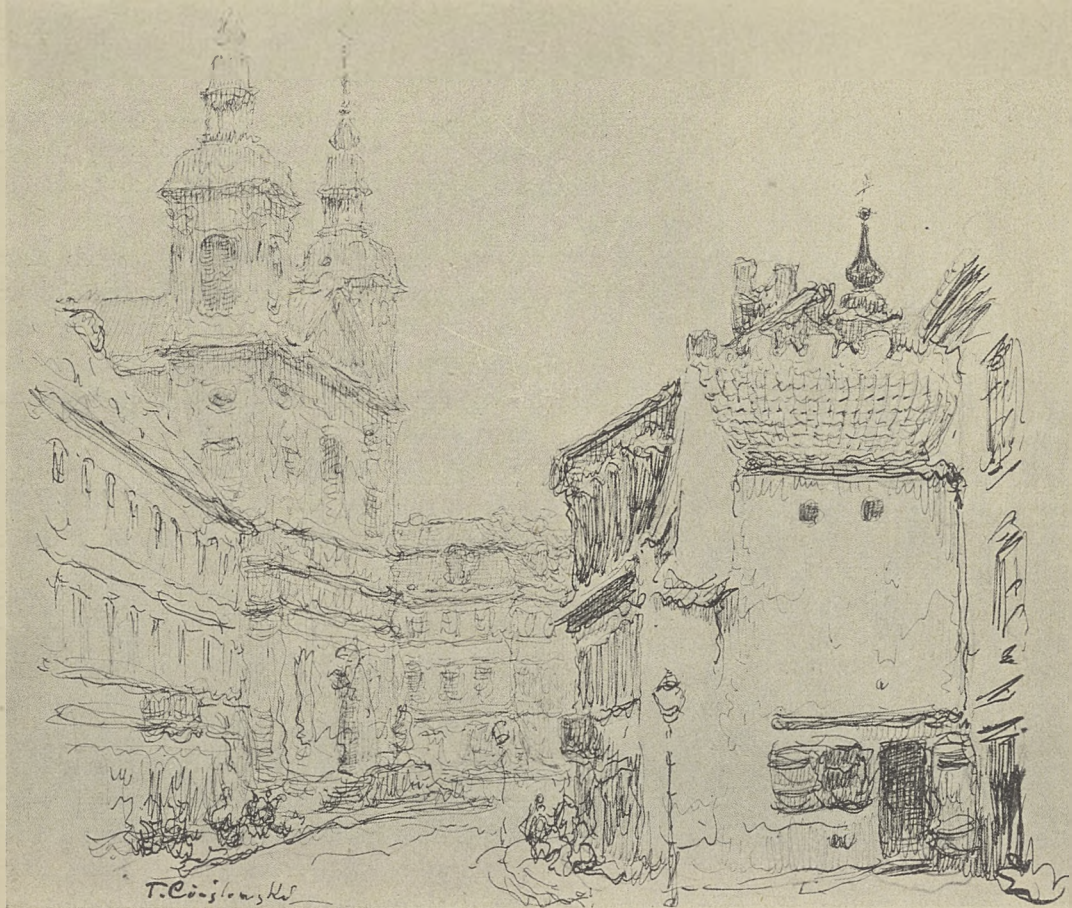
Takie wołania rozlegały się niejednokrotnie w zaułkach starej Warszawy, kiedy Ojciec mój, siedząc na składanym stołeczku malował „les coins de la nature vues a travers un temperament”.

Ja wówczas, na początku, trzymałem Ojcu „wodę” w kubku o ile malował akwa-



Ryc. 268.

Rys. węglem T. Cieśluskiego-ojca.
Dziedziniec kamienicy Baryczków.



Ryc. 269.

Motyw z ulicy Nowomiejskiej.

Rys. piórkem T. Cieślowskiego-ojca.

księgi tekstów staromiejskich, które były mi wówczas tylko uwodzającymi wzrok ale beztreściwymi hieroglifami.

Znałem owo Stare Miasto o wiele wcześniej zresztą z fikcji, z obrazów ojca, pośród których w jego pracowni, robiącej na mnie wrażenie pracowni maga-alchemika, uczyłem się tajemniczej wiedzy Godzin i Liter.

Och tak!

Godzin i Liter — godzin, które upływają i liter które utrwalają.

Życia i sztuki.

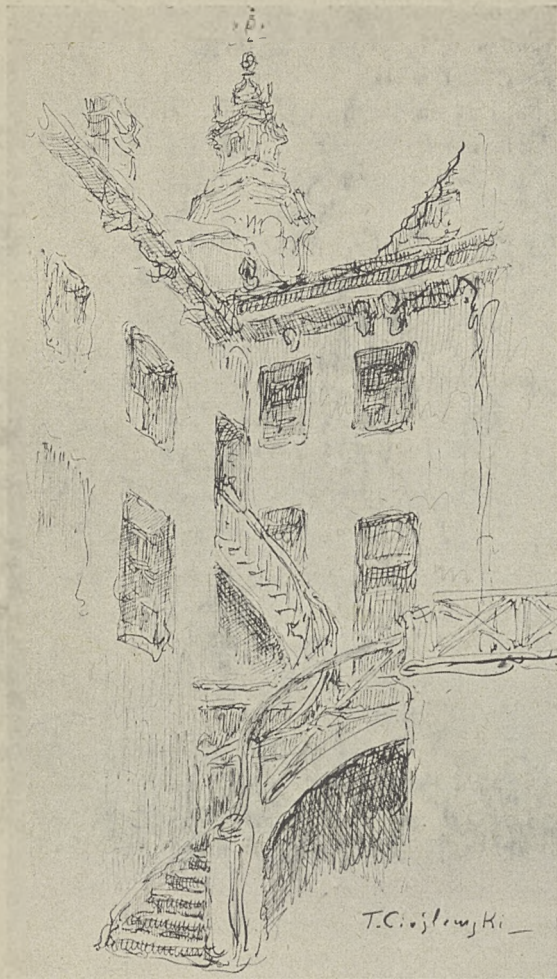
Ars longa vita brevis.

Kiedy odrobiłem pod kierunkiem ojca, zbrojnego w paletę i pendzle, zawiłe prace ustawiania tekturowych wskazówek na tekturowym zegarze wedle zadań: kwadrans po piątej, wpół do jedenastej i t. p., przystępowałem do iście herkulesowej pracy: pisania po wodnych literach.

Męczyło mnie to straszliwie, owo ścisłe trzymanie się końcem stalówki białych śladów kaligraficznie nieskazitelnych liter. Nie rozumiałem jeszcze wówczas rozkoszy jaką daje umiejętność pisania.

Tak samo chodząc z ojcem po zaułkach staromiejskich nie rozumiałem jeszcze rozkoszy drugiej mowy człowieka — rysunku.

Chodząc z ojcem na te wędrowniki jego malarskie skroś uliczki, podwórka, sienie,



Ryc. 270. Rys. piórkiem T. Cieslewskiego-ojca.
Motyw z dziedzica staromiejskiego (nie istnieje).

nych i beztroskich, ale zawsze działających nieodparcie przez swą tajemniczość i bań-
niowość.

Nie było takiego kąta, w którymby nie powstała nasza noga. Księgę Starego Miasta
dał mi poznać przewodnik mój od deski do deski. Czy chciałem, czy nie chciałem
utrwały się też we mnie ślady jej oglądania co do litery, od a do zet.

Nie pozostały też napewno bez rezultatów wyobraźniowych owocne zanurzania
się w owilgłe, sklepienie ciężko, ciasne sienie pełne mroków i chłodu, pełne czeluści
czarnych, z których jedne były zejściami do piwnic, inne do izb ciemnych i ponurych,
a inne na klatki schodowe, w których jak w wieżach wstępowało się po niewidzialnych,
pokrzywionych stopniach ku poddaszom, gdzie w świetle wielkich okien zajmujących pół
dachu widniały drewniane wiązania potężnych bali, ocalałych przed ogniem.

Czyż nie żywiła się młoda wyobraźnia w tych błędzeniach upartych skroś błędnik
staromiejski, gdzie drzwi odmykały się w czarne otchłanie mroków, okna dawały widzieć
wnętrza izb sąsiednich, gdzie wszystko było zagadkowe, gdzie z pod bruku dziedzińców
sterczała dawność w pokaleczonych rzeźbach, gdzie dwie podłogi izb sąsiednich były
z reguły na różnych poziomach, gdzie wchodziło się do jednego domu, a wychodziło się

strychy, nie zdawałem sobie sprawy, że stą-
pam po niewidzialnych wodnych literach
staromiejskich tekstów.

Miałem kiedyś na tych tekstach kłaść
własne gryzmoły, równie do nich nie pa-
sujące jak dziecinne bazgranie w kajetach
do kaligrafji.

Wszakże, jakkolwiek się do tych pierw-
szych zetknięć ze Starym Miastem odnosi-
ła moja świadomość, wrażenia z nich odno-
szone utrwały się na moim dnie psychicz-
nem, aby się tam stać zawsze niewyczerpa-
nem źródłem wzruszeń.

Cokolwiekby przybywało na tę kli-
szą potem, za tło miało, już na zawsze
nieodwołalnie, wrażenia Starej Warszawy.

Z czasem i ja zacząłem rysować przy
boku ojca owe kąty staroświeckie, obdra-
pane i złowonne, mające przecież tyle uro-
ku malowniczości.

Wdrażałem się i ja powoli w kształty
i barwy tego architektonicznego bric-a-
brac'u, gdzie rupiecie spoczywały za pan
brat z cennymi szczątkami, gdzie z narośli
i ruin wielu lat wytworzyła się jakaś dżun-
gla daszków, wykuszów, rynien, okien i o-
kienek, sieni, gzemów, szkarp i kominów,
cała sterta gratów nęcących oko swym ma-
lowniczym nieładem pełnym nastrojów prze-
rozmaitych, ponurych i pogodnych, smut-



Ryc. 271.

„Księga — Miasto”.

Drzeworyt T. Cieśliewskiego-syna.

przez sień i bramy innego, gdzie wchodziło się do domu na jednej ulicy, wychodziło z bramy domu na ulicy o cztery piętra wyższej, gdzie zamiast ulic były kaskady schodów, gdzie wisiały zakurzone od lat nieużywane latarnie i jakieś pełne znaczenia wielkie klucze nad głowami przechodniów.

Wszystko to wynajdywane było nieomylnie przez Ojca-przewodnika, który zdawał się być jakby ucieleśnioną duszą tych zakamarków, krążącą po wnętrzu własnego swego kształtu.

— Czy Pan kogo uważa? — padało nieraz w ślad za nami pytanie kogoś, kto nas jeszcze nie znał i nie wiedział, że myśmy szukali tylko własnego marzenia. Żeśmy „uważali” kawałka żelazta, ręcznie kutej kołatki, lub kraty przy poręczy schodów.

Po za nielicznymi wypadkami wszyscy mieszkańcy Starego Miasta znali Ojca wówczas bardzo dobrze, nieraz mu się kłaniali.

Był on dla nich rodzajem cudotwórcy, siadał oto w jakimś najbrudniejszym kącie i malował niewiedomo poprostu co i o dziwo, kiedy zabierał się do odejścia po paru godzinach pracy, zabierał ze sobą widok tak piękny, że ludzie, którzy w zaułku od dziada pradziada mieszkali po raz pierwszy spoglądali na ten zaułek okiem widzącym urok tam, gdzie dotąd były widoczne tylko brud i opuszczenie.

Dzisiaj, kiedy patrzę na drzwiczki mojej szafki z przyborami do grafiki, rozumiem wiele rzeczy w sobie, bo na drzwiczkach tych istnieje przez Ojca namalowana sylweta Matki mojej czytającej książkę na tle tyłów kościoła O. O. Bernardynów.

Ileż to razy widziałem dziecięcimi oczyma ten obraz - rzeczywistość, kiedy drzwi balkonowe mieszkania rodziców wychodziły na plac Marjensztadu. Sylweta kościoła Bernardynów razem z wieżą były mi wtedy codziennym tłem dla postaci moich najbliższych. Kiedy dzisiaj z tymi najbliższymi idę ulicą, widzę na murach tego kościoła, który był dziecinny widokiem z okna, obraz malowany przez mego Ojca.

Ten obraz stanowiący oddawna część malowniczości Starej Warszawy, te drzwiczki mojej szafki, dawnego schowku dla ołowianych żołnierzy, czynią mnie rzeczywistym obywatelem Starej Warszawy i pozwalają mi zrozumieć, że cały świat jest jakimś tajemniczym palimpsestem, który kiedyś dane dam będzie poznać ze strony odwrotnej.

STANISŁAW WARCHOLIK.

OKRUSZYNY WSPOMNIENIŃ KRAJOZNAWCZYCH.

Mieszkałem podówczas w Krakowie, gdy ukazał się pierwszy numer „Ziemi”. Naturalnie poprosiłem o nadesłanie mi numeru okazowego, a w niedługi czas potem ukazały się pierwsze moje artykuły. Stosunki z redakcją układały się niezwykle serdecznie. Wkrótce zaproponowano mi wygłoszenie odczytu w Warszawie na temat spraw śląskich, które podówczas prawie sam jeden referowałem w prasie polskiej wszystkich trzech zaborów. Był to dla mnie zaszczyt nielada. Proszę sobie wyobrazić człowieka młodego, który niedawno przeżywał chwile 1905 r., z bijącym sercem czytając wiadomości o ruchach rewolucyjnych w Królestwie, jadącego po raz pierwszy do Królestwa celem wygłoszenia odczytu. Przekroczenie granicy w dzisiejszych Maczkach wobec legalnego paszportu odbyło się bez przeszkód. Z okien wagonu śledziłem krajobraz tej ziemi, która zdawało mi się zionęła krwawą blizną polskości, boć po niej przewalały się losy walk 1831, 1863 i 1905 roku. Z jadącym kolejarzem wszedłem rychło w rozmowę. Porozumieliśmy się wkrótce i po kilku przebytych stacjach już wiedziałem jak to kolejarze „szwarcują bibułę” pociągami od granicy do Warszawy.

Ruch wieczorny stolicy oszołomił mię silnie, lecz rychło się z nim oswoiłem. W pierwszym rzędzie popędziłem do Towarzystwa Krajoznawczego, które mieściło się podówczas przy Alei Jerozolimskiej 29. Zastałem tam zarząd prawie w komplecie: a więc



Ryc. 271.

Wycieczka P. T. K. w Kijowie w 1913 r.
przy wejściu do Muzeum Archeologicznego.

Kulwiecia, Janowskiego Aleksandra, Wisznickiego Mikołaja, Thuggutta. Serdeczne powitania i wzajemne porozumienie się przeciągnęło się późno w noc.

Na drugi dzień odczyt w sali Przemysłu i Rolnictwa. Wrażenie kolosalne, niezatarte. Do dnia czuję wzruszenie w całym ciele, gdy pomyślę, że miałem mówić w stolicy Polski, publicznie referować sprawy śląskie przy pomocy własnych przeźroczy. Wykład mój poprzedziło przemówienie żałobne p. Al. Janow-

skiego z okazji śmierci ś. p. Marji Konopnickiej, przemówienie gorące, nastrojowe, a w dodatku przesiąknięte duchem polskim: Padła w proch korona Chrobrych i posypały się z niej drogocenne brylanty i perły... pamiętam jak dziś słowa wybitnego krajoznawcy i niezwykłego mówcy, które w dodatku zbiły mię z tropu, bo jeśli tak można w Warszawie mówić, to z czym należy się liczyć, aby nie zaszkodzić nie tyle sobie ile Towarzystwu?

Wśród paru następnych dni zwiedziłem Warszawę przy pomocy znów młodego podówczas krajoznawcy, a dziś zapewne każdemu z czytelników „Ziemi” znanego p. Adama Chętnika.

Wtedy to powstał w Warszawie plan stworzenia oddziału redakcji w Krakowie, co też istotnie się stało, a redakcję objął dr. Sawicki Ludomir ówczesny docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tak grono krajoznawców się powiększało w „Galicji”. U mnie na Felicjanek był lokal „Ziemi”.

Z nadchodzącą zimą powstaje w Warszawie plan urządzenia pierwszej wycieczki do Zakopanego. Trzydzieści osób zjeżdża około świąt Bożego Narodzenia do Zakopanego i staje u siostry mej w „Mazowszu”.

Latem znów powstaje nowa myśl: wycieczka piesza z Warszawy przez Kraków do Zakopanego. Wycieczkę prowadził p. M. Wisznicki. Uprzedzony przez Zarząd zająłem się wycieczką w Krakowie. W tym czasie tego rodzaju wycieczki jednak nie były znane. Kraków był Mekką dla szerokich rzesz robotniczych i włościańskich, ale dla takich turystów pomieszczenia nie miał. Cóż miałem robić po wszystkich nieudanych próbach, na wikt ulokowałem Warszawian w Bratniej Pomocy Uniwersytetu Jagiellońskiego, a na nocleg zamieniłem swoje mieszkanie na dom turystyczny. Wytknąwszy im marszrutę przez Niepołomice, gdzie podówczas sypano kopiec grunwaldzki, Bochnię ku Wiśniczowi, pożegnałem miłych gości poto, aby w dwa dni później powitać ich w Bochni w domu mego ojca, gdzie znów spędzili miło parę godzin dla odmiany w nastroju wiejskim.

Lata wojny prace nasze przerwały, ale nie przerwały naszych zadzierzgniętych węzłów. Oto podczas naszych wędrówek legionowych docieraliśmy do różnych dworów i dworków. Rzucone nazwisko przy powitaniu nieraz znajdowało oddźwięk: A to może pan co w „Ziemi” pisze?... I już gotowa nowa znajomość serdeczna. Ale naprawdę trzeba nazwać prawdziwą ucztą duchową dzień, w którym wyczytałem na murach miasta Łomży, że przybywa tam p. Aleksander Janowski z odczytem. Posłuchać podczas zawieruchy wojennej tego krasomówcę, odświeżyć stare znajomości, cóż mogło bardziej w tych czasach nęcić stęsknionego żołnierza-tułacza.

Jeszcze jedno wspomnienie. W biurach Towarzystwa pracowała jak i dziś zacna p. Kujawska. Podczas wojny spotkałem w naszym 4 p. p. Legionów młodego żołnierzyka z Warszawy, Kujawskiego. Zanim mogłem bliżej dowiedzieć się co on zaczął, gdy znikł mi z oczu. Dowiedziałem się, że poległ pod Jastkowem. Strapiona matka po upadku Warszawy wielokrotnie zwracała się do Komendy pułku o bliższe dane o jej synie. Na mnie padł obowiązek zawiadomić ją o tem. Tymczasem śladów jego faktycznej śmierci nie było, trzeba było prowadzić śledztwo, długo bo aż po koniec wojny trwała korespondencja, t. j. aż do naszego przybycia do Warszawy, niestety pocieszające nie były to wieści.



Ryc. 272.

Fot. L. Forbut.

Wycieczka do Starego Otwocka w 1913 r.

JAK TO „ZIEMIA“ — ŁĄCZYŁA!

Mam napisać słów kilka wspomnień o „Ziemii”, o „Towarzystwie Krajoznawczem” do jubileuszowego numeru...

Oto leży przedemną list z przed laty dwudziestu, z 21 stycznia 1911 roku, list p. Kulwiecia pisany do mnie po artykuł do pomorskiego zeszytu „Ziemii”. List to taki dobry, serdeczny, wzruszający żalem rozłączenia a mimo to niełączenia się!

Jest tam więc żal, że „Ziemia”, „która po rocznem istnieniu zdołała nawiązać dość żywe i ściśle stosunki z całą dawną Polską, a nawet z ludźmi daleko poza jej granicami historycznymi osiadłymi, od jednego tylko Poznańskiego odgradzona jest po dziś dzień murem bodaj że gorszym niż chiński... Że z tej pod wieloma względami najciekawszej i przodującej ziemi polskiej nie możemy naszym czytelnikom nic dać z pierwszej ręki — to nas boli”.

I pisał p. Kulwiec dalej: „A sądzimy... że i sprawie samej, sprawie zbliżenia się i zapoznania roztrąconych losami dzielnic przysłużylibyśmy się w ten sposób nieco”.

Mimo to napisałem artykuł — tylko do owego kaszubsko-pomorskiego zeszytu; tylko o tym najmilszym i najcenniejszym „Brzegu morza”. Powód? Może ten, że były to czasy najsroźszego ucisku, czasy częściowego zakazu używania polskiej mowy na zebraniach publicznych jak w samym Poznaniu, czasy zakazu budowania ognisk domowych poza zamieszkałą miejscowością bez pozwolenia władzy pruskiej, czasy początków wywłaszczania z odziedziczonej i w pocie czoła utrzymanej ziemi.

Przecież wszelkie prace skierowane były wówczas — przy ciągłej myśli o połączeniu — jedynie ku odparciu, ku wstrzymaniu grozy — zniszczenia...

W trzy lata przyszła na koniec ta długa oczekiwana „wielka wojna” i kojąc krwią ból, wreszcie — połączyła!

KONRAD GÓRSKI.

ZE WSPOMNIENÍ JEDNOROCZNEGO REDAKTORA „ZIEMI”.

Gdy w maju 1930 roku obejmowałem redakcję „Ziemii”, nie przypuszczałem, że praca moja na tem stanowisku potrwa tak krótko. Trzeba było jednak zrobić zawód tym, co mię do tej pracy powołali, trzeba było się rozstać z redaktorską teką i fotelem, bo krajoznawstwo czyniło zbyt wielką konkurencję mojej głównej specjalności, jaką była i jest historia literatury, stykająca się z krajoznawstwem na drobnej stosunkowo płaszczyźnie — badania literatury regionalnej. Ale całoroczna praca w redakcji „Ziemii” pozwoliła mi wytworzyć sobie pewne pojęcia i wskazania, jakim mogłoby być prowadzone pismo krajoznawcze. O ile to było możliwe, starałem się pomysły moje realizować, chociaż trudności materjalne zmuszały mię do poniechania wielu zamiarów.

Trudności te wyrażały się przedewszystkiem w tem, że „Ziemia” nie mogła płacić wysokich honorarjów, ani regulować rachunków z autorami natychmiast po wydrukowaniu artykułu. Po objęciu redakcji zwracałem się do kilku wybitnych literatów z prośbą o współpracę, ale widziałem, jak bardzo odstraszała ich wysokość (a raczej niskość) naszych honorarjów. Przyniesiono mi na określony termin artykuły, aby mię później przeprosić, że dla tych czy innych względów obiecany rękopis nie mógł być wygotowany.

W ten sposób życie zmusiło mnie do rezygnacji z pierwszego zamiaru, aby układać numery z przeważnej ilości artykułów zamówionych, wiążących się w pewną linię ideową, nie zaś z przypadkowo nadesłanych. Niestety, owe artykuły nadesłane, świadczące często o najlepszych intencjach i... braku jakiegokolwiek talentu pisarskiego ich autorów, musiały pozostać żelaznym kapitałem materiału redakcyjnego.

Ideałem moim było układanie numerów jedno-tematowych. Szereg artykułów skupiałby wówczas uwagę czytelnika na jednym określonym zagadnieniu, zmusza-

jąc go do gruntownego przemyślenia sprawy, względnie umożliwiając uporządkowanie sobie różnych wiadomości z pewnej dziedziny krajoznawstwa. Oczywiście inaczej wygląda taki jednotematowy numer, złożony z artykułów zamówionych, a inaczej sklecony z materiału nadesłanego, jeśli się nawet znajdzie w nim kilka prac o pokrewnej treści. W ciągu rocznego okresu pracy w „Ziemie” udało mi się stworzyć zaledwie kilka numerów, które były zrobione całkowicie po mojej myśli. Należą do nich numery, poświęcone Kochanowskiemu i powstaniu listopadowemu, dalej numer muzealny, opracowany przez prof. W. Antoniewicza i wreszcie numer orawski, pomyślany i wykonany w lwiej części przez prof. W. Semkowicza. W większości jednak wypadków trzeba było iść na kompromis z życiem i traktować „Ziemie”, jak przysłowiową skrzynkę pocztową.

Chcąc nakreślić pewien program redakcyjny dla wydawnictwa, musiałem zdać sobie sprawę z pojęcia krajoznawstwa. Być może, że mój naukowy fach, ściśle mieszczący się w granicach badań humanistycznych, odegrał tu decydującą rolę, ale okazałem wyraźną tendencję do przesunięcia punktu ciężkości zainteresowań krajoznawczych z przyrody na człowieka. Poznanie kraju musi się wyrażać w zbliżeniu zarówno do jego przyrody, jak i do mieszkańców, ale wydaje mi się sprawiedliwym zgłębnienie przedewszystkiem roli i wysiłku człowieka w nadaniu zamieszkałemu przezeń krajowi dzisiejszej postaci. Z wyjątkiem takich fragmentów krajobrazu, jak nagie skaliste szczyty, czy szeroko rozlane, nieuregulowane rzeki, wygląd Polski z przed tysiąca lat różnił się bardzo silnie od wyglądu dzisiejszego. Przekształcenia krajobrazu dokonał człowiek. Za jego to sprawą zniknęły nieprzebyte puszcze i bagna, a miejsce ich zajęły uprawne pola, wsie, miasta, starożytne zamki, stojące jeszcze cało lub w ruinie, szlaki współczesnej komunikacji i tysiące innych objawów dokonanej wielowiekowej pracy. Nawet tak niezaprzeczalnie do przyrody należące dziedziny, jak fauna i flora, posiadają dziś taki, nie inny charakter skutkiem działań człowieka. Pewne gatunki roślinne i zwierzęce zostały przez niego wyniszczone, inne zaklimatyzowane, mimo egzotycznego pochodzenia. Jednym słowem, poznanie kraju winno mieć na uwadze przedewszystkiem człowieka, przekształcającego przyrodę, aby ją opanować i wyzyskać.

Przeniósłszy punkt ciężkości zainteresowań krajoznawczych na człowieka i jego twórczy dorobek kulturalny, „Ziemia” mogłaby stać się nie tylko magazynem wiadomości



Ryc. 273.

Fot. W. Złakowski i W. Wenda.

Zjazd na 20-lecie P. T. K. w warszawskim ratuszu.



Kyc 274.

Fot. Ilustracja Prasy — Photo-Agencja

I-szy Ogólnopolski Kongres Krajoznawczy w Poznaniu 12 i 13-VII 1929 r.

o pewnych określonych miejscowościach, ale przede wszystkim organem popularyzacji pewnych syntetycznych działów wiedzy, których znajomość bardzo u nas niedomaga. Mam na myśli nauki takie, jak: etnografia, archeologia, historia architektury polskiej, historia sztuki polskiej ze specjalnym uwzględnieniem krajobrazu naszego w sztuce. Najlepiej przedstawia się jeszcze sprawa etnografii; ten dział zawsze był w „Ziemi” uwzględniany, choć może nie w tym stopniu, jakby na to zasługiwał. Znacznie gorzej jest z archeologią. Podczas gdy we Francji oprócz dużego zastępu fachowców nauka ta liczy olbrzymie ilości amatorów i dyletantów, a sprawy sporne stają się przedmiotem ognistej dyskusji publicznej (jak słynny „Glozel”), u nas nikt o archeologii nie ma pojęcia, a przecież należy to do kamieni węgielnych krajoznawstwa.

Podobnie rzecz się ma z architekturą polską, której pięknem zainteresował ogół polski dopiero Stanisław Noakowski, genialny artysta i uczony w jednej osobie. Dziś mamy już na politechnice warszawskiej Zakład Architektury Polskiej, który przyrzekł nawet stałe współpracownictwo w „Ziemi”, dostarczając na zadatek dwóch świetnych artykułów: M. Walickiego „Sztuka w Polsce złotego wieku” oraz A. Karczewskiego „Zmierzch gotyku w architekturze polskiej”. Później jakoś urwało się z tym dostarczaniem popularnych syntetycznych artykułów, sądzę jednak, że zapoczątkowana droga w tym kierunku nie powinna porosnąć trawą zapomnienia.

Osobną sprawą jest kwestja sztuki polskiej, dawnej i obecnej. Mam wrażenie, że przy odpowiednim uświadamianiu ogółu inteligencji prowincjonalnej w Polsce o dziejach polskiej sztuki, coraz to gdzieś odkrywano by różne zakopane w starych strychach kościelnych i zakrystjach dzieła malarskie i rzeźbiarskie, jak ów słynny tryptyk, przed paru laty w Sandomierszczyźnie znaleziony. Mimo istnienia urzędów konserwatorskich, coraz to gdzieś zdarza się, że jakiś proboszcz-ignorant odnowi niewłaściwie powierzony jego pieczy kościół, coś zepsuje, albo wyrzuci wartościowy zabytek, aby na to miejsce wstawić jakąś jarmarczną ohydę. Popularyzacja dziejów sztuki polskiej w związku z krajoznawczym materiałem przyniosłaby dużą poprawę w tej dziedzinie. A w stosunku do sztuki współczesnej „Ziemia” mogłaby odegrać rolę pośrednika między artystami, którzy obierają za temat polski krajobraz i publicznością, która nie zawsze umie odróżnić rzeczy wartościowe od tandety.

Wszystkie zaznaczone tu linje wytyczne w pojmowaniu przeze mnie krajoznawstwa wpływały silnie na redaktorską praktykę. Zestawiając spis treści rocznika 1930-ego od chwili, gdy objąłem redakcję, z dawnymi rocznikami, można stwierdzić naocznie przesunięcia w treści pisma. Zmniejszyły się znacznie: dział poświęcony fizjografii Polski i „materiały krajoznawcze”, stanowiące jedynie rejestrację faktów, wzrosły natomiast: etnografia i sztuka ludowa, literatura piękna, wreszcie przybyły jako rzeczy nowe: archi-

tektura i sztuka polska, informacje o Polakach zagranicą, a nawet opisy piękności krajów obcych.

Do realizacji przynajmniej większości (jeśli nie wszystkich) moich marzeń było jednak bardzo daleko. Wskazane już trudności materialne zmuszały do układania mozaiki poszczególnych numerów nie z tego, co by człowiek chciał mieć, lecz z tego, co było pod ręką. Nie twierdzą zresztą, że nakreślony tu program redakcyjny był wystarczający i jedynie dobry. Może jednak to spóźnione *exposé* redaktora w stanie spoczynku mieć pewną wartość, jako materiał dyskusyjny, względnie propozycja do rozważenia dla obecnego kierownictwa redakcji „Ziemi”.

K R O N I K A.

Organizacja turystyki międzynarodowej. W Pradze Czeskiej w maju r. b. odbyły się obrady dorocznego zjazdu Alliance Internationale du Tourisme. Instytucja ta w chwili obecnej reprezentuje około 5 milionów turystów ze wszystkich części świata i jednoczy wszystkie Touring Kluby nie należące do federacji automobilklubów w Paryżu, organizacje kolarskie, motocyklowe, niektóre kluby alpejskie i niektóre urzędy turystyczne. Alliance Internationale du Tourisme założona została w roku 1919 i ma siedzibę w Brukselli. Polskę reprezentuje referat turystyki Ministerstwa Robót Publicznych oraz Polski Touring Klub.

W ciągu czterodniowego zjazdu omówiono szereg zagadnień, dotyczących międzynarodowej turystyki automobilowej, zmieniono statut A. I. T. Przedstawiciel Polski dr. Orłowicz zreferował wniosek, dotyczący unormowania wzajemnego stosunku, zakresu działania trzech międzynarodowych organizacji turystycznych: Alliance Internationale du Tourisme w Brukselli, Conseil Central du Tourisme Internationale w Paryżu i Międzynarodowego Związku Urzędów Turystycznych w Hadze.

W maju również odbył się w Budapeszcie kongres Conseil Centrale du Tourisme Internationale. Z ramienia Ministerstwa Robót Publicznych wziął w nich udział inż. Minchejmer. W odróżnieniu od poprzedniej organizacji jednoczy ona przedewszystkiem rządy państw, międzynarodowe związki komunikacyjne, Touring Kluby i Automobilkluby.

Umowy graniczne polsko - czeskie w Gdyni odbyły się we wrześniu b. r. Omawiano: statut graniczny czeskosłowacko - polski, umowę o drogę pienińską, umowę o Żegiestowie, umowę o splawie na rzekach granicznych i inne. W skład delegacji czeskosłowackiej wchodził: b. min. Robót Publicznych inż. Roubik, jako przewodniczący, dyr. dep. dr. Bobek z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, radca ministerjalny inż. Rousek (Min. Rob. Publ.) radca Lisicky (Min. Spr. Zagr.), radca dr. Blazek (Min. Skarbu). Do delegacji polskiej, pozostającej pod przewodnictwem prof. W. Goetla: inspektor minist. inż. A. Konopka (Min. Rob. Publ.), radca W. Łapiński (M. S. Z.), radca inż. Ruszkowski (Min. Skarbu), radca inż. Orzęcki (Min. R. P.), oraz referent Sankowski (M. S. Wewn.).

Schronisko nad jeziorem Trockiem. Schronisko im. wojewody Władysława Raczkiewicza nad jeziorem Trockiem w kwietniu r. b. przekazane zostało Lidze Morskiej i Kolonjalnej, która odtąd jest gospodarzem schroniska. Komitet budowy,

spełniwszy swe zadanie, został zlikwidowany. Budowa kosztowała 110.807 zł., z czego 45 tysięcy ofiarował Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego, 44 tysiące pokrył wileński oddział Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

Z Podolskiego Towarzystwa turystyczno-krajoznawczego. Wydział Podolskiego Tow. Turystyczno-Krajoznawczego ogłosił sprawozdanie ze swej działalności. Jak wynika ze sprawozdania liczba członków zarządu głównego i oddziałów wynosi obecnie 1038. Udostępnione w ub. okresie sprawozdawczym jaskinie krystaliczne w Krzywcu Górnym zostały poddane dalszym badaniom i zabezpieczeniem (wejścia i chodniki). Wspomniane jaskinie, uznane za najpiękniejsze i największe w Polsce i zaliczone do rzędu osobliwości europejskich, posiadają obecnie 6 wielkich sal i korytarzy, łącznej długości około 14 klm. Zrealizowany został w głównych zarysach plan budowy domu wycieczkowego w Zaleszczykach. Murowany piętrowy budynek znajduje się już pod dachem i najprawdopodobniej w lecie r. b. zostanie częściowo oddany do użytku turystów i wycieczek. Również budowa schroniska w pasie Miodoborów weszła w stadium realizacji; w kwietniu b. r. podjęte zostały dalsze badania naukowe jaskiń w Krzywcu i w okolicy, jakoteż prace wykopaliskowe w kilku punktach terenu Podola; Oddziały powiatowe Towarzystwa urządziły względnie przyjęły w okresie sprawozdawczym 223 wycieczki z łączną ilością 4336 uczestników. Dzięki interwencji Towarzystwa Ministerstwo W. R. i O. P. utworzyło szereg nowych szkolnych schronisk wycieczkowych na terenie województwa w miejscowościach ważnych pod względem turystycznym. W okresie sprawozdawczym zostały wydane m. in. następujące wydawnictwa: *Prospekt Zwiedzajcie Podole* w językach: polskim, francuskim, angielskim i niemieckim; *Plan miasta Tarnopola* w opracowaniu prof. Haliczera, broszurę opisową *Nasze Podole*, albumy *Zamków Polskich* i t. d. Sekcja odczytowa T-wa urządziła cykl odczytów krajoznawczo-oświatowych w Tarnopolu. Wydział Towarzystwa brał czynny udział w uruchomieniu Regionalnego Muzeum Podolskiego T. S. L. w Tarnopolu, które w listopadzie 1930 r. zostało oddane do użytku publicznego. Poza tem Towarzystwo przyjęło na siebie obowiązek prowadzenia akcji ochrony przyrody, jako wojewódzka delegatura Państwowej Rady Ochrony Przyrody oraz skutecznie inwentaryzując ważniejszych obiektów zabytkowych pod względem historycznym i artystycznym.

ZAPOWIEDŹ REDAKCJI „ZIEMI“.

„Ziemia” wkracza w 22 rok swego istnienia.

Wierna swej Macierzy jako organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i swym tradycjom chce pozostać czasopismem, które szerzy znajomość ojczystego kraju w najszerszym i najgłębszym znaczeniu tego pojęcia. Tem samem odźwierciadłać będzie życie Towarzystwa i całego krajoznawstwa polskiego, reprezentując jego ideologję i stając się wykładnikiem jego prac i zamierzeń. Ugruntowana na ideologicznych podstawach Towarzystwa i z niem ściśle związana ma być rzeczywistym pomostem porozumienia między społeczeństwem a wykonawcami idei krajoznawczej. Kulturalno-wychowawcze znaczenie „Ziemi”, uznane oddawna przez ogół społeczeństwa, redakcja rozszerzyć zamierza na dziedzinę obywatelskiego uświadomienia w zakresie krajoznawstwa, które jako organizacja współ z innymi musi wziąć na siebie obowiązek współpracy w budowie duchowych i realnych wartości odrodzonego Państwa. Postępując tradycyjną drogą i wszystkimi szlakami, prowadzącemi do naszego celu — wszechstronnego poznania kraju w różnorodności jego historycznych i regionalnych cech — zakres naszych zainteresowań, obejmujących duchową i materialną kulturę kraju wraz z jego zewnętrzną, przyrodniczą fizjognomią, pogłębić pragniemy przez oświecenie ich ze stanowiska twórczych, rodzimych pierwiastków. Mając na uwadze uniwersalizm idei krajoznawczej nie zaniedbamy żadnej sposobności, ażeby na tle europejskiego ruchu krajoznawczego przedstawić naszym Czytelnikom sprawy z ruchem tym związane. Hołdując zdrowemu konserwatyzmowi, który jest konieczną pamięcią i ochroną zbiorowości, obserwować będziemy tętno dzisiejszego życia, a brać będziemy z niego te wartości, które dla naszych zadań i celów istotne mieć mogą znaczenie. Przegląd zatem wszelkich spraw związanych z aktywnem krajoznawstwem w znaczeniu kulturalnem znajdzie w naszym czasopiśmie swój wyraz w formie stałych wiadomości z różnych dziedzin i przejawów życia. Szanując i kochając ziemię, kraj, ludzi i ich twórczą pracę we wszystkich jej przejawach, oraz szerząc owo poszanowanie i miłośnictwo za pomocą poznania, „Ziemia” pragnie być organem dla wszystkich, którzy przyjdą do niej z krajoznawczem zawołaniem.

Chcąc uprzystępnić nasze czasopismo, które z dwutygodnika staje się miesięcznikiem najszerszym warstwom inteligencji obniżamy z dniem 1-go stycznia 1932 r. prenumeratę w nadziei, że znajdziemy wśród ogółu nietylko sympatyków i zrozumienie naszych haseł, ale także czynnych członków, prenumeratorów i czytelników, od których w znacznej mierze zależy byt naszego czasopisma, walczącego w obecnej chwili z bardzo wielkimi (czego nie możemy ukryć) finansowemi trudnościami.

WIADOMOŚCI KRAJOZNAWCZE I TURYSTYCZNE.

Z CZYNNOŚCI I POSIEDZEŃ RADY GŁÓWNEJ.

Komitet Wykonawczy Rady Głównej P. T. K. odbył posiedzenie pod przewodnictwem prezesa P. Wł. Raczkiewicza, w dn. 26.XI.31. W sprawach organizacyjnych postanowiono: 1) wybrać komisję w osobach: pp. Wł. Gruszczyńskiego, J. Kołodziejczyka i A. Patkowskiego, która wraz z delegatami Polsk. Touring Klubu przygotowuje całokształt spraw w zakresie organizacji Towarzystw połączonych, co do lokalu wspólnego, biura i t. p. Definitywne zakończenie tych spraw ma nastąpić przed dorocznym Zjazdem Delegatów P. T. K.; 2) Prezydjum Oddz. Warsz. P. T. K. w porozumieniu z Komisją Organiz. przeprowadzi etapami reorganizację biura, poczynając od 1.I 1932; 3) Komisja Org. zajmie się przygotowaniem planu propagandy P. T. K., zwróci uwagę na ożywienie Oddziałów: w Wilnie, Lwowie, Gdyni, zajmie się organizacją nowych w Jaśle, Mielcu, Rzeszowie i Stanisławowie, zwróci uwagę na stan ruchu krajoznawczego w łączności z P. T. K. — na Podolu, Polesiu, Śląsku i Wołyniu; 4) Komis. Organiz. zajmie się przygotowaniem w ciągu grudnia schematu sprawozdawczego dla Oddziałów, wygzekwuje od Oddziałów (łącznie ze sprawozdaniem za r. 1930) — sprawozdania brakujące za cały czas istnienia P. T. K., zajmie się po zebraniu i uporządkowaniu przez biuro materiałów archiwalnych — przygotowaniem Rocznika Jubileuszowego P. T. K. na Zjazd Delegatów r. 1932.

W sprawach wydawniczych: 1) zatwierdzono podstawiony przez Redaktora *Ziemi* program na r. 1932; 2) w związku z przejściem *Ziemi* na miesięcznik Redakcja wraz ze skarbnikiem Rady opracują budżet pisma na r. 1932.

W sprawach turystycznych: 1) wobec wygrania spraw z b. administratorką schroniska w Zakopanem w I-ej instancji, postanowiono czuwać nad tem, aby na kwiecień całokształt tych rzeczy został zakończony; 2) w sprawie schroniska w Pucku przesłać wyjaśnienia i omówić osobiście z zarządem Oddziału w Poznaniu; 3) powierzyć kuratorowi schronisk p. J. Kołodziejczykowi bliższe porozumienie się z Ligą Morską i Kolonjalną w sprawie Domu Turystycznego w Gdyni; 4) nawiązać bliższy kontakt z świeżo powstałym Instytutem Współpracy

z Zagranicą w celu koordynacji prac informacyjnych; 5) interwenjować pisemnie i osobiście w Min. Spraw Zagr. i Min. Robót Publ. w sprawie zagwarantowania uprawnień P. T. K. przy zawarciu konwencji turystycznej z Rumunją. W sprawach *Słown. Geogr. Państwa Polskiego*: 1) zatwierdzono regulamin Komisji Słownika Geogr. Rady Gł. P. T. K., który obejmuje zakres i wykonanie postanowień Rady Gł. z 23.X b. r.; 2) regulamin ogłosić w grudniowym numerze *Ziemi*. W sprawach Komisji Kół Krajoznawczych postanowiono interwenjować osobiście i przedstawić odpowiedni memoriał p. Ministrowi W. R. i O. P. W sprawach muzealnych uchwalono: 1) wyzyskać wszelkie możliwości materialne w celu zaspokojenia najpilniejszych potrzeb muzeów: we Włocławku, Nowogrodzie nad Narwią i w Łowiczu; 2) zatwierdzić program akcji Komisji Muzealnej w kierunku ustalenia zagadnienia sieci muzeów w Polsce.

Redaktor „Ziemi” i viceprezes P.T.K. p. Jerzy Remer odznaczony został złotym krzyżem za zasługi na polu inwentaryzacji i ratownictwa zabytków sztuki oraz za działalność organizacyjną w zakresie opieki państwowej i społecznej nad kulturą i sztuką.

Redakcja Słownika Geogr. P. P. W dn. 18.XI b. r. odbyło się w lokalu Redakcji posiedzenie Komisji Rady Gł. do spraw *Słown. Geogr.* Przygotowano regulamin Komisji do zatwierdzenia przez Komitet Wykonawczy P. T. K. Postanowiono otworzyć w *Ziemi* dział, poświęcony zagadnieniom pracy nad Słownikiem, drukować w prasie codziennej artykuły poświęcone propagandzie współdziałania z pracą Redakcji. Uchwalono otoczyć opieką bliższą bibliotekę podręczną Słownika i oddaną w depozyt. Bibliograficzne materiały krajoznawcze biblioteki P. T. K. Redakcja porządkuje. Zainteresowano się sprawą krajoznawczej bibliografii polskich czasopism ilustrowanych. W dn. 7.XII b. r. odbędzie się posiedzenie Komitetu Redakcyjnego. W Toruniu powstał Komitet Regionalny dla całego Pomorza, w Turuniu, Grudziądzu, Pelplinie i Gdańsku odpowiednie podkomisje dla poszczególnych okolic. Komisją Regionalną kierują: ks. dr. Łęga, jako prezes, dyr. Książnicy im. Kopernika

Z. Mocarski i dr. Lutman. Podkomisja to-ruńska z pp. dyr. Targowskim, red. Sydowem i p. Kuklinem w zarządzie ma opracować wszystkie, prócz grudziądzkiego, powiaty na prawym brzegu Wisły. Podkomisja grudziądzka, do której należą: ks. dr. Łęga, mjr. Gąsiorowski, insp. Ossowski, jako zarząd i pp. Starosta Kowalski ze Świecia, starosta Ornas z Sępólna, insp. Sowiński z Grudziądza, insp. Zdek z Tucholi oraz insp. Grudkowski z Chojnic — rozpoczęła już prace według wskazówek

centrali. Teren Gdańska i powiaty kaszubskie, z uwzględnieniem historycznych ziem polskich na pruskiem Pomorzu opracuje podkomisja gdańsko-gdyńska. Praca w terenie pomyślana jest w ten sposób, że powiaty zostaną podzielone na najmniejsze jednostki—parafje. Zebrania w nich materiałów podjęło się przeważnie miejscowe duchowieństwo i nauczycielstwo. Materiały będą odsyłane do podkomisji, a stąd po opracowaniu — do Komitetu Regionalnego dla ostatecznej redakcji.

Z ŻYCIA OKRĘGÓW I ODDZIAŁÓW P. T. K.

Nowogród n. Narwią. Do końca października r. b. Muzeum Kurpiowskie zwiedziło 1221 osób. Były to wycieczki: wojskowe, szkolne, harcerskie, wioślarskie, różne grupy i osoby. Z opłat wpłynęło: 229 zł. 60 gr., z ofiar 17 zł. 70 gr. Na studjach w muzeum przebywali: studenci uniwersytetów, artyści malarze, profesoria. Zorganizowana została przy muzeum kapela ludowa ze starych grajków miejscowych, znająca dawne melodie. Oddział zorganizował wycieczkę jubileuszową do Ostrołęki w dn. 25.V b. r. na uroczystość stulecia bitwy i odsłonięcie pomnika Bema. Uczestników było 29. Pojechano samochodem, zwiedzono miasto. Kilka wycieczek odbyło się łodziami po Narwi i Pissie; jedna z wycieczek odbyła się na 11 łodziach. Ogółem w wycieczkach uczestniczyło 130 osób, samochodem zrobiono 54 klm., łodziami 22 klm. Muzeum poniosło szkody w parkanach z powodu pożaru w sąsiedztwie. Położenie materialne muzeum b. ciężkie. Prezes Oddziału p. A. Chętnik wyjeżdża z Nowogrodu tylko czasowo, ewent. na okres zimowy.

Kraków. Życie członków Oddziału skupia się obecnie na zebraniach piątkowych z odczytem i herbatką. Po wakacjach odbyły się następujące odczyty: p. Dyr. Seweryna Udzieli p. t. *Z górnego Śląska*, p. Prof. Leszki p. t. *Wycieczka kajakiem po Bałtyku i zalewie Wisły* i p. Dr. Szybalskiej p. t. *Wspomnienia z Polesia i Nowogródzkiego*. W dn. 6.XI p. Konstatego Bzowskiego p. t. *Polskim statkiem do fjordów Norweskich* i w dn. 20.XI p. Józefy Berggruenówny p. t. *Muzeum Krajoznawcze i domy wycieczkowe młodzieży w Saksonji*. Wszystkie odczyty ilustrowane były zdjęciami fotograficznymi. Ostatnio została założona przy Oddziale Sekcja Fotograficz-

na, która przygotowuje w miesiącu grudniu wystawę fotograficzną pod hasłem *Tatry w zimie*. W dniu 22 listopada urządził Oddział wspólnie z Komisją Kół Krajozn. Młodzieży uroczystość 25-lecia P. T. K. Dom wycieczkowy w willi „Reduta” w Łojcowie, przez który przewinęło się w lecie kilka tysięcy osób, będzie w sezonie zimowym otwarty i da możliwość poznania doliny ojcowskiej w ślicznej szacie zimowej oraz użycia sportu narciarskiego i saneczkowego.

Pabjanice. W październiku ku uczczeniu 25-lecia Towarzystwa Krajoznawczego zorganizowano Wystawę Prac Uczniów Szkoły Rysunków i Malarstwa art. malarza Bolesława Nawrockiego i działu sztuki regionalnej ze zbiorów Oddz. w Pabjanicach.

Szkoła Rysunku i Malarstwa zorganizowana była przez Oddział celem przysposobienia miastu tych osób, któreby przygotowane były do opracowywania artystycznego tematów regionalnych. Popis tej szkoły, istniejącej dopiero niecałe dwa lata, wypadł bardzo okazale. Prace swoje wystawiło 19 uczniów szkoły, wykazując bardzo wybitne postępy, oraz sam mistrz, art. mal. B. Nawrocki. Wśród nieraz bardzo pięknych płócien i rysunków przeważało wiele prac, wybitnie nadających się do muzeum regionalnego pow. łaskiego. Były to typy ludowe, krajobrazy oraz inne motywy regionalne. Pozatem na Wystawie pokazano szereg eksponatów P. T. K., jak piśnie wykonane modele budowli historycznych, barwne kilimy łaskie, rzeźby ludowe, wieńce dożynkowe, obrazy, liczne fotografie, szkice, wzory i t. p.

Otwierając Wystawę, prezes Oddziału Pabjanickiego p. K. Staszewski, powitał licznych gości z p. starostą J. Wallasem na czele i nawiązał do 25-lecia Pol. Tow. Krajoznawczego, wskazał, że pożytecznie

pracujące P. T. K. nie posiada jeszcze własnego lokalu, wskutek czego nie może należycie rozwinąć swej pracy. Społeczeństwo pabjanickie winno przyjść Towarzystwu z pomocą, w szczególności zaś Magistrat m. Pabjanic, do którego mówca specjalnie zaapelował. O zainteresowaniu, jakie wzbudziła Wystawa wśród społeczeństwa pabjanickiego świadczy fakt, że w ciągu tygodnia zwiedziło ją około trzech tysięcy osób.

W dn. 8. XI b. r. Oddział zorganizował wycieczkę historyczną po Pabjanicach. Uczestników zgłosiło się 700 (!) osób. W parku miejskim odbył się odczyt o dziejach miasta, potem grupami zwiedzono gmach zamku i kościół Św. Mateusza. Wobec tak wybitnego zainteresowania Oddział podjął się organizowania co pewien czas wycieczek historycznych grupami po 50 osób. Uwzględniona będzie również współczesność: fabryki i szkoły.

W dn. 29. XI odbył się odczyt wiceprezesa P. T. K. p. J. Remera p. t. *Kamienie mówią*, który zgromadził przeszło 200 osób.

Prezes Oddziału p. K. Staszewski, za zasługi społeczne odznaczony został srebrnym krzyżem za usługi. Rada Główna składa serdeczne gratulacje!

Poznań. Po zamknięciu sezonu wycieczkowego Oddział łącznie z Pol. Tow. Tatrzańskim urządza w miesiącach zimowych cykl odczytów z dziedziny krajoznawstwa i taternictwa. Odczyty odbywać się będą w każdą sobotę o godz. 18 w sali Śniadeczek w Collegium Medicum przy ul. Fredry.

Pierwszy odczyt p. t. *Śląsk*, wygłosił prof. Kilariski 14. XI. Odczyt ilustrowany był przezroczami współczesnych fotografów śląskich, a na część jego składały się fragmenty dzieła Gustawa Morcinka p. t. *Śląsk z cyklu Cuda Polskie*.

Warszawa. Komisja Towarzyska Oddziału urządzała ostatnio co miesiąc, wzajemian dawnych poniedziałków klubowych, wieczory towarzyskie, oraz zebrania w winiarni u Fukiera. Zebrania odbywały się przy udziale dość dużej liczby członków. Komisja zachęcona powodzeniem w dalszym ciągu będzie urządzała tego rodzaju imprezy.

Na najbliższą przyszłość projektowane jest urządzenie 12 grudnia zebrania towarzyskiego w związku z przypadającą w tym czasie rocznicą 25-lecia P. T. K.

Dn. 31 grudnia (Sylwester) dorocznym zwyczajem odbędzie się krajoznawczy bal sylwestrowy.

Pozatem projektowane są wycieczki na wydmę Łuże z saneczkami i nartami o ile dopisze szata śnieżna.

Kierownictwo chóru krajoznawczego apeluje do ogółu członków, by zechcieli zapisywać się na członków chóru. Próby odbywają się w każdą środę od g. 7 — 8 w.

Sprawy turystyczne. Zniżka cen na artykuły sportowo-turystyczne dla członków Oddziału Warszawskiego P. T. K.

Wszelkie artykuły sportowe i turystyczne (narty, manierki, saneczki, namioty i t. p.), mogą członkowie Oddziału nabywać po niższej cenie (5% rabatu) w Centralnej Komisji Dostaw Harcerskich, ul. Traugutta 2, za okazaniem opłaconej legitymacji P. T. K.

Zarząd Oddziału wystąpił do władz administracyjnych wojew. Warszawskiego z memorjałem protestacyjnym przeciwko projektowanej parcelacji wydmy Łuże.

Ukazał się *Przewodnik po woj. Warszawskim*, wydany przez Oddział łącznie z Woj. Komitetem Regionalnym.

W okresie świąt Bożego Narodzenia (24, 25, 26 i 27 grudnia) odbędzie się tradycyjna wycieczka do Zakopanego. Ze względu na zniżki kolejowe wycieczka dostępna dla wszystkich. Liczba miejsc ograniczona.

25-lecie T-wa. Z okazji przypadającego w grudniu b. r. 25 lat istnienia Towarzystwa, Oddział Warszawski, pragnąc uczcić ten moment, we środę dn. 16 grudnia organizuje skromne, ale uroczyste posiedzenie jubileuszowe z przemówieniami pp.: Al. Janowskiego, M. Wisznickiego, Al. Patkowskiego i J. Kołodziejczyka oraz pokazem zdjęć fotograficznych ilustrujących życie T-wa poczynając od najdawniejszych czasów.

Biuro P. T. K.. Sekretarzem Biura z dn. 1 grudnia b. r., na miejsce ustępującego p. De Mezera, został p. St. Gabryszewski.

Włocławek. Oddział urządził 2 odczyty: 25. X Hon. Prezesa Oddziału p. A. Byśzewskiego *Wład. Łokietek, książę Brzesko-Kujawski*, *Niezlomny Król Polski* i ks. prof. Morawskiego *Włocławek na tle dziejów kościelnych i politycznych*. Obecnie odbywa się wystawa szkiców i akwarel Stan. Błońskiego. W dn. 21. XI odbyło się nadzwyczajne ogólne zebranie członków Od-

działu. W dn. 6.XII arch. Narębski z Wilna wygłosi odczyt *O grobach królewskich w Katedrze Wileńskiej*. Na zebraniu Oddziału przyjęta została uchwała: „zważywszy, że niezwykle ciężka sytuacja finansowa, w jakiej znajduje się obecnie Kujawski Oddział P. T. K. grozi zahamowaniem wszelkich prac Towarzystwa, koniecznością zamknięcia wskutek braku środków na opał Domu Krajoznawczego i zniszczeniem cen-

nych zbiorów muzealnych, oraz zważywszy, że w obecnym czasie na jakąkolwiek pomoc z zewnątrz liczyć nie można, Zarząd zajmie się: 1) agitacją za powiększeniem liczby członków, 2) zwróci się z apelem do ziemian kujawskich o pomoc, 3) zorganizuje miesiąc krajoznawczy, celem ratowania Muzeum”. Wniosek o dodatkowe obciążenie członków wobec ciężkich warunków inteligencji nie przeszedł.

Z ŻYCIA OKRĘGÓW I ODDZIAŁÓW KÓŁ KRAJ. MŁODZ. SZKOLNEJ P. T. K.

Kraków. Staraniem Komisji i Oddziału odbyła się 22.XI uroczystość 25-lecia P. T. K. w sali Instytutu Geograficznego U. J. Uroczystość zagał prezes Oddziału P. Medwecki. Następnie kurator O. S. dr. E. Nowicki podniósł wielkie znaczenie wychowawcze krajoznawstwa, które lepiej zaznajamia młodzież ze wszelkimi problemami życia polskiego, aniżeli sucha i oderwana od życia t. zw. „nauka o Polsce”. Prof. Uniw. Jag. dr. K. Roupert naszkicował dzieje 25-lecia P. T. K., wyrażając przekonanie, że młodzież, która teraz zajmuje się krajoznawstwem, wyrośnie w przyszłości na najbardziej aktywną część społeczeństwa polskiego. Dr. T. Seweryn na zakończenie mówił o ideologii pracy Kół Krajozn. Młodz. Szkoln. P. T. K. W związku z uroczystością otwarta została wystawa prac młodzieży szkolnej w świetlicy krajoznawczej. W ramach uroczystości odbył się Zjazd Okręgowy Opiekunów Kół Krajozn. Mł. Szk., który zgromadził 36 osób. Zgromadzeni wyrazili życzenie, aby ceny biletów kolejowych dla wycieczek młodzieży wynosiły $\frac{1}{3}$ ceny normalnej. Wypowiedziano się za koniecznością urządzania co roku obowiązkowego szkolnego ty-

godnia wycieczkowego. Domagano się bezpłatnego wstępu dla młodzieży na Wawel.

Wieczorem młodzież zorganizowała wieczornicę ze śpiewami, tańcami, obrazami obrzędów ludowych i prelekcją d-ra T. Seweryna. Podczas uroczystości nadeszła na ręce prof. L. Węgrzynowicza depesza z życzeniami od Prezesa P. T. K. p. Wł. Raczkiewicza, który nie mógł przybyć do Krakowa z powodu złego stanu zdrowia.

Lublin. *Dziennik Urzęd. Kurat. O. S.* (w № 11 z r. b.) ogłasza ankietę Oddziału Lubelskiego P. T. K. w sprawie Kół Krajoznawcz. Mł. Szkoln., istniejących na terenie wojew. Lubelskiego. Ankieta wychodzi z założenia, że „praca krajoznawcza o charakterze regionalnym przyczynia się w dużym stopniu do należytego wykonania programu nauki, jak i wychowania obywatelskiego”. Ankieta ma na celu popieranie i pomoc w pracy Kół oraz powołanie Okręg. Komisji Kół Krajozn. Mł. Szk. P. T. K. w Lublinie. Ukazał się № 1 roku II, milego pisemka Koła Kraj. im. H. Łopacińskiego Młodz. Szkoły Powszechnej na Czwartku w Lublinie p. t.: *Młody Krojoznawca*.

Od Redakcji. Spis rzeczy i rycin do rocznika „Ziemi” za rok 1931 załączony będzie do pierwszego numeru miesięcznika, który ukaże się w połowie stycznia 1932 r. Wszystkim Prenumeratorom, Czytelnikom i Sympatykom „Ziemi” redakcja składa serdeczne życzenia Noworoczne.

TREŚĆ: Na jubileusz P. T. K. — *Władysław Raczkiewicz:* Krajoznawczy drogowskaz. — *Aleksander Janowski:* Garść wspomnień. — *Kazimierz Kulwiec:* Z siedziby krajoznawczej. — *Karol Hoffman:* Wspomnienia z krajoznawstwa. — *Stanisław Thugutt:* Jak się robiło pierwszy przewodnik. — *Stanisław Lenczewicz:* Komisja Fizjograficzna P. T. K. — *Edmund Massalski:* O kapitale P. T. K. — *January Kołodziejczyk:* Krajoznawstwo dziś i jutro. — *Wiktor Ormicki:* Cele i zadania P. T. K. — *Michał Rawita-Witanowski:* Zarys prac krajoznawczych w Piotrkowie Trybunalskim. — *Aleksander Patkowski:* Przed dwudziestu pięciu laty. — *Regina Danysz-Fleszarowa:* Zwycięski marsz. — *Marta Hubicka:* Moja pierwsza wycieczka w Tatry. — *Włodzimierz Antoniewicz:* List przyjaciela „Ziemi”. — *Jerzy Remer:* Dlaczego zostałem konserwatorem. — *Tadeusz Dybczyński:* Wspomnienie. — *Tadeusz Cieślowski (syn):* Staromiejskie teksty. — *Stanisław Warcholik:* Okruszyny wspomnień krajoznawczych. — *Bernard Chrzanowski:* Jak to „Ziemia” — łączyła. — *Konrad Górski:* Ze wspomnień jednorocznego redaktora „Ziemi”. — *Kronika.* — Zapowiedź Redakcji „Ziemi”. — Wiadomości krajoznawcze i turystyczne.

Cena niniejszego zeszytu zł. 3.—.

Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 642-50.

Redaktor: Jerzy Remer.

Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Redaktor przyjmuje: w Redakcji w soboty od 6-ej do 7-ej po południu. Telefoniczne porozumienie z Redaktorem każdego dnia od 5-ej do 6-ej po południu, tel. 921-32.

Druk. Jan Świetoński i S-ka, Warszawa. Kopernika 34. Tel. 407-50.